KASS MORGAN

REBELIA

Czwarta część cyklu **MISJA 100**

BUKOWY LAS

CLARKE

nareszcie nie musiała już sobie tłumaczyć,
że to niemożliwe. Ciepło wypełniło jej serce,
gdy odwracała się do matki; matki podchodzącej
z koszykiem pełnym jabłek z sadu,
który należał do Ziemian.

WELLS

wciąż domagał się więcej. Szukał bólu. Szukał
wysiłku. Czegokolwiek, co rozproszyłoby czarną
chmurę, która zatruwała jego myśli niczym pleśń.
Czegokolwiek, co pozwoliłoby zapomnieć.

GLASS

tego popołudnia nie ruszyła się ani na krok z małej
chatki przycupniętej na skraju polany. Zajmowała
sobą Luke'a i sama była bardzo zajęta. Rzadko
udawało im się wyrwać taki moment dla siebie.

BELLAMY

siedział za stołem rady; wytężał teraz wzrok, starając
się przebić przez kłęby dymu przesłaniające polanę.
Oczy go zapiekły. Ledwie potrafił rozróżnić
ludzkie twarze.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1. Clarke

Rozdział 2. Wells

Rozdział 3. Glass

Rozdział 4. Bellamy

Rozdział 5. Wells

Rozdział 6. Clarke

Rozdział 7. Bellamy

Rozdział 8. Glass

Rozdział 9. Wells

Rozdział 10. Bellamy

Rozdział 11. Clarke

Rozdział 12. Glass

Rozdział 13. Wells

Rozdział 14. Bellamy

Rozdział 15. Glass

Rozdział 16. Wells

Rozdział 17. Clarke

Rozdział 18. Bellamy

Rozdział 19. Glass

Rozdział 20. Wells

Rozdział 21. Clarke

Rozdział 22. Bellamy

Rozdział 23. Glass

Rozdział 24. Wells

Rozdział 25. Bellamy

Rozdział 26. Clarke

Rozdział 27. Wells

Rozdział 28. Glass
Rozdział 29. Clarke
Rozdział 30. Glass
Rozdział 31. Bellamy
Rozdział 32. Wells
Rozdział 33. Clarke
Podziękowania
Okładka

KASS MORGAN

REBELIA

Czwarta część cyklu
MISJA 100

przełożyła
Nina Wum

BUKOWY LAS

Tytuł oryginału: *The 100: Rebellion*

Copyright © 2016 by Alloy Entertainment
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-8074-154-6

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: © 2016 Warner Bros. Entertainment, Inc. All rights reserved.

REDAKCJA: Anna Rojkowska
KOREKTA: Urszula Włodarska
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław
www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 11, fax 22 721 25 19
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Drodzy czytelnicy – dzięki za przygarnięcie moich kosmicznych awanturników do serca.
Wasze wsparcie ma ciężar galaktyk

ROZDZIAŁ 1

CLARKE

Przez polankę przeleciał chłodny powiew, poruszając tymi z czerwonych i złotych liści, które wciąż tkwiły na gałęziach. Clarke wzdrygnęła się lekko.

Doszedł ją przyciszony głos wołający ją po imieniu.

Odkąd przybyli na Ziemię, wyobrażała sobie ten głos nieskończenie wiele razy. Pobrzmiewał w szemraniu strumyka, w odgłosie trących o siebie gałęzi. A nade wszystko w powiewach wiatru.

Nareszcie nie musiała już sobie tłumaczyć, że to niemożliwe. Ciepło wypełniło jej serce, gdy odwracała się do matki; matki podchodzącej z koszykiem pełnym jabłek z sadu, który należał do Ziemian.

– Próbowałaś ich już? Są przepyszne! – spytała Mary Griffin, stawiając koszyk na jednym z długich drewnianych stołów. Wybrała jabłko i podała je Clarke. – Trzysta lat inżynierii genetycznej, a nam w Kolonii nie udało się osiągnąć niczego choćby zbliżonego smakiem.

Clarke uśmiechnęła się i ugryzła owoc. Otaczali ich koloniści oraz Ziemianie radośnie przygotowujący się do pierwszej wspólnej uczty. Felix i jego chłopak Eric dźwigali wielkie kadzie jarzyn wyhodowanych w ziemskich ogrodach i przyrządzonych w lokalnych kuchniach. Dwaj miejscowi uczyli Antonia splatać wieńce z gałęzi. W oddali krzątali się Wells i Molly, polerujący jeden z nowych stołów piknikowych. Molly niedawno podjęła naukę pod nadzorem tutejszego cieśli.

Patrząc na nich wszystkich, trudno byłoby uwierzyć, jak wiele przeżyli w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Clarke należała do setki nastolatków, których zesłano na Ziemię w celu zbadania, czy ludzie będą w stanie przetrwać na jej radioaktywnej powierzchni. Jednak lądownik rozbił się przy kontakcie z podłożem, co ucięło wszelki kontakt z Kolonią. Podczas gdy setka młodych walczyła na Ziemi o przetrwanie, koloniści zorientowali się, że ich system podtrzymywania życia uległ poważnemu uszkodzeniu i nie posłuży już długo. Panika wzrastała w miarę, jak kurczył się zasób tlenu; ludzie zaczęli walczyć o dostęp do lądowników. Niestety, statki mogły pomieścić małą część z nich.

Clarke i pozostali ze zdumieniem patrzyli, jak siadają kolejne lądowniki. Zachowanie wicekanclerza Rhodesa stanowiło już mniejszą niespodziankę. Polityk zaangażował się w brutalną kampanię mającą na celu przejęcie władzy z rąk najwcześniej przybyłych tu nastolatków, którzy zostali faktycznymi przywódcami

kolonistów. Padły ofiary w ludziach – zginęła między innymi Sasha Walgrove, dziewczyna Wellsa oraz córka Maxa, pokojowo nastawionego lidera Ziemian. Jej śmierć znacznie zaostrzyła konflikt między miejscowymi a nowo przybyłymi. W końcu jednak obie strony zjednoczyły wysiłki, by pokonać agresywną ziemską frakcję nastawioną na wymordowanie przybyszy z Kolonii – i w końcu wszyscy oddali swoje talenty współpracy. Rhodes zrezygnował z funkcji wicekanclerza i pomógł uformować nową radę, w której skład wchodzili zarówno koloniści, jak i Ziemianie.

Obecna uroczystość miała być pierwszą, w jakiej udział wezmą obie strony. To dziś właśnie nowa rada miała się zaprezentować tym, którzy ją wybrali. Należał do niej Bellamy, chłopak Clarke; poproszono go nawet, by wygłosił parę słów.

– Wszystko wreszcie zaczyna iść we właściwym kierunku – zauważyła matka Clarke, patrząc, jak młody kolonista pomaga dwóm ziemskim dziewczętom zastawić stół prostymi naczyniami z cyny. – Mogę jakoś pomóc?

– Już pomogłaś. Teraz spróbuj się zrelaksować.

Clarke postąpiła krok w tył, rozkoszując się znajomym ciepłem matczynego uśmiechu. Minął miesiąc, od kiedy skończyła się ich rozłąka; dziewczyna wciąż nie mogła uwierzyć, że rodziców nie wyrzucono w próżnię w ramach kary za zdradę, jak jej to przedstawiano, tylko zesłano na Ziemię. Przeżyli niezliczone niebezpieczeństwa i odnaleźli drogę do córki. Para lekarzy okazała się cennym nabytkiem dla obozu; pomogli go odbudować po napaści agresywnych Ziemian, wraz z doktorem Lahirim leczyli rannych. A przede wszystkim, podobnie jak Clarke i Bellamy, pracowali bez wytchnienia nad zacieśnieniem więzi między pokojowo nastawionymi mieszkańcami Ziemi a przybyszami z Kolonii.

Clarke po raz pierwszy od bardzo dawna czuła spokój – i nadzieję. Po tylu miesiącach strachu i bólu nareszcie przyszedł czas na świętowanie.

Właśnie podchodził do nich ojciec Clarke, przecinając polanę długimi krokami. Zatrzymał się na chwilę, by pomachać Jacobowi, ziemskiemu farmerowi, z którym się zaprzyjaźnił. A potem odwrócił ku córce twarz rozpromienioną szerokim uśmiechem. Pod lewą pachą dźwigał pęk kolb kolorowej kukurydzy.

– Jacob powiada, że zdążymy rzucić okiem na Księżyc, zanim spadnie deszcz – oznajmił David Griffin, kładąc warzywa na drewnianym stole. Podrapał się po swojej krzaczastej, świeżo wyrosłej brodzie i w skupieniu wpatrzył w niebo, jakby mógł go tam już dostrzec. – Podobno zrobi się czerwony. Jacob powiada, że to tak zwany Księżyc Łowcy, ale nasi przodkowie nazywali jesienną pełnię Księżyca sierpem żniwnym.

Kiedy Clarke była dzieckiem, zdarzało się, że drażniły ją te niekończące się wywody ojca o życiu na Ziemi. Ale teraz, po roku spędzonym w żałobie po bliskich, o których sądziła, że nie żyją – była mu wdzięczna za tę gadaninę. Serce wezbrało jej ciepłem.

Mimo to, gdy pan Griffin rozprawiał, spojrzenie Clarke mimowolnie odbiegło w bok, pod krawędź lasu. Z cienia drzew wychynęła właśnie długa, smukła sylwetka ludzka z łukiem na ramieniu.

– A wiesz, mnie się podoba sierp łowcy jako nazwa – odparła z roztargnieniem, uśmiechając się mimo woli.

Bellamy zwolnił kroku i otaksował polanę spojrzeniem. Wiedziała, że szuka właśnie jej – i mimo wszystkiego, przez co dotąd przeszli, serce wciąż jej trzepotało na tę myśl. Nieważne, jakie przeciwności ta dzika, niebezpieczna planeta ciskała im pod nogi; radzili sobie z nimi. Przezwyciężali je. Razem.

Gdy podszedł nieco bliżej, dostrzegła barwny ciężar na jego ramieniu. To był ogromny zabity ptak o jaskrawych barwach i długiej, cienkiej szyi. Wyglądało na to, że wykarmią nim połowę zgromadzonych. Clarke o mało nie pękła z dumy.

Obóz liczył już ponad czterysta głów, łącznie ze świetnie wyszkolonymi kolonistami – ale Bellamy nadal był najlepszym myśliwym.

– Czy to indyk? – zainteresował się ojciec Clarke.

– Widzieliśmy je w tutejszych lasach – dodała matka, osłaniając oczy przed ostrym zachodzącym słońcem. Bellamy podchodził powoli do ich trójki.

– Na północnym wschodzie, zeszłej zimy. Z początku wzięliśmy je za pawie – spójrz na te niebieskie pióra! W każdym razie żaden nie dał się nam złapać.

– Bellamy potrafi złapać wszystko – wypaliła Clarke i natychmiast oblała się rumieńcem. Jej matka znacząco uniosła brew.

Dziewczyna trochę się niepokoiła tym, jak rodzice zareagują na jakiegoś innego chłopaka niż świetnie rokujący Wells, pochodzący z „Feniksa”. Ku jej wielkiej uldze przyjęli go bardzo ciepło. Koszmar, przez który sami przeszli, wyzwolił w nich pokłady empatii, a nawet opiekuńczości względem nowego chłopaka. Bellamy sypiał w ich chacie. Budził się co chwila, drżący, zlany potem, przerażony powracającymi snami o plutonach egzekucyjnych, zasłonach na oczy, o wrzaskach Clarke i Octavii, które przeszywały go aż do kości.

Państwo Griffinowie szykowali wtedy uspokajające ziołowe napary, a ona siedziała i trzymała go za rękę. Ani ojciec, ani matka nie zrobili żadnej ostrzegawczej uwagi odnośnie do stanu chłopaka.

Teraz oboje pomachali mu radośnie. A jednak coś było wyraźnie nie tak; Clarke poczuła, jak sztywnieje jej kark. Bellamy szedł jakoś dziwnie, inaczej niż zwykle. Był blady i wciąż oglądał się przez ramię. Oczy miał wielkie i wystraszone.

Z twarzy Davida Griffina znikł uśmiech. Chłopak bezceremonialnie cisnął mu martwego ptaka w wyciągnięte ramiona.

– Clarke – przemówił zdyszanym szeptem. Czyżby biegł? – Musimy porozmawiać.

Chwycił ją mocno za ramię i ruszył szybkim krokiem. Minęli ognisko i szereg świeżo wybudowanych chat. Potknęła się o wystający korzeń i omal nie upadła; nawet tego nie zauważył, po prostu wlókł ją za sobą.

– Bellamy, przestań! – zawołała i wyrwała rękę.

Jego spojrzenie na moment przestało być szklane.

– Przepraszam. Nic ci nie jest? – zapytał swoim zwyczajnym głosem.

Clarke pokiwała głową. – Mnie nic. Ale co z tobą?

Chłopak obrzucił obóz szybkim, badawczym spojrzeniem. W jego oczach znów

lśniła panika.

– Gdzie jest Octavia?

– Wraca znad wody z dzieciakami. – Octavia kilka godzin temu zabrała młodsze dzieci nad strumień, gdzie mogły się bawić, nie przeszkadzając dorosłym w przygotowaniach do wieczerzy. Właśnie parami wchodziły na polanę, trzymając się za ręce; czarnowłosa Octavia otwierała pochód. Clarke wskazała ją palcem. – Widzisz?

Na widok siostry Bellamy odrobinę się rozluźnił. Ale gdy spojrzał Clarke w oczy, twarz mu pociemniała.

– Zauważyłem w lesie coś dziwnego.

Dziewczyna przygryzła wargi, tłumiąc westchnienie. Nie po raz pierwszy w tym tygodniu słyszała te słowa. Nawet nie dziesiąty. Ale ścisnęła jego dłoń, kiwnęła głową i zachęciła: – Opowiadaj.

Przestąpił z nogi na nogę. Z jego zmierzwionych ciemnych włosów spłynęła kropla potu.

– Jakiś tydzień temu, nie pamiętam dokładnie… znalazłem na jeleniej ścieżce wielką stertę liści. Tam na drodze do Mount Weather. Wyglądała… podejrzanie.

– Podejrzanie… – powtórzyła Clarke, starając się zachować spokój. – Kupa liści. W lesie. Jesienią. Podejrzana.

– To była wielka sterta. Cztery razy wyższa niż wszystkie inne wokół. Dość wielka, żeby ktoś mógł się w niej schować. – Zaczął iść, mówiąc bardziej do siebie niż do dziewczyny obok: – Nie zatrzymałem się wtedy, żeby się jej przyjrzeć. Powinienem był. Czemu tego nie zrobiłem?

– No dobrze… – rzekła Clarke bardzo powoli. – Chodźmy i przyjrzyjmy się jej teraz.

– Kiedy już jej tam nie ma! – odparł Bellamy, mierzwiąc swoje i tak już rozczochrane włosy. – Zignorowałem ją. A dzisiaj zniknęła. Zupełnie, jakby ten ktoś już jej nie potrzebował.

Był tak widocznie zaniepokojony i przygnieciony poczuciem winy, że aż zabolało ją serce. Wiedziała, dlaczego Bellamy tak się przejmuje.

Tuż po tym, jak wylądowały statki kolonistów, wicekanclerz Rhodes usiłował skazać chłopaka na śmierć za przestępstwa rzekomo popełnione jeszcze na pokładzie. Zaledwie dwa miesiące temu zmuszono Bellamy'ego, by pożegnał wszystkich, których kochał, a potem przewiązano mu oczy i ustawiono przed plutonem egzekucyjnym. Czuł oddech śmierci na karku, przekonany, że na zawsze opuszcza Octavię i rujnuje życie Clarke. Wykonanie wyroku odroczyła bitwa – nagły, brutalny atak Ziemian. Rhodes w końcu ułaskawił skazańca, ale wydarzenia te odcisnęły piętno na chłopaku. Przypływy paranoi, którym podlegał, były czymś zrozumiałym. Niepokoić mogło tylko to, że z czasem wcale mu się nie poprawiało. Wręcz przeciwnie.

– To wszystko składa się w całość – zaczął podniesionym, drżącym głosem. – Koleiny nad rzeką. Ludzkie głosy, które słyszałem w koronach drzew…

– Rozmawialiśmy już o tym – przerwała mu, gdy objął ją w talii. – Koleiny mogły

zostawić wozy z osady. Ludzie Maxa mają wozy, jak wiesz. A co do głosów…

– Naprawdę je słyszałem. – Próbował uwolnić się z uścisku, ale Clarke go przytrzymała.

– Wiem, że tak było – odparła, obejmując go mocniej.

Rozluźnił się nieco i oparł podbródek na jej ramieniu.

– Nie chciałbym… wprowadzać zamieszania… – Bellamy przełknął ślinę. Słowo „znowu" zawisło nad nimi, niewypowiedziane. – Ale tobie powiem. Coś się święci. Czułem to wcześniej i czuję to teraz. Musimy wszystkich ostrzec.

Clarke zerknęła przez ramię na otaczających ich ludzi. Właśnie obok przechodzili Lila z Grahamem, dźwigając wiadra z wodą i docinając młodszemu chłopcu, który uginał się pod ciężarem. Z osady Ziemian nadbiegła grupa chichoczących dzieciaków; każdy niósł coś dobrego na wspólny stół. Strażnicy patrolujący obrzeża polany gawędzili swobodnie.

– Musimy ich ostrzec, zanim zacznie się ta… ta impreza. – Machnął ręką lekceważąco. – O cokolwiek w niej chodzi.

– To święto zbiorów – odparła Clarke. Urzekała ją myśl o tysiącletniej tradycji, starszej niż katastrofa, jak nazywali wojnę nuklearną, która spustoszyła planetę i zmusiła pierwszych kolonistów, by szukali ocalenia w przestrzeni kosmicznej. – Max powiada, że tu, na Ziemi, obchodzi się je od pokoleń. I byłoby miło, gdybyśmy…

– Ten zbuntowany odłam Ziemian właśnie na to czeka – przerwał jej, podnosząc głos. – Jeśli mają zaatakować, zrobią to dzisiaj. Kiedy jesteśmy tu wszyscy razem. Bezbronni jak kaczki na talerzu.

Z chaty nieopodal wyjrzał jakiś maluch, spostrzegł Bellamy'ego, zbladł i schował się z powrotem.

Clarke ujęła dłonie chłopaka w swoje, przytrzymała je chwilę, drżące, i spojrzała mu prosto w oczy.

– Wierzę ci. Wierzę, że widziałeś to, co mówisz, że widziałeś.

Przytaknął w skupieniu. Nadal ciężko oddychał.

– Ale – ciągnęła – ty musisz też zaufać mnie. Posłuchaj: jesteś tu bezpieczny. Wszyscy jesteśmy bezpieczni. W zeszłym miesiącu podpisaliśmy pakt o nieagresji, który wciąż obowiązuje w pełni. Max mówił, że po przegranej bitwie ci ziemscy renegaci wynieśli się na południe i nikt ich tu już nie widział.

– Wiem. Ale tu chodzi o coś więcej niż ta sterta liści. Mam takie okropne uczucie, które wszędzie za mną chodzi…

– No to będziemy musieli zastąpić je innym. – Clarke wspięła się na palce i pocałowała go w szyję tuż pod szczęką, a potem niżej, w kark.

– To nie takie proste – odparł chłopak, choć czuła, że wreszcie zaczyna się rozluźniać.

Wyprostowała się i posłała mu uśmiech.

– Hej, Bel. Dziś jest twój szczęśliwy dzień. Po raz pierwszy zaprezentujesz się ludziom jako członek rady, prawda? Pomyśl o tym, co masz powiedzieć. A potem skup się na tych wszystkich pysznościach, które pomogłeś zgromadzić.

– Rada – odparł, zaciskając powieki i gwałtownie wypuszczając powietrze. – No tak. Racja, zapomniałem o tej przeklętej mowie.

– Pójdzie ci jak z płatka. – Clarke musnęła jego szorstki policzek palcami. – Stoisz mocno na nogach.

– No fakt. – Objął ją w pasie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W pozycjach innych niż stojąca też nieźle sobie radzę.

Zaśmiała się i uderzyła go lekko.

– O tak, wyśmienicie. A teraz pomóż mi przygotować to przyjęcie, nim pójdziesz na spotkanie rady. Możemy poświętować we dwoje, gdy będzie już po wszystkim.

Nie wypuścił jej ze splecionych rąk, zrobili razem parę niezręcznych kroków. Czuła jego oddech na ramieniu. – Dziękuję – wyszeptał w jej szyję.

– Za co? – spytała niewinnym tonem, starając się dobrze ukryć zmartwienie, które kłuło ją w serce.

Uspokoiła go. Kolejny raz. Tak jak wczoraj i przedwczoraj.

Ale nie mogła dłużej unikać refleksji, że z Bellamym jest coraz gorzej.

ROZDZIAŁ 2

WELLS

Paliły go mięśnie, gdy wnosił na taczkę ostatnią baryłkę cydru. Od wielu dni pomagał w przygotowaniach do święta zbiorów. Jego dłonie były popękane, zdarte do żywego, stopy miał opuchnięte i zbolałe. Cierpiał całym organizmem.

A jednak wciąż domagał się więcej. Szukał bólu. Szukał wysiłku. Czegokolwiek, co rozproszyłoby czarną chmurę, która zatruwała jego myśli niczym pleśń. Czegokolwiek, co pozwoliłoby zapomnieć.

Obok przeszła ziemska kobieta z niemowlakiem w nosidełku. Uśmiechnęła się do niego. Wells grzecznie skinął jej głową; musiał zapanować nad mimiką, bo wspomnienie uderzyło go niczym pędzący meteor. Sasha w zabawie machająca temu maluchowi przed nosem kłosem zboża, podczas gdy jego matka rozwieszała za chatą pranie. Czarne włosy powiewające na wietrze. Błysk w zielonych oczach dziewczyny, gdy dokuczała Wellsowi, mówiąc, że małych dzieci boi się bardziej niż spotkania w bitwie samego Rhodesa.

Wells zacisnął zęby, złapał rączki taczki i wyprostował się; bolesny ciężar oddalił wspomnienie. Popychając ją przed sobą, ruszył główną ścieżką osady prowadzącą nad skraj lasu, gdzie pozostali biedzili się z własnym ładunkiem.

Rudowłosy Paul był już po służbie, lecz wciąż miał na sobie mundur strażnika. Stał na wielkim głazie, obserwując ziemskich osadników oraz kolonistów, którzy oferowali się, że przetransportują na polanę zapasy potrzebne do uczty.

– Słuchajcie, ludzie, dokładnie spatrolowałem las dookoła i nikogo w nim nie ma. Ale pośpieszcie się z tym wszystkim. Tak na wszelki wypadek. – Zaklaskał i wskazał wydeptaną leśną ścieżkę. – Skupcie się i zachowajcie czujność.

Wells dostrzegł, że kilku osadników posłało Paulowi krzywe spojrzenia. Strażnik był względnie nowy w tych okolicach; należał do załogi lądownika, który mocno zboczył z kursu. Jego oddział przedostał się do obozu po zakończeniu krwawej bitwy ze zbuntowaną frakcją Ziemian. Już po rozejmie.

Wells nie znał Paula najlepiej. Obdarzony żywym, sympatycznym usposobieniem strażnik zawsze wydawał mu się lepszym żołnierzem niż dowódcą – lecz to najwyraźniej uległo zmianie. Cokolwiek wydarzyło się między Paulem a jego oddziałem po wylądowaniu, uczyniło go ich nieformalnym przełożonym. Facet emanował aurą odpowiedzialności.

– Uwaga, nie bierzcie za dużo, bo się przeforsujecie. Kontuzjowani bądź ranni będziecie o wiele łatwiejszym łupem dla wroga.

Wells przewrócił oczami. Po napastliwej frakcji Ziemian ślad zaginął. Paul był po prostu zły, że ominęła go przygoda, i rekompensował to sobie popisami. Irytowało to chłopaka; nie miał dla takich wystąpień cierpliwości. Nie po tym, jak doświadczył prawdziwego rozlewu krwi.

Paul zmarszczył brwi. – Graham, co tam wyczyniasz z tym nożem? Nie będziesz dzisiaj polował.

– Kto tak twierdzi? – odparował zapytany, dobywając długiego ostrza z pochwy i wymierzając je w pytającego. Przez krótką chwilę Wells czuł palącą chęć, by interweniować. Graham bardzo się uspokoił w ciągu ostatnich kilku miesięcy, lecz Wells wciąż pamiętał okrutny błysk w jego oczach, gdy namawiał setkę zesłańców, by zabili Octavię. Jej przewinieniem było podkradanie leków.

Zanim jednak zdążył zareagować, Graham parsknął, schował nóż i odszedł, kiwając brodą na Erica, który właśnie zbliżał się z przeciwnej strony.

Eric podszedł do Wellsa.

– Pomóc ci z tym? Nie chcesz przecież się przeforsować i zostać łatwym łupem dla napastnika – rzekł cierpko.

Wells wydał z siebie wysilony, sztuczny śmieszek.

– Jasne, pewnie, dzięki. Zgarnę tylko trochę drewna na opał i zaraz do ciebie wrócę.

Odwrócił się i odszedł w kierunku wielkiej sterty gałęzi zgromadzonych za najodleglejszym rzędem chat. Uśmiech znikł z jego twarzy, szczęka ciążyła mu od nienaturalności tego grymasu. Każdy krok był ciężki od smutku. Ale mimo to szedł przed siebie. Podniósł siekierę i porąbał kloce na mniejsze, łatwe w transporcie kawałki, które ułożył w zgrabny stosik, ignorując drzazgi wbijające się we wnętrza dłoni, okręcił powrozem i zarzucił wiązkę na plecy.

Tymczasem osada się wyludniła. Mieszkańcy podążyli na polanę, by jeść i świętować udane zbiory, nowy początek, powiększenie się społeczności, świeżo osiągnięty pokój.

Wells wypuścił powietrze; ramiona mu opadły. Czuł, jak powróz wrzyna mu się w ciało osłonięte cienką koszulą. Potoczył spojrzeniem po opustoszałej dolinie. Dobrze się składało. Dotrze na polanę nieco spóźniony, za to z pokaźnym zapasem drewna na opał, tak potrzebnego do pieców i do ogniska. Będzie pilnował, by ogień nie przygasł. To zajęcie zapewni mu idealną wymówkę, by uniknąć świętowania, mów, setek znajomych twarzy. Uniknąć ludzi, z których każdy musiał dziś wspominać utraconych bliskich. Tych, którzy zginęli w Kolonii. A wszystko to przez niego.

To Wells uszkodził śluzę powietrzną, skazując tych, dla których zabrakło miejsca w lądownikach, na powolną śmierć przez uduszenie. Był wśród nich jego własny ojciec, kanclerz Kolonii.

Zrobił to, by ocalić życie Clarke. A jednak nie był teraz w stanie spojrzeć sobie w oczy w lustrze. Wszystko, co przedsięwziął, kończyło się zniszczeniem i śmiercią. Gdyby inni wiedzieli, co uczynił, odepchnęliby go, odpędzili od pełnych stołów, skazali na wygnanie z osady. I mieliby rację.

Zrobił głęboki wydech. Zachwiał się na nogach, ogarnięty nagłym przypływem słabości. Odwrócił się, by poprawić ciężar na plecach, i dostrzegł, że drzwi jednej z chat zostawiono otworem.

Chata należała do Maxa. Ojca Sashy.

Wells znał ją tylko przez kilka tygodni, lecz był to czas tak intensywny, tak pełen wydarzeń, że mógł zastąpić całe lata wspomnień. Najbardziej lubił spędzać z nią czas w osadzie. Sasha nie była tylko córką wodza ziemskiej społeczności, była jej siłą wiodącą. To ona pierwsza zdecydowała się ruszyć na zwiad, by zebrać informacje o setce zesłańców; zrobiła to, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Zawsze pierwsza wyciągała dłoń do pomocy, pierwsza ujmowała się za słabszymi. Była bardzo użyteczna, ceniona oraz kochana. A teraz była też martwa.

Polana na opał zsunęły się Wellsowi z pleców. Postąpił kilka niepewnych, chwiejnych kroków, aż stanął w progu. Nie był w tej chacie niemal od miesiąca; unikał wspomnień. Unikał pogrążonych w żałobie Ziemian – tak długo, jak to było możliwe. Ale teraz nikogo nie było w pobliżu, a to miejsce przyciągało go niczym magnes.

Wpatrzył się w półmrok. Stół zarzucony mnóstwem elektronicznych rupieci; niewielka kuchenka; posłanie Maxa; a na tyłach kącik, który należał do Sashy.

Jej łóżko, koc uszyty ze skrawków tkanin, bukiecik zasuszonych kwiatów i rysunek ptaka wyryty kilkoma cięciami w drewnianej ścianie. Jakby nic się nie zmieniło.

– Nie byłem w stanie się tym zająć – rozległ się głęboki, chrapliwy głos za plecami Wellsa.

Wells odwrócił się i ujrzał, że tuż za nim stoi Max. Mężczyzna wbijał w chłopaka spojrzenie o nieprzeniknionym wyrazie. Jego broda była schludnie przycięta, a odświętna odzież czysta i pocerowana – widać było, że przygotował się do dzisiejszej oficjalnej roli. Ale nie robił teraz wrażenia przywódcy Ziemian ani członka nowej, zjednoczonej rady. Wydał się Wellsowi zraniony, złamany – ojciec, który wciąż tkwi głęboko w żałobie.

– Wiesz, narysowała tu tego ptaszka, gdy miała pięć lat. Chyba całkiem nieźle jej to wyszło jak na ten wiek. Jak na każdy wiek. – Zaśmiał się krótko. – Być może w starym świecie mogłaby zostać artystką.

– Mogłaby zostać, kimkolwiek by chciała – odparł Wells miękko.

Max potaknął i wsparł się wyciągniętą dłonią o ścianę chaty, jakby coś właśnie w nim pękło.

„Nie powinienem tu być”, pomyślał Wells, ale nim zdołał wybąkać jakąś wymówkę i odejść, Max wyprostował się i wszedł do chaty, gestem zapraszając chłopca, by mu towarzyszył.

– Ułożyłem sobie małą mowę na rozpoczęcie, rzecz jasna, ale zostawiłem ją, o tu. – Mężczyzna zaczął grzebać w rozrzuconych na prowizorycznym biurku przedmiotach; w końcu znalazł zabazgrany skrawek papieru. – Miejsca za stołami szybko się zapełniają. Powinieneś chyba się pośpieszyć.

– Nic nie szkodzi. Nie wiem nawet, czy w ogóle się pojawię. – Wells gapił się na

swoje buty, czując na sobie to przenikliwe spojrzenie tamtego.

– Masz takie samo prawo zasiąść do tego stołu jak każdy inny, Wells – powiedział Max cichym, ale pewnym głosem. – Ci ludzie… nasi ludzie… mogą dziś świętować dzięki tobie. Chodzą po tym świecie dzięki tobie.

Wells zerknął ukradkiem na kącik Sashy, a Max podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Wiesz, w pewien sposób ona też tam będzie z nami – dodał łagodniejszym tonem. – Zawsze bardzo lubiła święto zbiorów.

Położył Wellsowi rękę na ramieniu. – Chciałaby, żebyś spędził je przyjemnie.

Wellsa zapiekły oczy. Wbił spojrzenie w ziemię i przytaknął. Max uścisnął lekko jego ramię, a potem zwolnił uścisk.

– Będę siedział u szczytu stołu razem z resztą rady – oznajmił, wychodząc z chaty. – Zajmę ci miejsce obok. Nie chciałbyś przegapić przemówienia Bellamy'ego, prawda?

Wells uśmiechnął się mimo woli, wyobrażając sobie, jak jego przyrodni brat, ledwo opierzony doradca, będzie przemawiał do tłumów. Swoje pokrewieństwo chłopcy odkryli bardzo niedawno, lecz ich relacja szybko zmieniała oblicze: od niechętnego szacunku przeszli do więzi nacechowanej prawdziwym ciepłem i zaufaniem.

Wells zatrzasnął za sobą drzwi chaty, rzucając ostatnie spojrzenie na wyrytego w drewnie ptaszka. Trudno było uwierzyć, że to dzieło przedszkolaka. Mała Sasha uchwyciła zwierzątko w locie wraz z całą jego radosną gracją. Ona sama rzadko wyglądała tak beztrosko – tylko w chwilach, gdy odkładała na bok liczne obowiązki i pozwalała sobie na chwilę zapomnienia. Wells mógł ją oglądać w takich momentach; znienacka uświadomił sobie, jak wielki był to przywilej. Patrzył, jak Sasha wskakuje do jeziora z wysokości, na którą on by się nie odważył. Piszczała przy tym z podekscytowania. Oglądał ją tuż po pocałunku, gdy to śmiałe zielone spojrzenie stawało się miękkie i czułe. Przez swoją niedbałość Wells pozbawił ich życia pełnego takich chwil. Za to nic nie mogło naruszyć wspomnień, które przechowywał w sercu.

Być może nie miał prawa, by świętować dziś wraz z innymi – nie po tym, co uczynił, za co był odpowiedzialny. Lecz wiedział jedno: miał być za co wdzięczny.

ROZDZIAŁ 3

GLASS

Cisza otulała ich posłanie niczym dodatkowy koc. Ta część obozu opustoszała; wszyscy wyszli pomóc przy przygotowaniach do święta zbiorów. Lecz tego popołudnia Glass nie ruszyła się ani na krok z małej chatki przycupniętej na skraju polany. Zajmowała sobą Luke'a i sama była bardzo zajęta.

Rzadko udawało im się wyrwać taki moment dla siebie. Odkąd Luke wyleczył groźną ranę nogi, nie miał wolnej chwili. Opuszczał chatę o świcie i wracał długo po zmierzchu, zmordowany, lekko kulejący; Glass nie mogła na to patrzeć bez kłucia w sercu.

Luke próbował się oprzeć na łokciu, ale dziewczyna powstrzymała go pocałunkiem w bark, ramię, pierś i jeszcze niżej. Drażniąco niżej.

Jęknął przez wygięte w uśmiechu wargi.

– Muszę iść, zaraz zacznie się moja zmiana.

Okrywała pocałunkami jego szczękę i szyję. – Jeszcze chwilę.

– Wciąż się przez ciebie spóźniam. – Przesunął palcami po jej kręgosłupie; nie brzmiało to, jakby się skarżył.

– Nikt się nie pogniewa. – Glass przytuliła się do niego. – I tak robisz więcej niż ktokolwiek inny. Własnoręcznie zbudowałeś połowę obozu. – Przechyliła głowę, obdarzając go pełnym dumy spojrzeniem. – Mój wspaniały inżynier.

Luke zaprojektował dwa odrębne typy chat; małą rodzinną i większą, przeznaczoną dla większej liczby osób, na przykład sierot albo strażników. Ale ta, w której zamieszkał z Glass, była jedyna w swoim rodzaju. Postawiono ją w pewnym oddaleniu od pozostałych; jej okna wychodziły w kierunku, w którym o tej porze roku wstawało słońce. Mieli nawet kominek i malutką kuchenkę ze stołem i krzesłami. Nikt nie robił żadnych uwag odnośnie do ich związku. Miła odmiana po okresie ukrywania się na statku, gdzie najpierw rozdzielała ich opresyjna struktura społeczna, a potem dodatkowo fakt, że Glass była uciekinierką.

– Nadzorowałem wzniesienie tego i owego – poprawił ją. – Wszyscy tutaj wypruwają z siebie flaki przy robocie. Zresztą dziś nie mam zmiany na budowie, tylko jako strażnik. – Luke przeczesał palcami jasne kędziory, które spływały na twarz Glass niczym kurtyna, a potem westchnął, dmuchając jej w kark.

Glass znała to westchnienie. Oznaczało, że jej czas się skończył. Uśmiechnęła się dzielnie i usiadła prosto, by mógł się wygramolić z łóżka i ubrać.

– Czemu musisz iść na patrol w samo święto zbiorów? – spytała, wciągając

koszulę przez głowę. Palcami nóg macała po polepie, szukając porzuconej wiele godzin temu wełnianej tuniki. To był powitalny prezent od jej nowych przyjaciół z Ziemi. Nawet wewnątrz chaty wiało ostrym chłodem, mimo że słońce jeszcze nie zaszło. Nadchodziła ich pierwsza ziemska zima.

Zima na Ziemi. Podekscytowana wyobraziła sobie płonące w ogniskach grube bale, oślepiającą zasłonę śniegu i długie noce spędzane w ramionach Luke'a.

– Bo ktoś powinien. Równie dobrze mogę to być ja – odparł, wciągając buty. Przeciągnął się i stęknął cicho, gdy w karku mu zatrzeszczało. – Nie będzie ci smutno samej, prawda? – spytał, siadając na krawędzi małego łóżka. – Możesz usiąść koło Clarke i Wellsa.

Trąciła go ramieniem. – Dam sobie radę. – Przybrała ton beztroski, lecz prawda była taka, że przystosowanie do obozowego życia nastręczało jej znacznie więcej trudności niż jemu. Na statku Luke należał do grupy elitarnego korpusu inżynieryjnego; dzięki swoim umiejętnościom natychmiast okazał się użyteczny. Glass nie bała się ciężkiej pracy, ale ani nie była naturalnym przywódcą jak Wells, ani nie posiadała fachowej wiedzy jak Clarke, której medyczne wyszkolenie ocaliło już dziesiątki istnień. Glass nigdy nie doświadczyła z jej strony niczego poza życzliwością. Ale i tak podejrzewała, że dawna znajoma ze szkoły nadal postrzega ją jako tę płytką dziewczynę, której życie kręciło się wokół błyskotek dostępnych na bazarze i plotkowania z podobnymi sobie przyjaciółkami.

Glass wstała, zmuszając się do uśmiechu.

– Powinniśmy już iść. Obiecałam Clarke, że pomogę jej zanieść jedzenie chorym w chacie szpitalnej, więc… – Skinęła głową w stronę drzwi. – Ruszajmy, co?

– Tak jest – odparł Luke z figlarnym salutem. Wypychany za próg, śmiał się, unosząc ręce nad głową w geście poddania. Gdy ruszył przed nią, przyglądała się chwilę, jak stawia kroki.

Doktor Lahiri powiedział, że rekonwalescencja Luke'a była niezwykle szybka. Dziewczyna nie mogła patrzeć na jego nogę, nie widząc zarazem oszczepu, który ją przebił. To ona przetransportowała rannego w bezpieczne miejsce, wlokąc go wzdłuż brzegów rzek i przez lasy. Do obozu dotarli akurat na czas, by Luke mógł przyjąć potrzebne lekarstwa. Wells nazwał ją odważną, ale Glass wiedziała, że kierowały nią panika i desperacja. Przeszli razem tyle, że nie wyobrażała sobie dalszego życia bez Luke'a.

Obejrzał się na nią teraz, zdziwiony, czemu tak długo tkwi bez ruchu.

Wyszczerzyła zęby w uśmiechu i zawołała:

– Podziwiam widok!

Luke uniósł brwi. Glass podbiegła, wzięła go pod ramię i przywarła całym ciałem, dostosowując tempo kroków do jego tempa. Mijali kolejne rzędy chałup. Wkrótce ich oczom ukazał się pierwszy zwiastun uroczystości: krąg długich stołów udekorowanych wieńcami oraz zielonymi girlandami i uginających się od rozmaitych pyszności. Glass nie widziała tyle jedzenia naraz od czasu wylądowania na Ziemi.

– Jednak masz rację – odezwał się Luke z żalem w głosie. – To odrobinę nie fair, że akurat ja muszę dziś być na służbie.

– Zostawię ci coś, przyrzekam. I deser też.

– Deserem się nie martw – odparł. Musnął jej kark ustami, nachylił się do jej ucha i wyszeptał: – W tej kwestii mam ochotę na jedno i nie sądzę, żeby tego zabrakło.

Jego ciepły oddech przyprawił ją o gęsią skórkę.

– Ostrożnie, żołnierzu! – zawołał kpiąco przechodzący obok Paul. – Angażowanie się w czynności natury intymnej podczas służby jest ściśle zabronione. Podpunkt czterdziesty drugi Doktryny Gai. – Paul zaśmiał się ogłuszająco, puścił do nich oko i poszedł swoją drogą.

Dziewczyna przewróciła oczami, lecz Luke tylko się uśmiechnął.

– Paul jest w porządku. Trzeba go tylko trochę lepiej poznać.

– Mówisz tak o każdym – Glass mocniej ścisnęła jego ramię. – W każdym doszukujesz się najlepszego. – Podziwiała w nim tę cechę, choć przez nią czasem chłopak długo nie potrafił dostrzec w kimś zła. Tak właśnie było z jego wrednym koleżką z czasów Kolonii, Carterem.

Na skraju polany wznosiła się całkiem nowa wieża; strażnicy trzymali w niej broń. Był to najsilniej ufortyfikowany budynek obozu.

Jedna z najmłodszych strażniczek imieniem Willa wyszła właśnie z wieży, ziewając szeroko.

– Masz następną wartę, Luke? – spytała, przechodząc w powolny trucht. – Nic się nie dzieje. Nudy na pudy. Nawet nie ma broni, żeby jej pilnować.

Brew Luke’a zmarszczyła się lekko.

– Co masz na myśli?

– No, że zabrali stąd całą broń. – Willa wzruszyła ramionami. – Zostawiłam swoją strzelbę na stojaku, a teraz jej nie ma.

– Okej… – Luke zwolnił kroku. – Dzięki, Willa. Przyjrzę się temu.

Glass wspięła się na palce, by pocałować go po raz ostatni, a potem stała i patrzyła, jak odchodzi w stronę wieży. Gdy zniknął w środku, odwróciła głowę, skuszona wonią pieczeni ze świątecznych stołów.

W centrum polany stali nowi członkowie rady i rozprawiali z widocznym ożywieniem. Bellamy tkwił nieco z boku, rzucając przez ramię nerwowe spojrzenia. W oddali Glass dojrzała Clarke maszerującą z naręczem talerzy do chaty szpitalnej.

Glass podbiegła.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała, sięgając po jeden z talerzy.

– Radzę sobie – odparła widocznie zmordowana Clarke. – Ale możesz mi zrobić przysługę? Pobiegnij i przynieś trochę rumianku z tej łączki nad stawem, co? Mam pacjentów, którzy nie zasną bez niego, a parzy się go całymi godzinami.

– Oczywiście – odparła Glass zadowolona, że może się przydać. – Jak on wygląda?

– Takie małe białe kwiatki. Przynieś tyle, ile znajdziesz, korzenie też.

– Jasne. A gdzie ten staw?

– O jakieś dziesięć minut drogi na wschód. Idź w stronę osady Ziemian, ale skręć przy sośnie. Potem znowu idź prosto i skręć w lewo przy kępie czarnych jagód.

– Przepraszam, ale sosny to które drzewa?…

Przez zmęczoną twarz Clarke przemknął cień zniecierpliwienia.

– Te z igłami zamiast liści.

– Jasne – powtórzyła Glass potulnie. – A krzewy czarnych jagód to…

– Wiesz co, już nieważne – przerwała jej Clarke. – Sama pójdę.

– Nie, nie trzeba, poradzę sobie! – odparła Glass. Była pewna, że Luke pokazywał jej wcześniej, jak wygląda krzew czarnych jagód. – Znajdę je jakoś.

– Prościej będzie, jeśli ja to zrobię – westchnęła Clarke. – Ale dzięki za chęci. Może następnym razem. – Pobiegła, zostawiając Glass całkiem samą. Policzki ją paliły. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie się tu czuć jak obca. Gorzej: jak ciężar.

Tymczasem stojący w oddali Max uniósł rękę i podekscytowany szmer licznych rozmów ścichł na tyle, że dziewczyna mogła go usłyszeć. Powitał wszystkich przybyłych na ucztę, przybliżył wielusetletnią tradycję, która za nią stała, i zasadę jej przyświecającą: święto zbiorów było czasem wdzięczności.

– Policzmy teraz nasze dobrodziejstwa. Podziękujmy losowi za dary, którymi obsypał nasze stoły, i za wszelkie dobro, jakie opromieniło naszą przeszłość. – Głos mu się załamał i ścichł gwałtownie; Glass poczuła ból w sercu. Nie znała Sashy zbyt dobrze, ale wiedziała, czym jest męczarnia żałoby. Każdej nocy tuż przed zaśnięciem pod powiekami dziewczyny rozbłyskał znajomy kadr: matka rzucająca się, by zasłonić Glass własnym ciałem. Krew, co rozkwitła jaskrawą plamą i wciąż się powiększała. Aż światło w oczach matki zgasło.

Buchnęły huczne oklaski. Mnóstwo osób wstało i zasłoniło jej widok, ale wydawało jej się, że mówca objął Wellsa.

Glass wzięła głęboki oddech i zaczęła nieśpiesznie iść w kierunku zgromadzenia. Skoro nie zdołała być przydatna, równie dobrze mogła dołączyć do świętujących. Była już blisko stołów, gdy u jej stóp upadła wielka szyszka. Kopnęła ją odruchowo, podobnie jak robiła podczas zabawy z dziećmi. Szyszka wylądowała kilka metrów dalej – a potem eksplodowała.

Stała się światłość – oślepiający błysk. Nie istniało w tamtej chwili nic oprócz tego palącego blasku.

Potem uderzyła ją ściana rozgrzanego powietrza i ziemia z łoskotem usunęła się jej spod stóp. Ledwie zdążyła zarejestrować ten upiorny huk, gdy został on zastąpiony przenikliwym, cienkim wizgiem.

Glass leżała z twarzą wciśniętą w ziemię. Spazmatycznie wciągnęła powietrze; miało dymny, ciężki, niepokojący posmak. Drżąc na całym ciele, podparła się ramionami, jęcząc cichutko.

Obóz płonął. Strząsnęła z twarzy gorące drzazgi; po chwili ziemią zatrzęsła kolejna eksplozja. Dochodziła z przeciwległego krańca polany, od strony wieży strażniczej.

Ludzie rozpierzchli się, krzycząc. Glass dźwignęła się na czworaka, wyciągniętą ręką musnęła czyjąś rękę, chwyciła tę cudzą dłoń… i chwilę później zorientowała się, że do dłoni nie jest przyczepiona żadna reszta.

Wrzasnęła i odskoczyła w tył. Wnętrzności podeszły jej do gardła, ale stłumiła

odruch wymiotny i starając się nie upaść, zawołała:

– Luke! Luke!

Nie była w stanie zorientować się w położeniu. Obróciła się bezradnie trzy razy wkoło, zanim pojęła dlaczego. Wieża strażnicza, znak rozpoznawczy terenu – zniknął. Została po nim osmalona sterta bierwion. Spalona ziemia.

Budynek, w którym przebywał Luke, przestał istnieć.

Glass zaczęła kuśtykać ku pogorzelisku, ignorując protesty obolałego ciała. Zalewała ją panika. Chciała krzyczeć wniebogłosy, ale nie mogła wydobyć z siebie dźwięku.

Myślała już, że upadnie, zemdleje ze strachu i bólu – gdy w obłoku dymu pojawiła się przed nią w oddali znajoma postać. Luke! Cały i zdrowy; widocznie nie było go w wieży podczas eksplozji. Ich spojrzenia spotkały się, a na twarze wypłynęła ulga.

Ale potem Luke spojrzał ponad jej ramieniem i oczy rozszerzył mu strach. Nie mogła dosłyszeć słów, lecz była pewna, że szepcze „Uciekaj”.

Glass odwróciła się na pięcie i dostrzegła obcego, wysokiego człowieka o ogolonej głowie. Miał na sobie dziwne białe szaty.

Wbił jej igłę w szyję.

Świat przeszedł z rozprażonej czerwieni w nakrapianą jasność, a potem w czerń. Upadła na ziemię; huk uderzenia doszedł ją z bardzo daleka.

Spadła w nicość.

ROZDZIAŁ 4

BELLAMY

Ludzie dookoła krzyczeli wniebogłosy, biegli i padali w biegu, a w głowie Bellamy'ego tłukły się dwie myśli:

„To się nie dzieje naprawdę". Oraz… „Wiedziałem".

Nigdy nie będą bezpieczni na Ziemi.

Po chwili przez mgłę, którą spowity był jego mózg, przebiły się inne, bardziej naglące: „Clarke. Octavia. Wells".

Wciąż siedział za stołem rady; wytężał teraz wzrok, starając się przebić przez kłęby dymu przesłaniające polanę. Oczy go zapiekły. Ledwie potrafił rozróżnić ludzkie twarze.

– Octavia! – wyrwało mu się z gardła, ale okrzyk wchłonęła wrzawa. – Clarke! Gdzie jesteś? – Rzucił się naprzód. Nie spocznie, dopóki ich nie znajdzie.

Nagle przez harmider głosów przebił się zupełnie inny, suchy, mrożący krew w żyłach dźwięk. Wystrzały. Bellamy był półprzytomny od stresu i paniki, a jednak wydało mu się to osobliwe. Ziemianie, którzy napadli ich poprzednim razem, nie mieli broni palnej.

– Bellamy, padnij! – Silna dłoń chwyciła go w pasie i pociągnęła na ziemię. To był Felix, przyczajony pod drewnianym stołem; wokół kuliło się pięć czy sześć innych osób. – To przyszło z lasu… o Boże… o mój Boże – dyszał. – Tam jest Eric. Wybrał się do osady po zapasy. Widzisz go może?

Łoskot wystrzałów umilkł nagle. Bellamy'emu dzwoniło w uszach. Ten, kto ich napadł, właśnie przeładowywał.

– Niech nikt się nie rusza! – rozbrzmiał gdzieś w pobliżu potężny głos Maxa. Lecz było już za późno. Jakaś kobieta, którą Bellamy rozpoznał z czasów „Arkadii", wypełzła spod stołu i zaczęła biec w stronę chałup. Rozległ się suchy szczęk salwy i kobieta padła na plecy, tryskając krwią.

Matka Clarke po chwili już była przy niej i dociskała dłoń do rany w szyi.

Kule znów zagrzechotały; lekarka rozpłaszczyła się na ziemi.

– Mary! – ryknął Bellamy. – Wracaj tu!

Lecz wiedział, że wysila się na darmo. Jeśli jakiś gen sprawiał, że ludzie dbali przede wszystkim o własne bezpieczeństwo kosztem cudzego, to kobiety z rodu Griffinów były go pozbawione.

Serce w nim zadrżało. Clarke! Musiał ją znaleźć, nim dziewczyna zrobi coś szlachetnego i pozbawionego sensu.

Zacisnął zęby i zaczął się czołgać przed siebie. Spojrzał w górę; Wells z Erikiem akurat wybiegali z lasu. Pochwycili rannego Ziemianina i wciągnęli go na skraj polany, gdzie przycupnęli pomiędzy drzewami. Bellamy zerwał się na równe nogi i podbiegł do nich. Wszyscy trzej kucali teraz za grubym pniem.

– Widzieliście Clarke? Albo Octavię? – spytał Bellamy schrypniętym głosem.

Wells pokręcił głową.

– Widział ktoś Felixa? – dopytywał Eric. Przysunął się nieco bliżej i wbił wzrok w polanę.

– Siedzi pod stołem – odparł Bellamy. – Minąłem go chwilę temu. Nic mu nie jest.

Eric odetchnął z ulgą. – Chwała Bogu.

– Co tu się dzieje, do cholery? – spytał Bellamy; słowa po prostu z niego wyciekły, choć wiedział, że nie otrzyma sensownej odpowiedzi. Był przerażony, zagubiony; tamci podobnie, widział to w ich twarzach jak w lustrach.

– Nie mam pojęcia – odparł Wells z bólem w głosie. – Czekaj, popatrz no tam…

Od ciemnej ściany lasu naprzeciw polany oderwały się sylwetki ludzkie. Było ich co najmniej dwanaście, sami mężczyźni. Mieli ogolone głowy i białe stroje. Maszerowali.

Krew ścięła mu się w żyłach, gdy na nich patrzył; szeregi nieruchomych postaci o pozbawionych wyrazu twarzach podobnych do masek. Podchodzili przerażająco blisko. Ale najgroźniejszy widok stanowiły lufy broni, błyszczące w popołudniowym słońcu.

Wkroczyli na środek polany. Kilku ludzi złamało szyk; rozbiegli się i zaczęli wyciągać kolonistów oraz Ziemian spod stołów. Wlekli ich za ręce i nogi. A potem zawrócili do lasu wraz ze swymi ofiarami.

– Co oni robią? Nie możemy im pozwolić po prostu kogoś zabrać… – odezwał się Wells. Wstał, gotów do skoku na napastników. Lecz Bellamy z Erikiem przytrzymali go za ramiona.

– Zgłupiałeś? – syknął Bellamy. – Zabiją cię.

– Nie możemy się tak po prostu schować. Zobaczcie, co robią! – Wells wyrwał się chłopakom i wskazał przed siebie drżącą dłonią. Inna grupa biało odzianych mężczyzn wymaszerowała właśnie z chaty, w której trzymano zapasy; nieśli ciężkie płócienne worki.

Skubańcy okradali ich z zapasów, jedzenia, z drewna na opał. Nawet ich strzelby wyglądały znajomo – i był po temu dobry powód; zostały ukradzione z wieży strażniczej. Przeciw kolonistom użyto ich własnej broni.

Bellamy aż podskoczył, gdy czyjaś dłoń opadła mu na ramię. To był ojciec Clarke, pobladły i drżący. Ale to nie jego bezkrwista twarz sprawiła, że chłopakowi skoczył puls. Pan Griffin drugą ręką podpierał żonę, która przyciskała dłoń do boku wilgotnego od krwi.

– Dobrze się pani czuje? – spytał głupio Bellamy. Wells rzucił się ją podtrzymać.

– Bywało gorzej – odparła Mary, choć twarz zniekształcał jej grymas bólu. – Ale martwię się o Clarke. Szła właśnie do infirmerii, gdy zaczęły się te kanonady. Nie wiem… – zamilkła, krzywiąc usta.

– Znajdę ją – Bellamy uścisnął jej drugą, nieuszkodzoną rękę. – Przyrzekam.

– Pójdę z tobą – zaofiarował się Wells.

– Nie, zostań z nimi. – Bellamy wskazał brodą rodziców Clarke. – W ten sposób będziesz bliżej rannych. – Modlił się w duchu, by gdy to się skończy, pozostali jeszcze jacyś ranni, którym będzie można pomóc.

Biało odziani napastnicy o beznamiętnych twarzach rozbiegli się po polanie. Niektórzy trącali ciała nogą, szukając znaków życia. Bellamy nie był pewien, kogo właściwie chcą znaleźć ani co decyduje o tym, kogo wloką do lasu, a kogo ignorują. Co jakiś czas padał pojedynczy strzał. Odpowiedzią był czyjś krzyk – albo przerażające milczenie.

Bellamy obrócił się i pognał w las, do chaty szpitalnej wzniesionej na przeciwległym krańcu polany. Miesiące polowań nauczyły go poruszać się sprawnie i bezgłośnie, choć tym razem nie był myśliwym. Był zwierzyną.

Mijał ludzi przywartych do pni drzew, przyglądających mu się rozszerzonymi oczami. Niektórzy go wołali, ale nie zwolnił kroku. Musiał się upewnić, że Clarke i jego siostra są bezpieczne; potem zrobi, co w jego mocy, żeby pomóc wszystkim innym.

– Bel? – rozległ się głośny szept. Plama czarnych włosów związanych postrzępioną czerwoną wstążką. Octavia!

Zatrzymał się gwałtownie. Jego siostra kucała za rozrośniętym krzewem, obejmując mocno gromadkę dzieci, by nie wyrwały się i nie rzuciły w oczy napastników. – Co robimy? – spytała. W jej głosie było więcej zaciętości niż lęku.

– Nie ruszaj się stąd – odpowiedział półgłosem. – Wrócę po ciebie.

Octavia kiwnęła głową i zaczęła coś szeptać do dzieci.

Bellamy był już niemal przy chacie szpitalnej. Musiał przeciąć spłacheć odsłoniętej przestrzeni, żeby się do niej dostać. Na szczęście napastnicy nie dotarli aż tu; skoncentrowali swoje siły na przeciwległym końcu polany, tam, gdzie miała się odbyć uczta.

Chłopak głośno wypuścił powietrze z płuc, gdy dopadł progu. Chata wyglądała na nietkniętą, agresorów nie było widać nigdzie w pobliżu. Zaniepokoiła go tylko ta cisza.

Za jego plecami trzasnęła gałązka; Bellamy obrócił się, zaciskając pięści. Ale zamiast jednego z tych w bieli zobaczył strażnika z Kolonii unoszącego ręce do góry.

Ledwie poznał Luke’a – sadza pokrywała go od kędzierzawej głowy po czubki butów. Obniżył lufę strzelby i podszedł bliżej, kulejąc mocniej niż zwykle.

Bellamy klepnął go w ramię. – Żyjesz?

Luke wyglądał bardziej na oszołomionego niż przejętego lękiem.

– Ten pierwszy wybuch mną miotnął, a potem ktoś, jeden z tych facetów w białym, zaczął mnie wlec, no a potem wybuchło jeszcze raz. Uciekłem mu, znalazłem broń i poradziłem sobie z nimi.

Bellamy potoczył spojrzeniem dookoła. – Nikt cię nie śledził?

– Nie sądzę.

– Dobrze. Chodź do środka.

Drzwi chaty służącej jako szpital stawiły opór; zostały zabarykadowane od środka przy pomocy szafek, toreb lekarskich, a nawet pryczy. „Dobry pomysł, Clarke”, pomyślał, mimo że musiał teraz znaleźć sposób, by obejść przeszkodę. Nie mieli wiele czasu. Napastnicy wciąż byli zajęci kradzieżą zapasów, ale w końcu trafią i tutaj.

– Clarke – powiedział miękko – to ja.

Na szczycie tarasującej przejście sterty pojawiły się palce.

– Będziesz musiał się wspiąć! – zawołała dziewczyna, rozgarniając pomniejsze przedmioty. – Zrobię ci tu przejście. Znalazłeś dzieciaki?

– Ukrywają się z Octavią – odparł Bellamy. – Przyprowadzimy je tu.

– Biegnij! – zawołała, choć on już pędził w przeciwną stronę, a Luke tuż za nim.

Nad zdziesiątkowanym obozem unosił się gęsty dym, tworząc ciężką, szarą chmurę. Wyglądało na to, że ludzie w bieli opuścili polanę, gdy on był w chacie szpitalnej.

Dzieciaki musiały dostrzec ich dwóch z oddali, bo najmniejszy zaczął wypełzać ze względnie bezpiecznych krzaków. Bellamy zaklął. Obóz wyglądał teraz upiornie pusto, ale chwilę temu byli pod ostrzałem.

Chłopczyk – może pięcioletni – pędził do Luke’a, płacząc i wyciągając rączki. Ale wciąż rozdzielało ich bez mała trzysta metrów. Pozostali malcy posypali się za nim bezładną grupką.

Bellamy ruszył sprintem, wskazując dzieciom infirmerię; mijały go falą, a on przepatrywał otoczenie w takim pośpiechu, że widok mu się rozmazywał.

Tylko Octavię widział wyraźnie i ostro, Octavię potykającą się w biegu – wciąż zbyt daleko od niego. Nagle rozegrała się scena niczym z sennego koszmaru; trzy wysokie postacie w bieli wychynęły z cienia drzew. Bellamy mógł tylko biec i biec, i biec z oczami wlepionymi w twarz siostry.

„Szybciej!”, krzyknął. Tak mu się przynajmniej wydawało; z jego gardła nie wyszedł żaden dźwięk. Nawet wtedy, gdy dwóch w bieli chwyciło ją, wykręcając ramiona, a trzeci dobył z kieszeni strzykawkę i wbił jej igłę w szyję. Chwilę później upadła w ramiona porywaczy, wiotka niczym szmaciana lalka.

– Nie! – ryknął Bellamy. – Zostawcie ją, bo was zabiję!

Tamci spojrzeli na niego z wyrazem nikłego zainteresowania na twarzach. Jeden z nich cisnął na polanę jakiś przedmiot, a pozostali zanieśli jego siostrę w ciemny gąszcz.

Bellamy puściłby się w pogoń, lecz Luke chwycił go mocno i pociągnął w tył.

– To granat. Padnij!

Upadli na twardą ziemię, okrywając głowy rękami w oczekiwaniu eksplozji – ale ta była nieznaczna, stłumiona. Bellamy wpatrywał się w zasłonę dymną wyrosłą między nim a ostatnim miejscem, w którym widział siostrę. Podciągnął koszulkę do góry, osłonił nią twarz i wstrzymał oddech. Przeprawił się przez obłok sztucznej mgły i wypadł z niego po przeciwnej stronie, by zobaczyć… kompletne nic.

Porywacze zniknęli.

A Octavia razem z nimi.

ROZDZIAŁ 5

WELLS

Coś uderzało go w głowę, powodując przy tym rytmiczny, wibrujący huk. Raz po raz, powolnym, nieustępliwym rytmem. Próbował rozkleić powieki, lecz były ciężkie jak worki z piaskiem; poza tym jakiś głos w podświadomości przypominał słabo, że tak naprawdę wcale nie chce się obudzić. Jeszcze nie. Nie był gotów na żadne wieści.

Pamiętał tylko tyle, że kryli się w lesie z Erikiem. Bellamy ruszył szukać Clarke, a oni dwaj zajęli się ściąganiem rannych ludzi z polany. Wypuszczali się biegiem na otwartą przestrzeń i przenosili ich do lasu, gdzie ojciec Clarke mógł udzielić im pomocy medycznej.

Kucali właśnie pod osłoną drzew, podtrzymując rannego, gdy wtem Wells poczuł ostry ból w łopatce. Okręcił się w miejscu, zdążył jeszcze ujrzeć wysokiego, posępnego obcego o zapadniętych policzkach… a potem stała się pustka.

Wellsowi pomału wracała świadomość, gdzie jest i co się z nim dzieje. Dotyk twardego, spękanego drewna pod łopatkami. Uczucie kołysania – podobne nieco do tego na lądowniku, nim statek zszedł do atmosfery.

Kwaśny, wilgotny zapach połączony z dziwacznym, przenikliwym dźwiękiem. Jego opuszczone powieki drażniło światło.

– Ten się budzi – rozległ się męski głos przy jego uchu. Nie poznawał tego głosu.

Wells uniósł wreszcie powieki. Miał przed sobą drewnianą ścianę, dość kiepsko zresztą skonstruowaną; szpary między cienkimi, przegniłymi deskami bardzo rzucały się w oczy. W jednym z prześwitów jaśniało coś zielonego. Jego oszołomiony mózg zaczął w ślimaczym tempie łączyć fakty. Las? Poruszali się; to był jakiś rodzaj pojazdu.

– Gdzie, do cholery, nas zabieracie? – krzyknął znajomy głos. Zaraz potem rozległ się głuchy dźwięk uderzenia; drewniana ściana zadrżała. Z pamięci Wellsa wypłynęła twarz wykrzywiona paskudnym uśmiechem. A potem imię. Graham. Krzyczący chłopak to był Graham.

– Nie jest gotów. Dajcie mu drugi zastrzyk – zarządził tamten nieznany, niski głos.

Spłoszony Wells próbował się poruszyć, ale ramiona miał skrępowane za plecami. Być może kostki nóg także mu związano. Nie był pewien – kręgosłup miał poobijany, stopy zdrętwiałe od bezruchu. Poruszył nimi ostrożnie i poczuł miliardy maleńkich ukłuć, jakby oblazły go mrówki.

– Nic ci nie jest – oznajmił beznamiętny głos gdzieś nad nim. Wells zdołał wykręcić szyję na tyle, by dostrzec patrzącego nań bladego chłopca.

– Walka się skończyła. Miałeś szczęście.

„Szczęście?”, próbował odpowiedzieć Wells, ale nie potrafił wydobyć z siebie dźwięku.

„Odurzyli mnie czymś… ten ból w plecach… złapali mnie w lesie i dali jakiś zastrzyk”.

– Teraz jesteś jednym z nas – oznajmił chłopiec. – Pozwolimy ci się obudzić, jeśli nie będziesz krzyczał.

Wells nie dosłyszał tego zdania do końca. Znów osunął się w nicość.

Gdy następnym razem otworzył oczy, było już ciemno. Ktoś dźwignął go do pozycji siedzącej, z nogami wyprostowanymi na podłodze; wciąż pętał je gruby powróz.

Wstrzymał oddech i mrugał tak długo, aż wzrok mu się przyzwyczaił.

Zgadł dobrze – znajdował się w czymś w rodzaju krytego wozu o drewnianych ścianach i wysoko umieszczonych, teraz zasłoniętych oknach. W jednym z kątów skromnej przestrzeni umieszczono wąską ławeczkę. Siedziało na niej trzech ludzi w białych strojach, w tym blady chłopiec, który odezwał się do Wellsa, i tamten straszny olbrzym z lasu.

Nie rozmawiali; po prostu tkwili, kołysząc się wraz z pojazdem. Oczy mieli całkiem bez wyrazu.

Wóz podskoczył na jakimś kamieniu; ramię Wellsa wbiło się w czyjeś ramię. Nadal miał spowolnione reakcje, lecz dał radę odwrócić głowę na tyle, by przyjrzeć się czwórce ludzi obok. Wszystkich przywiązano do ściany w pozycji siedzącej; spali, zapewne otumanieni tym samym środkiem. Serce w Wellsie zamarło, gdy rozpoznawał ich twarze. Obok Grahama siedział Eric – jego policzek przecinała głęboka rana. Za nim jakiś dzieciak z „Arkadii” i ktoś starszy, kogo Wells już zupełnie nie rozpoznawał. Jeden z ludzi od Sashy.

Żołądek chłopaka zacisnął się boleśnie. Cokolwiek robił – we wszystkim ją zawodził. Nie miał pojęcia, kim byli ci mordercy w bieli, lecz pojawili się dopiero po przybyciu kolonistów.

Wells podejrzewał, że gdzieś na Ziemi muszą żyć jeszcze jacyś inni ludzie, lecz społeczność, do której należała Sasha, nigdy dotąd się z nimi nie zetknęła. Czyżby odkryto ich przez najazd lądowników? Czyżby koloniści skazali wszystkich na zagładę?

Wóz podskoczył znowu, a wraz z nim podskoczyła głowa Wellsa. Zaczerpnął powietrza i postarał się trzymać ją prosto.

Blady żołnierz gapił się na niego mimo półmroku. Wells odpowiedział twardym spojrzeniem.

– Kim jesteście? – zapytał. Tym razem słowa naprawdę z niego wyszły.

– Jesteśmy opiekunami – odparł tamten dziwnym, jakby sennym tonem.

– Opiekunami. – Wells splunął, wspominając dym eksplozji. Ciała zabitych. – Próbowaliście nas pozabijać. Kim, do cholery, jesteście i czego chcecie?

– Najechaliśmy wasz obóz – odpowiedział tamten spokojnie. – Zabraliśmy to, co było nam przydatne, i odrzuciliśmy to, co zbędne. Wkrótce sam zrozumiesz.

W Wellsie wezbrała panika, ale zdusił ją jakoś.

– Skoro potrzebowaliście zapasów, to czemu zabraliście i nas?

Lodowato błękitne spojrzenie chłopca nabrało wyrazu aprobaty.

– Możecie być przydatni. Albo i nie. Dowiemy się wkrótce; nie trzeba wiele czasu, aby odsiać słabych.

Wells wpatrywał się w tamtego, całą siłą woli powstrzymując gniew. Było to tym łatwiejsze, że narkotyk, którym go potraktowano, wciąż działał.

Starszy mężczyzna, który schwytał Wellsa, skinął głową.

– Jesteś młody. Silny – powiedział. – Jeśli taka Ziemi wola, dasz sobie radę.

Obaj powtórzyli tępo: – Jeśli taka Ziemi wola.

Za plecami Wellsa rozległo się westchnienie. Odwrócił głowę; to Eric próbował wstać. Zamrugał kilka razy, a potem źrenice mu się rozszerzyły, szczęka zadrgała, jakby próbował krzyczeć; Wells delikatnie pokręcił głową, modląc się w duchu, by Eric był dość przytomny, by to zauważyć.

Był. Zamrugał do Wellsa, dając mu znać, że zrozumiał, i wbił spojrzenie w podłogę. „Dobrze", pomyślał Wells. „Potrzebuję więcej czasu. Potrzebuję odpowiedzi".

– Dokąd nas zabieracie? – zagadnął, starając się utrzymać spokojny ton głosu.

– Spodoba ci się tam – rzekł trzeci z mężczyzn, wysoki i żylasty, który dotąd nie odezwał się ani słowem. Miał dziwnie łagodny, śpiewny głos, jakby recytował bajki na dobranoc. – To najbezpieczniejsze miejsce.

– Najbezpieczniejsze miejsce? Gdzie? – Wells nie był w stanie powstrzymać frustracji.

– Najbezpieczniejsze na Ziemi – odparł tamten z uśmiechem. – Pewnego dnia wszędzie będzie bezpiecznie, jeśli taka Ziemi wola.

– Jeśli taka Ziemi wola – powtórzyli chórem, przyprawiając Wellsa o dreszcze.

– Możesz umacniać pokój wraz z nami, jeżeli zostaniesz wybrany – dodał blady żołnierz.

– A zatem zajmujecie się umacnianiem pokoju? – spytał Wells.

– Zajmujemy się najazdami – powiedział starszy mężczyzna. – Ty też się tym zajmiesz, jeśli nauczysz się trzymać język za zębami.

– Myślałem, że nazwaliście się opiekunami – odparł Wells ostrożnie. Wszyscy trzej wlepili w niego spojrzenia i dłuższą chwilę milczeli.

Ten o słodkim głosie się uśmiechnął. – Wiele nauki przed tobą.

Wells spróbował zmienić temat.

– Jak znaleźliście nasz obóz?

– Ten obóz nie należy już do was – odparował starszy. – Osada także nie. Nie może istnieć osada, której Ziemia nie pobłogosławiła.

– No to ją zniszczyliście, mordując wszystkich, którzy stali wam na drodze – odezwał się Eric głosem pełnym bólu. Był w pełni rozbudzony i trząsł się z gniewu.

– Nie zabiliśmy wszystkich – zaprzeczył blady chłopak; wyglądał na szczerze zdumionego. – Nie jesteśmy potworami. Służymy Ziemi, to wszystko. Oszczędziliśmy najsilniejszych i najlepsze wasze kobiety, czyż nie?

Wells z Erikiem wymienili przerażone spojrzenia. Kto jeszcze został porwany? Modlił się każdą cząstką woli, by nie spotkało to Clarke, Olivii ani Glass. Albo którejś z młodszych dziewczynek, jak Molly. Żołądek się w nim przewracał na samą myśl o takiej możliwości.

– A słabych i młodych zostawiliśmy. – Blady nachylił się do Wellsa, najwyraźniej chcąc go przekonać o swojej racji. – Nie zabiliśmy ich. Ziemia rozporządzi nimi wedle własnego uznania.

Młodzi. Słabi. W Wellsie zaczęło tłuc się serce, gdy pomyślał o chacie szpitalnej. Modlił się, by Clarke była właśnie tam jako jedna z „odrzuconych", których pozostawiono samym sobie, uznając ich niewartymi zachodu. Ale co z Bellamym? Co z Maxem?

– Dlaczego to robicie? – rozległ się schrypnięty głos o silnym akcencie. Ocknął się wreszcie mieszkaniec osady Ziemian. Gdy patrzył na napastników, w jego oczach lśniły łzy. – Czemu zniszczyliście owoce naszej ciężkiej pracy?

Blady zamrugał, widocznie zaskoczony pytaniem.

– Bo tak trzeba. Tak czynimy wszędzie.

– Wszędzie? – powtórzył jak echo Wells.

– Wszędzie, gdzie da się pójść – odparł tamten, patrząc w ciemne okno. – Aż cała Ziemia stanie się bezpieczna.

– Bezpieczna przed czym? – parsknął Wells. Nie mógł się powstrzymać.

– Z czasem się dowiesz – zaintonował starszy mężczyzna, a pozostali dwaj powtórzyli za nim głucho, jak na komendę: – Z czasem się dowiesz.

Wells zacisnął pięści. Czekała go długa podróż. Ci tak zwani „opiekunowie", „najeźdźcy", kimkolwiek byli – mieli rację. Chcąc nie chcąc, Wells z czasem się dowie. Dowie się, czego tylko będzie mógł.

A potem się z nimi rozprawi.

ROZDZIAŁ 6

CLARKE

Rdzawoczerwony sierp łowcy wzeszedł i przeminął, słońce wstało, oświetlając pobojowisko, a obóz nadal płonął. Ze spalonej ziemi wznosił się ciężki obłok dymu, zakrywając niebo mgłą o chorobliwym odcieniu. Nie przesłonił tego, co pozostało.

Clarke stanęła na progu chaty szpitalnej; potrzebowała zaczerpnąć świeżego powietrza. Bardzo starała się zachować spokój w obliczu zniszczeń, lecz widok, który ujrzała, był niczym cios pięścią w żołądek. Zrównaniu z ziemią uległa nie tylko strażnica, lecz także więcej niż połowa budowli. Polanę pokrywały kawałki spopielonego drewna, pokrzywione odłamki metalu i skrawki odzieży. A do niedawna także… zwłoki.

Tajemniczy najeźdźcy zniknęli równie szybko, jak się pojawili, lecz do normalności z przedwczoraj nie było powrotu. To, co się wydarzyło, to nie był koszmarny sen.

O zachodzie słońca do świeżo wykopanych grobów złożono dwadzieścia dwa ciała. Clarke, jej ojciec i doktor Lahiri robili, co w ich mocy, by ta liczba nie uległa zwiększeniu, by wszyscy ranni pozostali z nimi. W ich liczbie była jej matka.

Clarke odwróciła się w kierunku chat mieszkalnych, czy raczej tej części obozu, gdzie kiedyś stały. Horyzont łamał jej się w oczach z gorąca. Z początku próbowali gasić pożary, lecz rada położyła temu kres. Clarke pojmowała ich rozumowanie; nie zostało im wiele poza odrobiną wody i rezerwą sił. Marnowanie ich na przegraną walkę nie miało sensu, tym bardziej że wiatr ucichł i płomienie przestały się rozprzestrzeniać. Jedna z żarzących się chałup została przekształcona w zaimprowizowane ognisko. Łóżka w chacie szpitalnej przysługiwały wyłącznie rannym, więc Clarke nie zdziwił widok zmarzniętych ludzi kulących się wokół ognia.

„Będziemy potrzebowali jedzenia”, pomyślała mętnie, trąc oczy swędzące od dymu. Poprzedniej nocy sprawdzili bardzo dokładnie, czy coś im zostało. Napastnicy zabrali całe ich zapasy na zimę. Bellamy będzie musiał wkrótce wyruszyć w las, na łowy.

Lecz jedzenie, broń i drewno nie miały znaczenia wobec najpoważniejszych strat, jakie im zadano. Gdy policzono wszystkich, razem z zabitymi i rannymi, okazało się, że brakuje dziewiętnastu osób. Nie zabrano nikogo powyżej wieku średniego; także dzieci na szczęście pozostały bezpieczne. Ale rodzinom i przyjaciołom porwanych nie robiło to wielkiej różnicy. Jedną z kobiet trzeba było obezwładnić, bo wyrywała się za tymi, którzy wlekli jej córkę. Ku zaskoczeniu Clarke wśród powstrzymujących

nieszczęsną matkę był Bellamy – a przecież agresorzy zabrali Octavię i Wellsa. Nawet wściekły i zrozpaczony zdawał sobie sprawę, że spontaniczna pogoń za porywaczami musi zakończyć się porażką.

Clarke przestąpiła zwęgloną kłodę (niegdyś nadproże baraku strażniczego) i zaczęła obliczać w pamięci. Niespełna dwieście osób nieuszkodzonych bądź tylko lekko rannych. Trzydzieści ciężko rannych. Dwadzieścioro dwoje zabitych. Dziewiętnaścioro zaginionych.

Octavia, Glass, Graham, Eric. Wells! Jej najlepszy przyjaciel. Jej pierwsza miłość. Chłopiec, który zaryzykował wszystkim, żeby ją ocalić.

Zabrakło jej powietrza. Przycisnęła dłonie do kolan, drżąc, siłą woli tłumiąc rosnący w gardle szloch, nie dopuszczając, by jej się wyrwał. Nie teraz. Jeszcze nie. Najpierw zrobi wszystko, co w jej mocy, by ulżyć cierpiącym, oddać należną cześć martwym, przygotuje obóz na następną długą noc… a dopiero potem zdecyduje, co właściwie ma dalej począć.

Clarke związała mocniej rozlatujący się kucyk i powędrowała z powrotem do chaty szpitalnej.

Odległy, znajomy głos sprawił, że zamarła w bezruchu. Bellamy.

Odwróciła się i patrzyła na niego. Stał przy ognisku, pogrążony w cichej wymianie zdań z Rhodesem i Maxem. Plecy miał pochylone, głowę opuszczoną. Niewiele miała dziś okazji, by go oglądać; był zbyt zajęty patrolowaniem i szacowaniem stanu obozu, by zajrzeć do chaty szpitalnej. A może po prostu jej unikał.

Jakaś jej część pragnęła uniknąć go także, nie musieć spoglądać w te przepełnione bólem oczy. Powinna była mu zaufać, powinna była wziąć na poważnie to, co mówił, zamiast zrzucać jego obawy na karb paranoi. Był jednym z najbardziej inteligentnych, obdarzonych najlepszą intuicją ludzi, jakich znała. A jednak potraktowała go jak pacjenta z zaburzeniami.

Pomaszerowała w stronę ogniska; wstyd palił ją mocniej niż płomienie. Gdy była już blisko, doleciały ją strzępy rozmowy:

– Co jeszcze? – pytał Max.

– Spiętrzone sterty liści – mówił Bellamy, wskazując ręką brzeg lasu. – Byliśmy tam dziś rano na zwiadzie, Luke i ja, i potwierdziło się to, czego się spodziewałem. Pod tymi stertami wykopali jamy. Możliwe, że trzymali tam rzeczy potrzebne do ataku. Albo siedzieli w nich sami, jak w prowizorycznych bunkrach.

– A ty słyszałeś wcześniej głosy w koronach drzew, tak? – dopytywał się Max.

Clarke zamarła; Bellamy wziął głęboki oddech, aż uniosły mu się barki.

– Tak, w zeszłym tygodniu. Usłyszałem tylko jedno zdanie. Dwa słowa: „To ten”. A potem jakby gwizd z innego drzewa i to było wszystko. Wgapiałem się w te cholerne drzewa przez bitą godzinę, ale nie dojrzałem niczego.

– Szkoda, że nie dałeś nam znać wcześniej – zauważył Rhodes. Być może to wyraz twarzy Bellamy’ego sprawił, że wzdrygnął się i odstąpił odrobinę w tył. – Ale tak, rozumiem, oczywiście.

– Masz jakąś teorię? – wtrącił się Max, kiwając brodą do Bellamy’ego.

Chłopak wyprostował się, poprawił rzemień zwisającego z pleców łuku. – Myślę,

że musieli nas obserwować od miesiąca, może i dłużej. Poznali nasze plany, nasz rozkład dnia. Znali położenie wszystkich budynków, zdawali sobie sprawę, kiedy nie będą strzeżone. A poza tym… – Głos nieco mu się załamał. – Wiedzieli z góry, kogo zabiją, a kogo zabiorą.

– Sądzisz, że planowali zabrać ciebie? – spytał Max.

– Gdybym okazał się łatwiejszym celem… to sądzę, że owszem.

Nawet stojąca w pewnym oddaleniu Clarke dosłyszała w jego głosie gorzką nutę. Bellamy wolałby zostać porwany; mógłby wtedy być przy rodzeństwie, chronić je. Westchnął i omiótł polanę wzrokiem. Jego oczy spojrzały na twarz Clarke.

Zacisnął szczęki; przez mgnienie sądziła, że chłopak ją zignoruje.

„Wini mnie za to", pomyślała. „Oczywiście, że tak. To wszystko moja wina". Lecz wtedy Bellamy wypuścił powietrze z płuc, skinął tamtym dwóm na pożegnanie i podszedł do niej.

Była gotowa na gniew, na gwałtowne słowa – ale on chwycił ją za ramiona i przygarnął do siebie. Ciężar jego ramion i ciepło ciała coś w niej odblokowały. Cały strach i poczucie winy, które dotąd rozpaczliwie trzymała na uwięzi, ruszyły wezbraną falą, przybierając kształt łez na jej policzkach. Gdy już zaczęła płakać, nie mogła przestać.

– Wszystko w porządku? – wyszeptał jej do ucha.

Jej ciałem wstrząsał szloch; nie mogła mówić. Ledwie była w stanie zaczerpnąć powietrza po następny oddech. Wtuliła się w niego, a on trzymał ją mocno i gładził po włosach.

W końcu odstąpiła o krok i wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Tak mi przykro – powiedziała schrypniętym, wilgotnym głosem. – Wiedziałeś, Bellamy. Wiedziałeś, że to się stanie – przez cały ten czas! A ja cię nie posłuchałam. Chciałabym znaleźć jakieś lepsze słowa, ale mogę tylko powtarzać, że mi przykro. Jestem idiotką… jestem…

– Nie, Clarke. – Bellamy chwycił jej dłoń. – Nie. To nie twoja wina, tylko ich. Kimkolwiek są.

Potrząsnęła głową tak mocno, aż szyja ją rozbolała.

– Powinnam była ci uwierzyć.

– Ano. – Przymknął oczy i westchnął krótko. – Owszem, no tak. Z tym się zgadzam. Powinnaś była. Ale wiesz co? Nie jestem pewien, czy sam bym sobie uwierzył, gdybym był na twoim miejscu. Wszyscy po prostu staramy się najlepiej, jak potrafimy.

Bellamy znów ją do siebie przyciągnął, położył jej dłoń na plecach – niewzruszony jak skała, przebaczający, choć nie miał żadnego powodu, by przebaczyć.

Clarke oparła policzek na jego piersi, przymknęła oczy, podarowała sobie jeszcze tę jedną chwilę wytchnienia. Ale gdy znów spojrzała na chłopaka, ten patrzył ponad jej głową, w stronę lasu. Marszczył brwi. Martwił się. Słyszała, jak szybko wali mu serce.

Chciał już być gdzie indziej, odnaleźć swoją siostrę i brata, dopaść ludzi, którzy

ich porwali. Bellamy nie miał czasu na gniew. Potrzebował go na działanie.

Tej śmierci i zniszczenia można by uniknąć, gdyby tylko zrobiła to, co mu obiecała; gdyby stała murem za Bellamym bez względu na okoliczności. Powinna była być jego partnerką. Powinna go słuchać. Ale miał rację: co się stało, to się nie odstanie. Clarke mogła tylko pracować nad sobą i mieć nadzieję na przyszłość.

Delikatnie uwolniła się z jego objęć, po raz ostatni otarła oczy, siąknęła nosem i spytała: – To co robimy?

Skinął w kierunku Maxa i Rhodesa, którzy gromadzili w jednym miejscu strażników i inne znajome jej twarze.

– Teraz – powiedział – ogłosimy nasz plan.

ROZDZIAŁ 7

BELLAMY

Ocalali koloniści wymieszali się z Ziemianami; wszyscy razem przycupnęli wokół ogniska, rzucając nerwowe spojrzenia w stronę lasu.

„Nigdzie nie jesteśmy bezpieczni”, pomyślał Bellamy gorzko, zajmując wraz z Maxem i resztą doradców miejsce pośród zgromadzonych. Rada uszczupliła się o jedną osobę: kobieta imieniem Fiona, z „Arkadii”, która w trakcie krótkiego pobytu na Ziemi zaprezentowała się wszystkim jako osoba rozważna i ciepła – leżała na wciąż powiększającym się cmentarzu.

Max uniósł dłoń i szmer wśród zgromadzonych zamienił się w niezręczną ciszę. Bellamy przestąpił z nogi na nogę. Każda minuta spędzona na dyskutowaniu o obecnej sytuacji była minutą straconą. Nie miał na to czasu.

Powinien ruszać zaraz! Z tyłu głowy kołatała mu się coraz natrętniejsza myśl, by zostawić tych tutaj i iść. Ale jego wzrok w pewnym momencie padł na grupkę dzieci; wszystkie przetrwały napaść. Większość tuliła się do Molly, trzynastoletniej, a zatem najstarszej z nich. Dzieciaki wpatrywały się w Bellamy’ego szeroko otwartymi oczyskami, w których połyskiwało coś podobniejszego do nadziei niż lęku.

„One mi ufają”, uświadomił sobie. „Nie widzą byłego kryminalisty, który znowu spieprzył sprawę. Liczą na mnie”.

Rhodes skinął Maxowi, wystąpił na środek i zaczął mówić. Dźwięk jego głosu sprawiał, że Bellamy zaciskał zęby. Stali teraz po tej samej stronie, lecz trzeba by czegoś więcej niż kilku miesięcy, by rozproszyć jego głęboko zakorzenioną antypatię do dostojnika. Mieli jednak ważniejsze sprawy na głowie… na przykład znalezienie i dopadnięcie tych skunksów, które zabrały Wellsa i Octavię.

– Wiem, że wszyscy macie nadzieję na jakieś wyjaśnienia *à propos* tego, co stało się tu zeszłej nocy – powiedział Rhodes. – Zacznę od tego, czego nie wiemy. Nie wiemy, kim są ci, co nas napadli.

Tłum zafalował i zaszemrał, niemal fizycznie emanując niepokojem.

– Ale dowiemy się tego – dodał twardo Rhodes, podnosząc dłoń, by ich uciszyć. – Nie wiemy też, jaka była motywacja ich ataku – poza zagrabieniem naszych zapasów. Ale dowiemy się i tego.

Jego głos nabrał mocy; przekonał tym obecnych. Nawet Bellamy złapał się na tym, że potakuje, słuchając.

– Nie wiemy, czemu zabrali naszych ludzi, ale wierzcie mi, tego także się dowiemy! – Uśmiechnął się złowróżbnie, czyniąc posępną obietnicę bez słów. Tłum

ucichł całkiem. – Nie wiemy też, dokąd ich zabrali… ale mamy sposoby, by się tego dowiedzieć. – Rhodes cofnął się o krok, dając znak, by Bellamy wyszedł ku przodowi. – Mój kolega z rady, Bellamy Blake, poprowadził dzisiejszego ranka skromną ekspedycję zwiadowczą w głąb lasu.

Szmery powróciły – tym razem brzmiał w nich podziw i zaskoczenie. Bellamy odchrząknął.

– Ludzie, którzy napadli na nasz obóz, potrafili ukryć swe zamiary do samego końca – zaczął – ale o wiele gorzej im poszło z zamaskowaniem śladów.

Przemknął wzrokiem po twarzach. Pod drzewem z boku stał Luke. Razem natrafili na wiele mówiące koleiny. Bellamy próbował teraz schwytać spojrzenie tamtego, lecz Luke gapił się bezmyślnie w pustkę, jak nigdy dotąd rozproszony i nieobecny. Bellamy wiedział, co on czuje. Pamiętał rozpacz na jego twarzy, gdy okazało się, że Glass też porwano.

Bellamy wskazał na ciemniejące na wschodzie niebo.

– Agresorzy zabrali naszych w tamtym kierunku, na wschód. Nie znaleźliśmy oznak walki ani przemocy, zakładamy więc, że porwano ich w jakimś określonym celu.

Żołądek mu się zacisnął, gdy wypowiadał te słowa. Octavia musiała żyć. Wells także. Tak musiało być albo płomień, który podtrzymywał go przy życiu, zgaśnie i obróci się w nicość.

– Mamy trop – kontynuował już pewniejszym tonem. – I mamy trochę broni przechowywanej na Mount Weather. Nie za wiele, ale zrobimy z niej dobry użytek. Wyruszę dziś z małym oddziałem ochotników. Znajdziemy parszywców, którzy zabrali naszych bliskich. Sprowadzimy ich z powrotem do domu.

Tłum odpowiedział wiwatami, lecz wkrótce rozproszyło je czyjeś donośne narzekanie. Pewna starsza kobieta (Bellamy rozpoznał ją z pokładu „Waldena”) wystąpiła naprzód, kręcąc głową.

– Nie możecie zabrać całej broni. Jeśli zaatakują pod waszą nieobecność, będziemy bezbronni.

Kilka osób ją poparło.

– Rozumiem wasze obawy. – Bellamy powiedział głośno, by wszyscy dobrze go słyszeli. – Ale mamy tylko trzy strzelby i potrzebujemy każdej z nich, by nasza misja miała sens.

– A co z nami? – krzyknął jakiś Ziemianin. – Czemu ich życie znaczy więcej od naszego?

Max zrobił krok do przodu.

– Bellamy i jego oddział będą tropić napastników – wyjaśnił. – Jeśli z jakiejś nieznanej nam przyczyny tamci zdecydują się najechać obóz po raz kolejny, Bellamy dowie się pierwszy. Zdąży zawrócić i nas obroni.

– Ten plan jest niedorzeczny – skrytykowała starsza kobieta. – Muszą zostawić nam przynajmniej jedną strzelbę. Poza tym Bellamy jest najlepszym myśliwym w obozie, on też powinien zostać tutaj.

– Mowy nie ma – fuknął chłopak, nim zdołał się zreflektować.

– Zapewniam was, że wśród moich ludzi jest więcej zdolnych łowców – odpowiedział Max, rzucając mu potępiające spojrzenie. – Nie pozwolimy, by ktokolwiek tu głodował.

– Czemu mielibyśmy wam wierzyć? – zawołała niedawno przybyła kobieta z „Feniksa". – Schowaliście na Mount Weather broń, która mogła nam pomóc w walce!

Gwar głosów stłumił trzaskanie wielkiego ogniska; ludzie przekrzykiwali się wzajemnie.

– Dość tego! – zagrzmiał donośny tembr Rhodesa. – Przeprowadzimy głosowanie. Wszyscy ci, którzy są za tym, byśmy wysłali uzbrojony oddział, aby odzyskał uprowadzonych członków naszej społeczności, ręka do góry!

Zagłuszył go zbiorowy pomruk „Tak, tak". W górę wystrzelił las rąk.

– Kto jest przeciw?

Podniosło się tylko kilka rąk. Serce Bellamy'ego zaczęło walić z podniecenia. Wreszcie będzie mógł zrobić to, do czego się wyrywał, odkąd jego siostrę zawleczono w las. Ruszyć w pościg. Odnaleźć ją i Wellsa. Wywrzeć zemstę. Pal diabli ryzyko.

– Mamy już kilku ochotników – mówił Max. – Oddział powinien być nieliczny, by uniknąć wykrycia. Ale jeśli ktokolwiek pragnie do nas dołączyć, niech…

– Ja pójdę – zabrzmiał głos Clarke. Bellamy'emu zrobiło się zimno. Patrzył, jak toruje sobie drogę w tłumie. Usta miała zaciśnięte w tę upartą linię – wiedział, że nie wyperswaduje jej niczego.

– Będziecie potrzebowali kogoś, kto zna się na medycynie.

„Nie", pomyślał Bellamy. Jedną rzeczą było pakowanie się samemu w niebezpieczeństwa, a zupełnie inną – świadomość, że coś złego może spotkać Clarke. Nie mógł znieść tej myśli. Otworzył usta, by się sprzeciwić, gdy wtem czyjś inny głos ujął w słowa to, co on już miał na języku:

– Absolutnie nie! – krzyknął ojciec Clarke. Dyszał ciężko; musiał biec tu całą drogę z infirmerii.

Dziewczyna posłała mu zniecierpliwione spojrzenie. Odkrycie, że jej rodzice są cali i zdrowi, należało do kategorii cudów; uwolniło ją od ciężaru żałoby, który nosiła tak długo. Jej złamane serce się zagoiło, lecz przyzwyczajenie do codzienności z rodzicami nie przyszło jej gładko. Bellamy wiedział o tym dobrze.

Wzięła teraz głęboki oddech i dała znak ojcu, że chce z nim porozmawiać na stronie. Bellamy dołączył do nich, łamiąc sobie głowę nad dostatecznie przekonującym argumentem.

– Zrobiliśmy z matką, co w naszej mocy, żeby do ciebie dotrzeć – powiedział pan Griffin.

– Wiem – odparła miękko.

– I udało nam się mimo wszystko. Jesteśmy tu, nareszcie razem. Stan matki jest poważny. Ona cię potrzebuje. To najgorszy możliwy moment na to, żebyś wyprawiała się gdzieś, narażona na Bóg wie jakie niebezpieczeństwa.

– Ale nie my decydujemy, kiedy jest dobry moment, prawda? – Clarke ujęła dłonie ojca i uścisnęła je; Bellamy widział, jak spojrzenie starszego mężczyzny

łagodnieje. – Gdyby to od nas zależało, nikt by nas nie zaatakował. Was nigdy nie zesłano by na Ziemię przede mną. Przez cały czas bylibyśmy razem.

Clarke zerknęła na Bellamy'ego, wyraźnie szukając w nim wsparcia. I choć wolałby, by została w obozie, wiedział, że ona ma rację. Nie mieli pojęcia, w jakim stanie odnajdą przyjaciół i bliskich. Medyczka bardzo im się przyda.

Bellamy stanął koło niej na znak poparcia.

– Nie wyruszam sama – mówiła. – Będziemy rozważni i ostrożni. Ale musimy zrobić, co w naszej mocy. Dla nich. Nie potrafiłabym tu siedzieć i próżnować. Oni mają Wellsa, tato. Nie mogę zostawić go na pastwę losu. Nie tak mnie wychowano.

Jej ojciec pochylił ramiona. Wziął głęboki oddech i skinął głową. – Obiecaj mi tylko, że będziesz ostrożna.

Bellamy poczuł osobliwą ulgę. A przecież nie chciał narażać Clarke na niebezpieczeństwa. Ale czuł wdzięczność za to, że stanęła u jego boku. Nie potrafiłby wskazać nikogo lepszego; była inteligentna, odważna i nastawiona na rozwiązywanie problemów. A poza tym nie chciał się z nią rozłączać. To było samolubne. Ale to Clarke sprawiła, że ta obca, dzika planeta zaczęła mu się kojarzyć ze słowem „dom".

– Będę ostrożna – powiedziała. – Daję słowo.

– Obiecaj, że nie zrobisz niczego głupiego. Jest wielka różnica między odwagą a lekkomyślnością.

Rzuciła Bellamy'emu znaczące spojrzenie, jakby sygnalizując, że powinien te słowa kierować bardziej do niego niż do niej. Chłopak mimo woli wygiął kąciki ust w uśmiechu.

– Tak, rozumiem tę różnicę – powiedziała.

– Wyruszacie dziś? – spytał pan Griffin.

Bellamy skinął głową.

– Nie możemy ryzykować, że trop się zatrze. Musimy ruszyć teraz, zaraz. – Rozejrzał się po polanie, niecierpliwie tupiąc nogą.

– Dlaczego ten Luke tam stoi? Musimy ruszać. – Odchrząknął. – Luke… Luke! Co, do… – Przerwał, gdy Clarke ścisnęła go za ramię.

David Griffin był zbyt przejęty i zmartwiony, by to zauważyć.

– No dobrze. Pożegnaj się z matką, zanim pójdziesz. A ty – spojrzał Bellamy'emu prosto w oczy – dbaj o nią.

– Tak zrobię – odparł Bellamy. – Chociaż obaj dobrze wiemy, że ona potrafi sama o siebie zadbać.

Zerknął na Clarke. W popołudniowym słońcu jej włosy lśniły złotem, a oczy zielenią. Przypominała mu nieustraszoną pradawną boginię wojny.

Ojciec Clarke uśmiechnął się ponuro.

– Wiem. – Odwrócił się i odszedł, nagle widocznie starszy i bardziej zmęczony niż chwilę temu.

Bellamy splótł palce z palcami dziewczyny i ścisnął je mocno. Cieszył się, że idzie z nim. Razem byli silniejsi, zawsze tak to działało.

Uścisnęła wzajemnie jego rękę i puściła. – Lepiej pożegnam się z mamą.

Tłum przy ognisku zaczął rzednąć. Kilku ludzi rozdawało mizerne racje

żywnościowe. Paul zorganizował grupę, która miała przejrzeć stertę zwęglonych koców w poszukiwaniu czegokolwiek, co nadawałoby się jeszcze do użycia. Tej nocy, podobnie jak poprzedniej, wszystkich czekał nocleg pod gołym niebem.

– Dobra – odezwał się Bellamy. – To ja znajdę Luke'a i zgarnę zapasy.

Clarke popatrzyła po ludziach. – Kto jeszcze idzie z nami?

– Luke, oczywiście. No i Felix. Nie usiadł spokojnie, odkąd zabrali Erica. Zobaczymy, czy potrafi się rozluźnić i skupić na zadaniu. Idzie też paru Ziemian, no i Paul zgłosił się na ochotnika.

Bellamy skrzywił się nieco i sądził, że Clarke zrobi podobnie. Ale ku jego zaskoczeniu skinęła głową.

– Świetnie. – Spojrzała na plecy tamtego; sortował koce. – Paul wygląda na kogoś, kto nam się przyda. Jest zrównoważony.

Coś w tym słowie niemile drasnęło Bellamy'ego.

– Zrównoważony?

Clarke wzruszyła ramionami, udając, że tak jej się powiedziało. Ale gdy już odchodziła, dostrzegł w jej oczach lęk. Zmartwienie. Obawiała się, lecz nie o ludzi, których porwano. Obawiała się o niego.

Nie miała pewności, czy psychika Bellamy'ego zregenerowała się na tyle, by udźwignąć wyzwanie. Czy można na nim polegać. A najgorsze, że on też nie był pewien.

ROZDZIAŁ 8

GLASS

Gdy Glass i siedem innych dziewcząt się ocknęło, krzyczały, aż potraciły głos. Nic im to nie dało; porywacze zachowali milczenie, a ich podobne do masek twarze nie zdradzały nic. Wóz wciąż przemieszczał się w tym samym kierunku; trwało to całą noc, aż do rana. Przystanki były rzadkie i krótkie. Glass wiedziała tylko tyle, że podróżują wyboistą drogą wiodącą przez środek gęstego lasu.

Nie znała pozostałych więźniarek zbyt dobrze. Była tu Octavia i inna, ładna dziewczyna z osady Ziemian imieniem Lina. Pozostała piątka była jej obca. A jednak łączyło je wspólne nieszczęście.

Dzięki Bogu, była pewna, że Luke żyje. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był widok jego twarzy wykrzywionej bezradnością i cierpieniem. Dokądkolwiek ci ludzie ją zabiorą – on podąży za nią.

Glass walczyła z wycieńczeniem; nie chciała zasypiać. Potrzebowała każdej okazji, by zdobyć kluczowe informacje na temat porywaczy. Nie wiadomo, jaki szczegół okaże się kiedyś tym, który przesądzi o życiu lub śmierci.

Ale rzeczy, które zaobserwowała, przyprawiały ją tylko o mętlik w głowie. Grunt był czymś dobrym. Porywacze całowali czubki palców i dotykali ziemi za każdym razem, gdy stawiali na niej stopę. Ciężka praca również była dobra, a przynajmniej taki wniosek można by wysnuć, słuchając ich monotonnych rozmów na ten temat. Nazywali samych siebie „opiekunami”. Nie miała pojęcia, czy mordowanie ludzi podpada pod kategorię tego, co dobre, co złe, ale na pewno planeta Ziemia była najlepszą rzeczą ze wszystkich, rodzajem bóstwa, które czcili, i ta Ziemia (a mówili o niej, jakby była istotą żywą) miała decydować o tym, kto będzie żył, a kto nie.

Godziny mijały bez celu, wóz się kołysał, strażnicy patrzyli i milczeli. Lina łkała niepowstrzymanie, aż w końcu zabrakło jej łez. Wreszcie młody chłopak siedzący najbliżej Glass pochylił się nieco, wznosząc oczy do okna.

– Już nas widać – oświadczył z uroczystym wyrazem twarzy. – Już niedługo, jeśli taka Ziemi wola.

– Jeśli taka Ziemi wola – powtórzyli pozostali.

Glass i Octavia wymieniły spojrzenia pełne niepokoju.

Wóz gwałtownie skręcił w lewo i dziewczęta prawie poprzewracały się jedna na drugą; od tego ruchu po pojeździe rozeszła się kwaśna woń potu i ludzkich ciał. Wszyscy porywacze zaczęli wyglądać przez wąskie okno na przedzie, to, pod którym z drugiej strony siedział woźnica na koźle. Glass targnęła ciekawość zmieszana

z niepokojem; ona też zaczęła wyglądać.

Zbliżali się do pokrytego bluszczem muru, który rozciągał się jak okiem sięgnąć. Wydawał się nie mieć końca.

Młody zauważył jej ciekawość i uśmiechnął się lekko.

– Przybyliśmy do naszej wspaniałej siedziby.

– Och. – Glass nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć.

– Stała tu jeszcze przed czasem Wielkiego Rozpadu, gdy człowiek był dziki i nieujęty w karby… największa forteca w krainie. Najpotężniejsi z ludzi zasiadali w niej, zazdrośnie strzegąc swojej mocy, lecz wtedy Ziemia im ją odebrała i dała nam. – Pierś obciągnięta białym uniformem wypięła się z dumy. – Magia Ziemi w nas spoczywa. Tak powiada Soren.

– Soren? – zdziwiła się Glass.

Strażnik kiwnął głową. – Soren przemawia w imieniu Ziemi.

„Soren jest ich przywódcą”, odnotowała Glass. Jeszcze jedna informacja do zapamiętania.

– Nasza wspaniała siedziba ma kształt idealnego pięcioboku[1] – odezwał się inny mężczyzna.

– Nazywamy ją Głazem – przerwał mu ten młodszy. – Głaz jest naszym nowym domem, a jeśli taka Ziemi wola, stanie się także podwaliną wielkich dzieł.

Gdy podjechali bliżej cienia rzucanego przez wielki mur, wewnątrz pojazdu zrobiło się mrocznie. A potem stanęli z głuchym odgłosem. Glass podpełzła do otwartych nagle drzwi, ciekawa widoku, lecz gdy tylko tknęła stopą gruntu, ktoś przesłonił jej twarz przepaską na oczy.

Nie wyrywała się. To było terytorium wroga; mogła tylko dołożyć starań, by dożyć momentu, gdy pojawi się pomoc. Zachowała milczenie. Zapewne dlatego prowadząca ją dłoń na ramieniu ograniczyła się do lekkiego uścisku. Znalazła się w tym budynku. Nie miała pojęcia, co je tam wszystkie czeka, ale była gotowa znieść to tak długo, jak będzie trzeba.

Przekroczyli coś, co wydało jej się drzwiami; poczuła pod nogami twardą, płaską posadzkę. Puls jej skoczył, na przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Znajdowała się wewnątrz fortecy wroga.

Powietrze tu było bardziej ogrzane, mniej świeże. Prowadzili ją korytarzem do zakrętu, a potem do drugiego. Straciła rachubę tych zakrętów. Wreszcie stanęli i ściągnęli jej tę szmatę z twarzy – fantazyjnym, przesadzonym gestem, jakby miała być pod wrażeniem widoku.

Glass zamrugała. Znajdowała się w mrocznym, pozbawionym okien pomieszczeniu; metalowe podpory dźwigały sufit, a z każdej zwieszała się zapalona latarnia. Oczy Glass wreszcie się przyzwyczaiły, lecz nic interesującego nie przykuło jej uwagi; może dlatego, że niczego takiego tam nie było. Tylko sterty równo rozmieszczonych mat. Na niektórych siedziały inne dziewczęta. Opierały stopy o posadzkę i mierzyły nowo przybyłe ospałymi spojrzeniami.

Młody strażnik wycisnął z siebie krzywy uśmiech.

– To jest jaskinia kobiet. Czujcie się jak u siebie.

„Jaskinia?”, pomyślała Glass, nieprzyjemnie zaskoczona takim doborem słów.

Mężczyźni ukłonili się krótko i dość dziwacznie, wyszli i zatrzasnęli za sobą drzwi.

Glass wiedziała, że teraz nastąpi grzechot klucza w zamku i nie zawiodła się. To był ten sam znamienny dźwięk, który prześladował ją podczas koszmarnych miesięcy spędzonych w Odosobnieniu. Zaśmiała się bezgłośnie i posępnie, dotknięta okrutną ironią sytuacji. Uciekła z lądownika, już jako zbieg przecisnęła się przez kanały wentylacyjne, spacerowała nawet w przestrzeni kosmicznej. Straciła matkę – a wszystko to po to, by dostać się na Ziemię, gdzie znów złapano ją i zamknięto pod kluczem. A Luke był znacznie dalej od niej niż poprzednio.

Gdy strażnicy zatrzasnęli za sobą drzwi, kobiety nieco się rozluźniły. Zaczęły poruszać stopami i masować sobie karki. Było ich w tej „jaskini” więcej niż dwa tuziny. Wszystkie nosiły białe sukienki, a włosy miały splecione w ciasne warkocze. Najbliższa dziewczyna siedziała w dziwnej pozycji, trzymając bose nogi na posadzce. I z jakiegoś powodu wściekle gapiła się na Glass.

Glass spróbowała nerwowego uśmiechu. Nie zadziałał.

– Powinnaś ściągnąć buty – warknęła tamta. – Nasze stopy winny dotykać Ziemi, gdy jesteśmy w Jej służbie.

Dwa posłania dalej siedziała ładna dziewczyna o ciemnych, kręconych puklach. Westchnęła głośno. – Spójrz pod nogi, Bethany. Czy to ci wygląda na Ziemię? Jesteśmy wewnątrz.

Glass zapatrzyła się na nią; akcent dziewczyny nie przypominał jej mowy ani Ziemian, ani opiekunów. Brzmiał niemal jak… ale nie, to było niemożliwe…

Lecz Octavia też to dosłyszała. Jej głowa okręciła się jak na sprężynie; obdarzyła tamtą zdumionym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

Kręconowłosa trzymała nogi na materacu, otwarcie bojkotując zasadę „stóp na Ziemi”. A gdy odchyliła się do tyłu, światło latarni padło na jej twarz. Glass była pewna, że już ją gdzieś widziała.

Chwyciła Octavię za łokieć; cicho podeszły do tamtej.

– Czy pochodzisz z Kolonii? – wyszeptała.

Dziewczyna zerwała się tak gwałtownie, że omal nie przewróciła Glass. – Twój akcent… jesteś fenicjanką!

Patrzyły na siebie, zdumione i niepewne. Wreszcie Glass odezwała się znowu:

– Jak to możliwe? Jak się nazywasz? Skąd się tu wzięłaś?

– Mam na imię Anna. Byłam w lądowniku, który zboczył z kursu. Nie jestem pewna, co się właściwie stało, ale rozbiliśmy się daleko stąd. – Wzdrygnęła się. Glass na krótko przymknęła oczy, przejęta własnym traumatycznym wspomnieniem tego rodzaju. – To było straszne – ciągnęła Anna schrypniętym głosem. – Jedenastu ludzi zginęło od uderzenia, a kilku jeszcze w ciągu następnych dni. To zabawne; całe życie wmawiają ci, że Ziemia jest jakimś rajem, a potem okazuje się, że to jeden koszmar za drugim. Żałuję, że nie zostałam tam.

– Statek się rozpadał – powiedziała Glass, wzdrygając się na wspomnienie twarzy tych, którzy zrozumieli, że ze statków ulatuje powietrze, a oni nie mają dokąd

uciekać.

– Wiem o tym. Ale przynajmniej do końca byłabym z rodziną. Tutaj nie mam nikogo. Nienawidzę tej planety – powiedziała z pasją.

– Nie jest taka zła… – odparła Glass. W jej głosie zabrzmiała tęskna nuta; przypomniała sobie przechadzki po lesie z Lukiem, przebudzenia w jego ramionach, podczas gdy za oknem śpiewał ptak.

Octavia przysunęła się do Anny.

– Co było potem, gdy już się rozbiliście? – spytała. Przerażenie wywołane faktem porwania odeszło chwilowo na dalszy plan; ważniejsza była ciekawość spowodowana spotkaniem nieznanej kolonistki.

– Było okropnie. Każdy miał inne zdanie co to tego, co należy robić. Naturalnie wszyscy chcieli znaleźć ludzi z pozostałych lądowników, ale nikt nie wiedział jak. W końcu rozdzieliliśmy się na małe grupki, co było potwornie głupie – teraz zdaję sobie z tego sprawę. Wszyscy razem mielibyśmy przewagę liczebną. A staliśmy się łatwym łupem dla tych. – Wskazała głową na drzwi. – Walczyłam, dopóki byłam w stanie. Paru typom wybiłam zęby.

Octavia zaśmiała się mściwie i powiedziała: – Dobrze im tak.

– Ale to nie wystarczyło, żeby uciec – ciągnęła Anna. – Zabrali mnie i jeszcze paru chłopców. No i siedzimy tu już od tygodni. – Rozejrzała się czujnie, jakby wypatrując oznak, że jest podsłuchiwana. – A co wam się przytrafiło?

Żołądek Glass zacisnął się w supeł. Czyżby chłopców z jej obozu też schwytano? Modliła się, by nie było wśród nich Wellsa.

Octavia opowiedziała Annie skróconą wersję ich przygód. Ożywienie w jej głosie wydało się Glass zaskakujące. Znała tę dziewczynę, znacznie młodszą od siebie, jako pełną dystansu do obcych. Nie dziwiło to, gdy się wiedziało o dzieciństwie spędzonym w ukryciu, okresie dojrzewania w pokładowym ośrodku opieki oraz cierpieniach, których doznała po wylądowaniu.

Octavia snuła opowieść, a oczy Anny zrobiły się coraz większe.

– Mieliście chaty? I dość jedzenia, żeby wyprawić ucztę? To niesamowite.

– Owszem, kiedyś mieliśmy chaty – odparła Octavia ponuro. – Ci „opiekunowie” wysadzili większość z nich w drzazgi. Bellamy pewnie kompletnie stracił głowę.

– Bellamy? – powtórzyła Anna. – To twój chłopak? – Czy Glass się zdawało, czy w głosie tamtej brzmiało rozczarowanie?

Octavia potrząsnęła głową. – Nie, to mój brat.

– Twój brat? Jesteś z Kolonii i masz brata? Opowiedz mi o tym wszystko! – Anna przesunęła się nieco i poklepała materac zapraszającym gestem. Octavia bez wahania przysiadła się do niej.

– Czemu oni to wszystko robią? – wyszeptała Glass, moszcząc się na drugim końcu materaca Anny. – Czego chcą od nas?

Anna rzuciła okiem dookoła i ściszyła głos. – No więc wszystkie dziewczyny w tym pokoju są, jak to ich nazywają, rekrutami. Złapali je na długo przed nami, nie mam pojęcia gdzie. Według opiekunów jesteśmy tu, by służyć Ziemi. A tak naprawdę – by służyć im. Gotowanie, pranie, sprzątanie. Wszystko, co czyni nas

„użytecznymi”… – Anna urwała i przygryzła wargę.

– Więc jesteśmy po prostu służącymi? – upewniała się Octavia.

– Nie – odparła Anna ledwie słyszalnym głosem. – Tym właśnie zajmowałam się od tygodni, ale myślę, że chcą od nas czegoś jeszcze.

Glass zadrżała, choć w pomieszczeniu było ciepło. – Czego?

– Nie jestem pewna. Kiedy nas tu po raz pierwszy przyprowadzili, kazali nam wziąć udział w jakiejś rytualnej kąpieli w rzece, ale potem powiedzieli, że nie jesteśmy gotowe, by zostać opiekunami. Że nie dołączymy do nich oficjalnie, dopóki Ziemia nie da im pozwolenia, by zapuścili korzenie. Najwyraźniej potrzebują od tej Ziemi jakiegoś znaku, że to jest ich nowy dom. A kiedy to się stanie, wszystkie przejdziemy jakiś ostateczny sprawdzian, który wykaże, czy jesteśmy wiernymi wyznawczyniami. Nie jestem pewna, na czym ten sprawdzian będzie polegał, ale martwię się. Bo myślę, że może chodzić o coś więcej niż sprzątanie.

Glass zrobiło się niedobrze. Popatrzyła na dziewczęta siedzące dookoła, zdane na łaskę i niełaskę tych niezrównoważonych ludzi.

– Chętnie im pokażę, jak potrafię być użyteczna – rzekła Octavia mściwym tonem. – We wbijaniu im noża w plecy.

– Dziewczyna, jakie lubię – odparła Anna. – Nic bardziej uroczego niż zabójczyni z czerwoną kokardką we włosach.

Octavia musnęła loki dłonią. – Powiedziałam im, że jeśli dotkną tej wstążki, to ich nią uduszę, więc zostawili ją w spokoju.

– Dlaczego mnie to nie dziwi! – Anna wyszczerzyła się w uśmiechu.

W oddali rozbrzmiały czyjeś kroki; twarz Anny spoważniała, straciła nagle kolor. W pośpiechu przesunęła stopy na posadzkę.

Glass i Octavia wymieniły spojrzenia. Obie zajmowała niewypowiedziana kwestia: Co, u diabła, się tutaj dzieje?

ROZDZIAŁ 9

WELLS

– Kicasz jak ranny królik, chłopcze! Cierń wbił ci się w łapkę? Zwiększ tempo! – Cuchnący oddech opiekuna sprawił, że Wellsowi zebrało się na torsje. Biegał już co najmniej od godziny; każda komórka w jego ciele miała dość.

Podróż w stęchłym wozie wydawała się wiecznością. Jednakże zajechali wreszcie do celu, do Głazu. Pięcioboczna forteca o walących się murach. Nie dano im nawet chwili wytchnienia. Prosto z pojazdu zostali zaprowadzeni przed szereg wielkich, chyba przemysłowych kadzi. Opiekunowie chwytali chłopców jednego za drugim i zanurzali bez słowa wyjaśnienia; Eric pierwszy przestał się drzeć, gdy dotarło doń, że w kadzi jest tylko lodowata woda.

– Myć się – nakazali opiekunowie, więc Wells się umył. Był im niemal wdzięczny. Dzięki zimnu poczuł, że naprawdę się obudził. Potem zostali wywleczeni z kadzi i zostawieni do wyschnięcia na przejmującym jesiennym wietrze. Przydzielono im białe uniformy. Ten Wellsa wciąż miał na kołnierzu wypisane imię: Laurent.

Zastanawiał się, kim ten Laurent był. Więźniem? Wiernym wyznawcą? A może, jeśli trzymali cię tutaj dostatecznie długo, między jednym a drugim nie było już różnicy?

Głaz sprawiał wrażenie, że musiał niegdyś być przeogromnym, zamkniętym zespołem budynków, ale natura się z nim rozprawiła.

Korytarze kończyły się gęstym drzewostanem, a klatki schodowe wiodły donikąd. Dookoła prowadziła jednak dobrze wydeptana ścieżka i nią właśnie biegli teraz Wells, Eric, Graham oraz ziemscy więźniowie. Czy to była gra, czy rodzaj kary, czy też jakiś test? Tego Wells nie wiedział. Wiedział natomiast, że nie wolno mu przystanąć.

– Biegasz po Ziemi – wrzasnął biegnący obok brodaty opiekun, opryskując buty Wellsa śliną. – Uderzasz w Nią stopami. Przeproś za to!

– Przepraszam – dyszał Wells. Opiekunowie nosili krótkie, tępe pałki; widział już, jak ich używano na tych, którzy nie przeprosili.

– Porzuciłeś Ją na pastwę losu, ty kosmiczna mendo. Błagaj o przebaczenie!

– Proszę… wybacz mi…

– Oddaj się w Jej służbę!

Wellsa paliły nogi. W płucach miał pożar. Ledwie mógł się ruszać, a co dopiero mówić.

– Oddaję…

Pięść opiekuna wystrzeliła niespodzianie i trafiła Wellsa w szczękę, niemal zbijając go z nóg. Nogi ugięły się pod nim w kostkach, cała twarz pulsowała mu gorącym bólem, ale biegł. Musiał biec.

Opiekun utrzymywał równe z nim tempo, ale w końcu odwrócił wzrok. – Nie jesteś godzien znaleźć się w Jej służbie. Jeszcze nie. Biegnij dalej.

Uwagę Wellsa na moment przyciągnął ruch po lewej – coś się tam działo. To był Graham; chwiał się na nogach, chwytając za szczękę. Opiekun obok zaciskał i rozwierał pięść; Wells uznał, że musieli dotrzeć do tego samego miejsca w scenariuszu.

Na szyi Grahama pulsowała żyła; całą twarz miał w jaskrawe cętki. Zacisnął pięści i zaczął je unosić. Właśnie wtedy Wells sam sobie podstawił nogę i zwalił się całym ciężarem na kolegę, przewracając go na ziemię.

Przez chwilę miał wrażenie, że to on oberwie; Graham wyglądał, jakby dostał szału. Wells miał tylko chwilę na to, by wysyczeć mu do ucha: – Nie teraz, nie tak bez planu – nim opiekunowie ich rozdzielili, podnosząc każdego za pachy.

Ścieżka prowadziła do wielkiego, dość kamienistego placu. Resztę fortecy porastały kępy drzew, ale ta jej część była płaska i pusta, nie licząc szerokiej asfaltowej drogi, prowadzącej do najbardziej okazałej, najmniej zrujnowanej części wielkiego budynku.

Przy wejściu czekał szereg opiekunów z bronią w ręku. Wells poczuł, jak krew uderza mu do twarzy; być może popełnił tragiczny błąd, powstrzymując Grahama. Być może igrał z własnym życiem.

– Ustawić się – warknął brodaty opiekun, gdy przestali biec.

– Dokąd nas zabierają? – spytał Wells, starając się, by jego głos zabrzmiał równo i pewnie. Chłopców i mężczyzn przed nim ustawiono w rząd, gotowy do odmaszerowania.

– Dostaniecie jeść. – Opiekun wypluł to słowo, jakby go brzydziło. – A potem przyjdziecie z powrotem tutaj. Coś ci się nie podoba?

Wells potrząsnął głową i zasalutował, jak wtedy, gdy szkolono go do zawodu strażnika. Opiekun już odchodził, mamrocząc coś niezrozumiałego. Wells postanowił spróbować szczęścia.

– Jak mam cię nazywać? – spytał. Tamten odwrócił się z morderczym wyrazem twarzy, lecz chłopak ani drgnął. – Masz jakieś imię?

– Nie dowiesz się mojego imienia. – Nos opiekuna nagle niemal dźgał Wellsa w twarz. – Jeśli już musisz, nazywaj mnie Dębem.

– Tak jest – odparł chłopak, jednocześnie zezując tamtemu na kołnierzyk. Udało mu się odczytać krzywy napis „O'Malley". Pytanie, czy naprawdę on się tak nazywał, czy też ktoś, kto nosił ten strój przed nim.

Potem była miska zimnej owsianki, wyczerpujący wieczorny bieg (urozmaicony przeszkodami, które ukrył zmierzch), a jeszcze potem dwóch strażników wlokło gdzieś Wellsa, niepanującego już nad tym, co robią jego stopy. Głowa zwisała mu na piersi.

W końcu znalazł się u celu; w długim pomieszczeniu pełnym klatek. Był tak

wycieńczony, że zajęło mu dłuższą chwilę, nim zrozumiał, że klatki te nie są przeznaczone dla zwierząt. Były dla nich. W każdej znajdowała się niewielka mata do spania oraz miska, zapewne mająca służyć jako nocnik. Chłopców i mężczyzn schwytanych razem z Wellsem było jedenastu; drugie tyle stanowili „rekruci", ludzie, którzy nie przybyli tu razem z nimi.

Wells przeżył szok. Kim byli ci więźniowie, jęczący i mamroczący w swoich klatkach? Skąd pochodzili? Znał tylko ludzi z osady Maxa i agresywną frakcję Ziemian, którzy się od nich oderwali. Najwyraźniej opiekunowie odkryli – i najechali – innych jeszcze mieszkańców tej planety.

– Tu będziesz spał, aż staniesz się jednym z nas – zawołał opiekun, podczas gdy dwóch wlokących Wellsa wrzucało go bezceremonialnie do klatki i zatrzaskiwało drzwi. – Wyśpij się lepiej, bo jutro nie będzie tak łatwo.

Światła zgasły – otoczyła ich nieprzenikniona ciemność. Wells nasłuchiwał; niespokojne oddechy, jakieś pokasływania. Nikt nie rozmawiał, nie słychać było tego dziwnego, płaskiego akcentu opiekunów.

Zaczął rozmyślać o bliskich, których zostawił tak daleko. O Bellamym, swoim bracie; o Clarke, byłej już dziewczynie, lecz niezmiennie będącej jego życiowym oparciem; o Maxie, który był mu tak bardzo ojcem, jak to było możliwe. Zastanawiał się, czy są bezpieczni, ale wyobraźnię zalały mu możliwości, każda z nich zbyt bolesna, by ją kontemplować. Z tego chaosu myśli wyłonił się jeden pewnik.

Zrobiłby wszystko, by zobaczyć ich ponownie.

By wstać rano i przejść przez cichą jeszcze polanę; na drugim jej końcu czekałaby na niego Molly. Słuchałby jej trajkotu, rąbiąc drewno. Pomógłby Luke'owi w odbudowywaniu chałup; zasadziłby kwiaty na grobie Sashy i patrzył, jak rosną. Może nie byłby tak świetnym przywódcą, za jakiego mieli go inni, ale starałby się wypaść jak najlepiej. Stałby się lepszy. Odpokutowałby za błędy, które doprowadziły do cierpienia tak wielu.

– Wells? – wyszeptał ktoś nie dalej niż piętnaście centymetrów od jego głowy. Chłopak podskoczył, aż brzęknęła klatka. – Nie śpisz?

To był głos Erica. Wells wypuścił z płuc powietrze. Przechowywanie ludzi niczym bagażu miało swe zalety; ci, których potrzebowałeś, byli blisko.

– Nie śpię – odszepnął.

– Ja też nie – nieopodal rozległ się niski głos. To był Graham. Nie mówił już pogardliwie i kpiąco. Najwyraźniej wypadki dnia wyssały z niego całą brawurę.

Puls Wellsa podskoczył, zasilany całą adrenaliną, na jaką było go w tym momencie stać. – Głupio zrobili, że wsadzili nas tu razem.

Graham parsknął cicho. – Co to za różnica?

– Taka, że stąd uciekniemy – szepnął Wells. – Ale nie będzie to jakiś ślepy wariacki spontan, rozumiecie? Mają karabiny, granaty, nie wiadomo co jeszcze, czego nam nie pokazali. Damy radę tylko, jeśli podejdziemy do tego sprytnie. Musimy się przyczaić i dać im, czego chcą.

– Niby jak? – Klatka wokół Wellsa zadrżała, gdy Graham chwycił za pręty. – Mam łykać całe to ich gówno? „Czcij planetę, planeta wszystkim rządzi, z czasem

zrozumiesz”?

– Tak – odparł Wells. – Zachowują się, jakbyśmy mieli szczęście, że do nich trafiliśmy. No to sprawmy, żeby myśleli, że się cieszymy.

– Już pędzę – odparował Graham. – Jak tylko wypuszczą mnie z tej klatki, wynoszę się stąd. Nie obchodzi mnie, ile głów będę musiał rozbić po drodze.

– Zastrzelą cię, nim rozbijesz choćby jedną – rzekł Eric znużonym głosem. – Zgadzam się z Wellsem. Musimy się przyczaić i znaleźć w nich jakąś słabość, która pozwoli nam wrócić do domu.

– Jakiego domu? – szepnął tamten ponuro. – Co w ogóle z niego zostało?

– Felix nadal żył, kiedy mnie złapali – W głosie Erica czuło się napięcie, gdy wspomniał imię swojego chłopaka. – Widziałem go po drugiej stronie polany, jak pomagał dzieciakom schować się w chacie szpitalnej. Może mu się udało. Może na mnie czeka.

– Tu na Ziemi wszyscy jesteśmy lepszymi ludźmi – powiedział Wells. – Nawet ty, Graham. Widziałem, jak uczyłeś Keitha łowić ryby. Przybycie na tę planetę dodało nam odwagi. Godności. Siły. Nie jesteśmy jak ci pieprznięci opiekunowie. My wiemy, że Ziemia nam przebaczyła, ale to nie znaczy, że nasza robota skończona. Dlatego musimy się stąd wydostać. Musimy wrócić do domu.

Rozległo się szuranie, jakby Graham siadał na posłaniu. Westchnął, pomilczał chwilę i w końcu powiedział:

– Dobra, wygrałeś, kanclerzyku. Skoro uważasz, że musimy się przyczaić… to się przyczaję. Ale głowy tych sukinsynów polecą, taki będzie efekt przyczajenia.

– Jeśli taka Ziemi wola – dodał Eric. Uśmiechał się; to było czuć w jego ściszonym głosie.

– Jeśli taka Ziemi wola – parsknął Wells.

Zwinął się w kłębek na szorstkiej macie. Serce mu waliło ze zmęczenia i strachu, ale gdzieś w jego wnętrzu jaśniała maleńka iskierka nadziei.

ROZDZIAŁ 10

BELLAMY

Osiem tobołów grzało się w popołudniowym słońcu. Każdy wypełniony był zapasami, każdy gotowy, by go podnieść, zarzucić na plecy i ruszyć w długą, niepewną drogę.

Bellamy zajrzał do swojego i zaczął go rozpakowywać. Suszone mięso, jabłka, gomółka sera, pół bochenka przypalonego chleba i zwinięty w rulon koc – wszystko wróciło na zgrabną stertę zawierającą rzeczy przeznaczone dla tych, którzy pozostawali w obozie. Bellamy potrzebował tylko łuku, kołczanu ze strzałami i małego skórzanego bukłaka na wodę, którą zamierzał znaleźć gdzieś na szlaku. Nie potrzebował posłania. Miał swój mały nóż myśliwski; całe jedzenie, jakie będzie mu potrzebne, upoluje lub zbierze po drodze.

– Ruszcie się wszyscy! – wołał Paul, klaszcząc w powolny, doprowadzający do szału rytm. – Torby na plecy, nogi na ziemię, szkoda dnia!

Bellamy odwrócił się i pomasował sobie skronie. Jeśli ten kretyn będzie robił tyle hałasu, tamci dopadną ich, gdy tylko zdążą postawić stopę na szlaku.

Niektóre dzieci wystawiły noski z prowizorycznie skleconego szałasu. Jakaś mała dziewczynka potarła oczy, nadąsana, i gapiła się na niego.

Bellamy pomachał do niej; odpowiedziała niepewnym uśmiechem, a potem uciekła w te pędy, podskakując na bosych nóżkach.

Bellamy podniósł jabłko. Zamierzał jej je podarować, jeśli obieca się podzielić z innymi; ale mała już kiwała na niego paluszkiem, domagając się, by podszedł bliżej. Wyszczerzył zęby w uśmiechu i nachylił się ku niej, żeby mogła mu szeptać do ucha.

– Znajdziesz Octavię? – spytała dziewczynka.

– No pewnie – odpalił, odchylając się do tyłu, by spojrzeć jej w oczy. Uśmiechał się, choć kłuło go w sercu.

– A powiesz jej, że wszyscy ją kochamy i tęsknimy, i chcemy, żeby wróciła?

– Zrobię coś lepszego niż to – odpowiedział. – Po prostu przyprowadzę ją do domu.

Niespodziewanie znalazł się w uścisku małych ciepłych rączek, a potem dziewuszka umknęła, płochliwa jak ptak.

Bellamy westchnął, wstał i się odwrócił – w samą porę, by zobaczyć, jak Clarke wypakowuje swoje zapasy i zostawia je innym. Zważyła na dłoni wielkie czerwone jabłko, posłała mu smętny uśmiech i odłożyła je na bok.

Bellamy odpowiedział własnym uśmiechem – ale poczuł, że ten spływa mu

z twarzy, gdy w polu widzenia pojawił się Paul.

– Naprawdę uważacie, że przepakowywanie właśnie teraz to dobry pomysł? Powinniśmy już ruszać.

– Właśnie skończyłem – odrzekł Bellamy, prostując się na całą wysokość; ku swemu zadowoleniu odnotował, że jest o dobrych parę centymetrów wyższy od Paula. – Wiesz, upewniałem się tylko, że ludzie nie poumierają tu z głodu pod naszą nieobecność.

Paul nie dosłyszał sarkazmu, a może go nie zrozumiał.

– Pozbywasz się jedzenia?

– Nie potrzeba nam tego tyle – wtrąciła Clarke, wskazując ręką własne przetrzebione zapasy. – Z mniejszym bagażem będziemy się sprawniej poruszali, nie sądzisz?

– Niezła myśl, Griffin – odrzekł Paul, uspokojony. Bellamy przewrócił oczami.

Pozostali członkowie ekspedycji czekali już na skraju polany. Zgłosiło się ponad dwudziestu ochotników, lecz Max z Rhodesem dobrali kluczowych ośmiu. Razem z Bellamym, Clarke, Lukiem, Paulem i Felixem wyruszało troje Ziemian, znanych jako znakomici wojownicy, myśliwi, tropiciele i zbieracze. Młoda kobieta imieniem Vale, przysadzisty mężczyzna z blizną w poprzek policzka zwany Cooperem oraz dziewczyna niewiele starsza niż Bellamy. Miała na imię Jessa. Jej brat, Kit, był jednym z członków rady; jego także porwano.

Z początku Rhodes i Max wątpili w sens kandydatury Luke'a. Niepokoiła ich jego kontuzjowana noga. Chłopak nie chciał jednak się wycofać.

– Z całym należnym szacunkiem, doradcy, ale jestem najlepszym strzelcem, jakiego macie – powiedział niezwykle uprzejmym tonem. – I nie odłożę tej strzelby, zanim nie użyję jej, by uratować Glass.

No i był jeszcze Paul. Nic go nie łączyło z żadnym z zaginionych. Upierał się, że jego obowiązkiem jest dołączyć do wyprawy, ponieważ pełnił na statku funkcję oficera. A przecież to już od dawna nie miało znaczenia. Paul argumentował swoje stanowisko – donośnie, jak to on:

– Znam ułożenie terenu, znam wyzwania, które nas czekają. Przyprowadziłem swoich ludzi tutaj, mogę równie dobrze poprowadzić ich tam.

Bellamy chciał wymknąć się z obozu bez zbędnego zamieszania. Im dyskretniej, tym lepiej. Zarzucił tobół na plecy; przez moment mignęła mu myśl, by ponieść też bagaż Clarke, lecz wyobraził sobie ten błysk oburzenia w zielonych oczach i zrezygnował. I tak była od niego tysiąc razy twardsza. Uścisnął rękę Maxa, skinął brodą Rhodesowi i zaczął iść w stronę lasu. Paul odchrząknął znacząco.

– Oto jesteśmy. Ósemka odważnych, zmierzająca niebezpieczeństwu prosto w paszczę, ponieważ tak trzeba. Nie wiemy, co nas czeka na końcu tej drogi, ale jestem pewien… – zrobił groźną minę, zacisnął pięść i przyłożył ją do serca – wierzę, że pokonamy przeciwności i sprowadzimy naszych przyjaciół z powrotem do domu. Kiedy wylądowaliśmy i wszystkich ogarnęły rozpacz i panika, wiecie, co im wtedy powiedziałem? Powiedziałem…

– Zachowaj resztę tej fascynującej opowieści na później, Paul – przerwał mu

Bellamy. – Czas nas goni.

Paul potrząsnął głową. – Nie możemy tak po prostu wypuścić się w las. Powinniśmy maszerować w szyku.

– W szyku? – powtórzył Bellamy, siłą woli powstrzymując się od wybuchu.

– Tak to się robi w oddziałach strażniczych. Oto co sugeruję: ja pójdę w awangardzie, na wypadek, gdybyśmy natknęli się na jakieś kłopoty. Reszta w parach za mną.

– Jest nas ośmioro – przypomniał Bellamy cierpko. – Nie dość, żeby się sparować…

– Wiem przecież – przerwał mu Paul. – Dlatego Luke pójdzie ostatni, będzie zabezpieczał tyły.

– To idiotyzm – odpalił chłopak, nie starając się dłużej ukrywać rozdrażnienia. Zaczął odliczać na palcach. – Po pierwsze, Luke idący w ariergardzie jest bardzo, bardzo złym pomysłem. – Rzucił Luke'owi przepraszające spojrzenie. – Nie gniewaj się, stary, ale twoja noga jeszcze się do końca nie zagoiła. Zostałbyś za bardzo z tyłu. – Odwrócił się z powrotem do Paula. – A po drugie, nie ma mowy, żebyś ty przewodził. Potrafisz śledzić niemal wystygły trop, idąc lasem cały dzień i całą noc? Wiesz, na co masz zwracać uwagę? Rozpoznajesz źdźbła trawy przygięte ludzką stopą, odróżniasz je od tych, po których przeszły kopyta? Wiesz, jak wyglądają błotniste ślady nóg na kamieniach? Znasz się na tym wszystkim?

Paul milczał, zaciskając usta.

Bellamy skinął głową. – To nie muszę koniecznie być ja. – Wskazał na Coopera, Vale oraz Jessę. – Oni mają więcej doświadczenia myśliwskiego ode mnie. Ale powiadam ci, ty na czele wyprawy to bezsensowny pomysł. Będziesz nas prowadził w kółko.

– W kółko? – Paul stracił nieco ze swego entuzjazmu. – Czy mogę ci przypomnieć, że pełniłem na statku wysoką funkcję oficerską? Uważam, że to mnie uprawnia do odrobiny szacunku, szczególnie ze strony kogoś, kto…

– Oto co zrobimy – ucięła Clarke. – Bellamy wypuści się nieco do przodu, wyznaczając trasę i ułatwiając pozostałym jej przejście. W ten sposób ty, Paul, możesz pozostać na czele ekspedycji, żeby nas chronić. A skoro nie będziesz musiał zawracać sobie głowy orientacją, skupisz się na wyszukiwaniu najlepszych miejsc na odpoczynek i wypatrywaniu niebezpieczeństw. Znasz ukształtowanie terenu, prawda? Luke będzie szedł za tobą i przy okazji osłoni całą resztę.

Przerwała i obrzuciła ekspedycję spojrzeniem, dając wszystkim szansę, by zaprotestowali. Nikt tego nie zrobił, więc kontynuowała: – A ja chętnie pójdę na końcu. Nie będę musiała zawracać, jeśli ktoś zacznie wymagać pomocy medycznej.

– Brzmi logicznie. – Paul uśmiechał się nieco zbyt szeroko. – Popieram tę sugestię.

– To nie była sugestia – mruknął Felix przez zęby.

Bellamy już się odwracał. Zmarnowali tyle czasu na gadanie. Trzeba iść. Pełnia księżyca zapewni im światło, ale jeśli z tych kłębiących się w oddali chmur spadnie deszcz, będą mieli przerąbane.

Bellamy szedł i szedł, aż otuliła go leśna cisza, a oczy przystosowały się do słabego oświetlenia. W końcu dostrzegł złamane gałązki, ledwo widoczne ślady kół odciśnięte w stertach listowia.

„To jest to”, pomyślał i podążył za tropem. Serce mu waliło. „Zróbmy to. Sprowadźmy ich do domu”.

ROZDZIAŁ 11

CLARKE

Na początku marsz w szyku wydawał się głupim pomysłem, ale teraz Clarke przestało to przeszkadzać. Zostając z tyłu, mogła do woli obserwować zmieniający się krajobraz; od gęstwiny leśnej po rozległe, pokryte zielonością pola pełne roślin, jakich nie widziała nigdy wcześniej – a potem znów kępy drzew, tam, gdzie wiódł trop. Utrzymywanie właściwego tempa wymagało skupienia uwagi na tym, co tu i teraz, na stawianiu nogi za nogą, na posuwaniu się do przodu. To była kropla nadziei w beznadziejnych okolicznościach.

„Okoliczności" brzmiały o wiele sympatyczniej niż „krwawy, niszczący atak, któremu kompletnie nie zdołałaś zaradzić".

Ziemscy uczestnicy ekspedycji zmieniali się kolejno na pozycjach; zawsze któreś szło razem z Clarke. Akurat teraz była to rosła, smukła Jessa, dziewczyna nieco bardziej małomówna od innych. Milczenie nie przeszkadzało Clarke wcale. Zauważyła natomiast, że tamta intensywnie wpatruje się w horyzont i marszczy brwi.

– Ile lat ma twój brat? – spytała Clarke miękko.

Jessa odchrząknęła.

– Jest kilka lat starszy. Kit sobie poradzi – dodała znienacka tonem tak szorstkim, jakby dyskutowała nie z Clarke, a z wewnętrznym głosem. – Możliwe, że nie będzie nawet trzeba go ratować. Ale to jedyna rodzina, jaką mam, i życie bez niego, jakby nigdy nie istniał, nie wchodzi w grę. Pomaga się tym, których się kocha. Tak to po prostu jest.

– Rozumiem cię – odparła Clarke. Jej myśli odbiegły ku Bellamy'emu. Od kilku godzin, czyli odkąd wyruszyli, szedł na czele pochodu, tak daleko od niej, że nie mogła go zobaczyć. Wiedziała, co go tak gna; nie chodziło tylko o szybko znikający trop najeźdźców, ale o rodzinę. Przez całe życie chronił Octavię, a z Wellsem dopiero od niedawna nawiązali braterską więź. Nic dziwnego, że był tak zdesperowany.

Clarke pojmowała to gwałtowne, rozpaczliwe pragnienie, by odnaleźć tych, których się utraciło. Przez długi czas, wbrew nadziei i logice, czuła to samo w stosunku do rodziców. A jednak ich spotkała.

Na myśl o nich ogarnął ją wstyd.

Przed wyruszeniem spędzała całe godziny u wezgłowia rannej pani Griffin. Kuracja doktora Lahiri zdawała się zwalczać infekcję, a kula nie przebiła żadnych istotnych organów wewnętrznych. Ale i tak pacjentkę czekała długa rekonwalescencja. Gdy tak Clarke siedziała przy matce, gawędząc z nią przyciszonym

głosem, omal nie zmieniła zdania. Ale w pewnym momencie Mary Griffin szepnęła: „Dumna jestem z ciebie. Z tego, na kogo wyrosłaś” – i dziewczyna domyśliła się, że chodzi o decyzję wymarszu. A jednak serce wyrywało jej się w dwóch przeciwnych kierunkach. Miała wrażenie, że rozdziera je każdym krokiem.

„Nic mi nie będzie”, przyrzekła sobie. „Wrócę do nich cała i zdrowa, tak jak obiecałam”.

Las przed nimi się przerzedził, a droga zrobiła się stroma. Słońce już zachodziło, spowijając krajobraz ciepłym złotym blaskiem.

– Co do… – Idący przed nią Paul odskoczył, gdy z gałęzi nad jego głową odwinęło się grube pnącze. Wystrzeliło w powietrze, rozpościerając jasnożółte liście. Clarke wiedziała z doświadczenia, że są one lepkie, o a świcie będą pokryte owadami, którymi roślina zwykła się żywić.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

– Nic – odparł, zwalniając nieco, aż zrównali się krokiem. Paul rozglądał się dookoła oszołomiony. – Co to było…?

– Nazywam je mięsożernymi nocnymi pnączami. Ale jak się naprawdę nazywają, nie mam pojęcia. Ani czy w ogóle ktoś je nazwał. To jakaś świeża mutacja.

– Niesamowita rzecz – odparł, oglądając się przez ramię. Cała jego brawura gdzieś znikła, zastąpiona przez zaciekawienie. Clarke nie znała wielu ludzi, którzy tak jak ona pasjonowali się roślinami.

– Co masz na myśli? – zapytała.

Potrząsnął głową. – Ziemia wygląda zupełnie inaczej, niż nam opowiadali. Kwiaty, o których czytaliśmy, okazują się trujące. Pnącza przeszły na mięsożerność. Jelenie mają po dwie głowy. Z początku to wszystko człowieka przeraża, ale jest w tym jakiś głębszy sens, wiesz? Wszystkie gatunki robią, co w ich mocy, żeby przetrwać. Walczą. Jak wojownicy. Podoba mi się to.

Clarke sama była zaskoczona, że się uśmiecha.

– Uważasz się za wojownika? Jesteś na niego trochę za wesoły, jak na mój gust.

Paul odpowiedział uśmiechem innym niż dotąd; melancholijnym, niemal smutnym.

– Czasami wesołość to też rodzaj walki. Kiedy się widziało to, co ja widziałem… – Pokręcił głową. – Powiedzmy, że moje dorastanie nie należało do najłatwiejszych. – Clarke wpatrzyła się w niego, tknięta myślą, że być może Paul i Bellamy mają ze sobą więcej wspólnego, niż ktokolwiek by się spodziewał. Obaj przeżyli ciężkie chwile jako dzieci, lecz wybrali odmienne strategie przetrwania. Bellamy stał się zamknięty w sobie i zbuntowany, ponieważ nie wierzył, że komukolwiek warto ufać; Paul z kolei starał się być otwartym, przyjaznym człowiekiem, tak aby inni mogli zaufać jemu.

Wzruszył teraz ramionami. – Hej, ale kto miał łatwo? Wątpię, byś ty od małego wylegiwała się na płatkach róż. Gdyby tak było, nie wylądowałabyś w Odosobnieniu.

Clarke zbladła lekko; przypomniała jej się Lily i inne dzieciaki, których nie zdołała ocalić. – To… skomplikowane.

Uśmiechnął się do niej miłym, szczerym uśmiechem, tak odmiennym od jego zwykłego, wymuszonego grymasu.

– Wątpię – odparł cicho. – Jestem pewien, że starałaś się po prostu zrobić to, co słuszne.

Maszerowali, aż zapadła ciemność. Nie zatrzymali się po zmroku. Bellamy miał słuszność. Warto było korzystać z osłony, którą dawała noc, robiąc krótkie przystanki na odzyskanie sił. Ani razu nie stracił tropu z oczu. Często zdarzało się, że wskazywał ślad koła, którego Clarke nie wypatrzyłaby za dnia, a co dopiero w ciemnościach. Im dłużej wędrowali, tym bardziej chłopak wydawał się naładowany energią. Niemal podskakiwał z każdym krokiem, tak mu było pilno dopaść ludzi, którzy porwali jego siostrę.

Za to wszyscy inni robili się zmęczeni i w końcu do Bellamy'ego dotarło, że czas na mały postój. Wysforował się do przodu, by znaleźć nań stosowne miejsce; pół godziny później pozostali dołączyli do niego w małej dolinie u stóp wzgórza. Płynął tam też strumień.

Wieczór był chłodny, lecz postanowili nie palić ogniska, by dym nie zwrócił na nich jakichś niepowołanych oczu. Ci, którzy zabrali ze sobą koce, rozkładali je teraz na trawie. Clarke patrzyła zafascynowana, jak Cooper i Vale zakopują się w stercie uschłych liści.

– Też chcesz spróbować? – zapytał cichy głos. Odwróciła się; za nią stał Bellamy z figlarnym uśmieszkiem na twarzy.

Widok jego uśmiechu wypełnił jej wnętrze ciepłem; zmartwienie, które dźwigała, zelżało nieco.

– Nie muszę. W przeciwieństwie do pewnych szlachetnych, acz nierozsądnych ludzi, których znam, zabrałam własny koc.

Bellamy teatralnie skrzyżował ramiona i udał, że trzęsie się z zimna.

– Jak myślisz, doktorko? – spytał, zezując w niebo. – Co mnie czeka? Przemarznięcie, a może odmrożenia?

– Nie martw się. W razie odmrożeń dam sobie radę z amputacją. Zabrałeś ze sobą całkiem ostry nóż.

– Zawsze pozostaje jeszcze medycyna zapobiegająca…

– Owszem – odpaliła, dając mu kuksańca w bok. – Nazywa się: weź ze sobą koc.

– Ja mam koc.

– Czyżby? Widziałam, jak go wypakowywałeś.

Bellamy rozciągnął usta w uśmiechu, bez słowa chwycił ją, podniósł i odszedł kilka kroków na bok, gdzie oboje padli w wyjątkowo wielką górę suchego listowia.

– Puść mnie! – śmiała się Clarke, usiłując bez skutku wygramolić się z tej sterty.

– Cóż za charakterny kocyk – odrzekł, ujmując ją w pasie i przyciągając bliżej.

Była taka zmęczona. Kończyny zaczęły jej ciążyć. Rozluźniła się i pozwoliła sobie na bezwład, na przytulenie. Głowę położyła chłopakowi na piersi.

– Wszystko według zaleceń lekarskich – powiedział Bellamy cicho, mierzwiąc jej włosy.

– Recepty zostaw mnie, Blake – wymamrotała sennie. Głęboko wciągnęła powietrze niosące jej najbardziej ulubiony na świecie zapach: mieszankę dymu z ogniska, wilgotnej ziemi, sosnowych igieł i soli. Woń Bellamy'ego.

Pocałował ją w czubek głowy. – Wyśpij się trochę.

Przytuliła go mocniej.

– Ty też.

Lecz jego oddech nie spowalniał, uścisk ramion nie słabł; zamiast odpływać w sen wraz z nią, chłopak wciąż był napięty jak struna. Czuła, jak łomocze mu serce.

Clarke podniosła głowę. Bellamy miał oczy szeroko otwarte, szczęki zaciśnięte.

– Będzie dobrze. Odnajdziemy ich i przyprowadzimy do domu.

– Śpij już, Clarke.

– Ty też potrzebujesz snu. Musisz być wypoczęty.

– Nie mogę spać. – To było niemal warknięcie.

– Bellamy… – Pogładziła go po policzku. – Chociaż spróbuj…

Gwałtownie odwrócił głowę; Clarke pozwoliła, by jej dłoń opadła bezwładnie. Usiadła.

– Ja też się o nich martwię, wiesz. Wells to mój najlepszy przyjaciel, kocham Octavię i Erica, i…

Przymknął oczy i skrzywił się cały, jakby jej słowa miały kolce. – Po prostu przestań, dobra? Nie zrozumiesz tego. Nigdy nie miałaś rodzeństwa. Nie wiesz, jak to jest. A ja straciłem ich dwoje. – Gdy znów otworzył oczy, nie patrzyły już miękko i czule, jak przed chwilą; była w nich tylko zawziętość sprawiająca, że Clarke miała chęć odsunąć się o krok.

– Ale zapłacą za to. Nie zostanie ani jeden łysy sukinsyn, kiedy już z nimi skończę.

Clarke patrzyła na niego zszokowana.

– Bellamy, my nie planujemy żadnej bitwy! Zakradniemy się do ich siedziby, uwolnimy naszych. Kto wie, może nawet wynegocjujemy z porywaczami jakieś pokojowe rozwiązanie.

– Pokojowe rozwiązanie? – parsknął Bellamy. – Żartujesz sobie?

– Mamy tylko dwie strzelby i żadnego pojęcia o tym, co nas czeka. Nie możemy się wypuścić na samobójczą misję tylko dlatego, że masz ochotę sobie postrzelać.

Bellamy wyprostował się tak gwałtownie, że Clarke omal nie spadła na ziemię. – Wciąż mi nie ufasz, co? Masz mnie za wyrywnego idiotę, co nie ma dość mózgu, żeby sklecić jakiś sensowny plan.

Clarke westchnęła. – Nie, oczywiście, że nie. Po prostu myślę, iż istnieje możliwość, że…

– Nigdy we mnie tak naprawdę nie uwierzysz. Zawsze będę dla ciebie recydywistą z „Waldena”, który wciąż sprawia kłopoty.

Wpatrywał się w nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

– To nieprawda!

Clarke próbowała położyć mu dłoń na ramieniu. Nie pozwolił jej.

– Idź spać – rzekł sucho. – Za parę godzin wyruszamy w drogę.

– Bellamy, czekaj…

Ale on już zniknął w mroku.

ROZDZIAŁ 12

GLASS

Glass i siedem porwanych dziewcząt stały w długim rzędzie. W nowych białych sukienkach wyglądały trochę jak sztachety jasnego płotu, które Luke wbił dookoła ich chaty.

Wyprowadzono je z jaskini, a potem powiedziono serią krętych, walących się korytarzy; na końcu tej drogi znajdował się ogromny, pusty hall. Dużej części sufitu i ścian brakowało; poranne słońce rozlało się po posadzce.

Z pęknięć w betonie wyrastało kilka kwitnących drzew wypełniających powietrze subtelną, słodką wonią. W każdej innej sytuacji Glass byłaby tym zachwycona albo przynajmniej pod wrażeniem, lecz im dłużej przebywała na terenie Głazu, tym większym lękiem przejmowało ją wszystko z nim związane. Nie miała pewności, co się tu dzieje, ale wydało jej się to wszystko bardzo podejrzane.

– Co oni nam zrobią? – wyszeptała Octavia.

– Nie wiem – odparła Glass, rozglądając się nerwowo.

Przed szeregiem chodziła tam i nazad jasnowłosa kobieta po dwudziestce ubrana w szarą tunikę. Przyglądała się dziewczętom. Glass stresowało każde jej zmarszczenie brwi. Nie miała pojęcia, na jakiej zasadzie ją się tu oceni. A co gorsza, nie wiedziała też, czy lepiej byłoby zdać ten egzamin, czy nie.

Kobieta stanęła przed Glass, otaksowała ją wzrokiem, a potem wpatrzyła jej się w oczy, nie mrugając przy tym. Glass nie była pewna, co może zrobić poza odwzajemnieniem tego spojrzenia. Jednak było ono tak przeszywające, tak natarczywe – że po małej chwili odwróciła wzrok.

Gdy podniosła oczy, kobieta przeszła już do Octavii. Glass nie zdążyła zorientować się, jak wypadła, mogła się tylko domyślać, że niezbyt pomyślnie. Ale czy powinna się tym cieszyć, czy niepokoić? Jaki sens miało imponowanie tym ludziom?

„Żeby przetrwać”, wyświetliło jej się w głowie. Działała jak na autopilocie, pchana wyłącznie determinacją. Cokolwiek będzie musiała zrobić, by się stąd wydostać – zrobi to. Żeby powrócić do obozu. Do Luke’a.

Zamyśliła się, tak że gdy rząd dziewcząt ruszył z miejsca, Octavia musiała ponaglić ją spojrzeniem.

– Czeka was ceremonia oczyszczenia, ale najpierw zwiedzicie sobie Głaz – oznajmiła jasnowłosa. – Soren pragnie, byście poznały wasz nowy dom, skoro zostajecie z nami.

– Zostajemy z nimi? – szepnęła Lina. – Mówi o tym, jakbyśmy były ich gośćmi.

Glass kiwnęła głową, lecz milczała, nie chcąc sprowokować jasnowłosej, która już i tak patrzyła na nie podejrzliwie.

– To jest zmywalnia – ogłosiła kobieta z czoła pochodu.

Ogonek dziewcząt wypełnił kręty korytarz. Minęły zbombardowaną, pozbawioną okien przestrzeń; Glass zdołała dojrzeć czerwone twarze kilku biało ubranych kobiet; jedne szorowały gliniane naczynia, inne prały odzież w wielkich, parujących kotłach. Rzeczywiście, zachęcający widok.

Blondwłosa stanęła w miejscu i uniosła dłoń.

– Jutro każda z was kolejno przymierzy się do każdej pracy, którą można tu wykonywać, i otrzyma stanowisko zależne od jej uzdolnień.

– Jasne. „Uzdolnień” – prychnęła cicho Octavia za plecami Glass. – Ciekawe, czy posiadłyśmy boski dar prania paskudnych szmat, czy może wrodzony talent do skrobania garów.

Kobieta w szarym stroju rzuciła jej nachmurzone spojrzenie. Dziewczyna umilkła.

Rząd dziewcząt znów się przesunął; wkrótce wyprowadzono je na zewnątrz. W oddali Glass dostrzegła opiekunów o wygolonych głowach krążących wokół jakichś słaniających się z wyczerpania ludzi. Opiekunowie głośno na nich wrzeszczeli, z czego wywnioskowała, że słaniający się też są więźniami. Czyżby byli wśród nich jej przyjaciele? Zmrużyła oczy, patrząc pod słońce i myśląc intensywnie.

Uwięzienie wprowadziło ją w stan czujności. Dziewczyna starała się zapamiętać możliwie jak najwięcej detali tyczących Głazu. To, co od wewnątrz wydało jej się spójną strukturą, widziane z zewnątrz okazało się raczej zespołem wolno stojących budynków, które, podobnie jak w Kolonii, rozmieszczono na planie o kształcie plastra miodu. Z niektórych mijanych budowli pozostały tylko sterczące nagie kształtowniki i kupa gruzu. Inne miały się lepiej.

Kompleks roił się od biało odzianych opiekunów, z których żaden nie wydawał się robić nic konkretnego. Typowy dzień w obozie kolonistów wypełniały rozmaite niezbędne zajęcia, jak pielenie ogródków, zbieranie gałęzi na opał, doglądanie dzieci i wznoszenie nowych chałup. Co ci ludzie tutaj robili przez cały dzień?

Przynajmniej jedno miejsce wydawało się tętnić życiem. Kobieta nazwała wnętrze tego budynku „Sercem Głazu”. Rósł tam prawdziwy las – być może niegdyś to miejsce było dziedzińcem, ale teraz pokrywały je drzewa, niektóre pełne owoców. Glass wciągnęła do płuc słodki zapach dojrzewających jabłek i gruszek, puszczając mimo uszu monotonne wyjaśnienia jasnowłosej; coś o ceremoniach religijnych, ofiarowaniu darów Ziemi. Grupa ruszyła wkrótce dalej, a Glass znowu się zagapiła. Nie chciała opuszczać kojącej zieleni.

– Teraz spotkacie się z osobą, która nam przewodzi, oraz ujrzycie zgromadzoną przez nas obfitość – oznajmiła kobieta, prowadząc je kolejnym krętym korytarzem. – Soren wraca właśnie z długiej duchowej przechadzki i bardzo chce się z wami spotkać.

Glass i Lina wymieniły nerwowe spojrzenia. „Spotkać” nie było słowem, którego one by użyły; zostały nafaszerowane jakimś narkotykiem, a potem porwane. A teraz

czekała je konfrontacja z tym, kto wydawał rozkazy i pochwalał okrutne czyny opiekunów.

Budynek się skończył i znienacka otworzył się przed nimi widok tak oślepiająco jasny i rozległy, że Glass aż zachwiała się z wrażenia. Patrzyła na ogromne prostokątne pole; niżej połyskiwała w słońcu wstęga rzeki. Na horyzoncie majaczyły ruiny, pole pełne było plonów. Jedna jedyna samotna kobieta w białej sukni przyglądała się tej obfitości uważnym okiem. Czarne włosy opadały jej na ramiona.

Glass dostrzegła nagle coś dziwnego i podeszła bliżej, by to zbadać. Była to donica na kółkach! Rosły w niej ziemniaki i inne warzywa korzeniowe.

Jasnowłosa zaczęła mówić o obfitości zsyłanej przez Ziemię, a Glass uświadomiła sobie naraz dwie rzeczy: po pierwsze, ziemniaki rosną pod poziomem gruntu, nie w spiętrzonych stosach. Po drugie, wszystkie donice w zasięgu jej wzroku wyposażono w kółka.

Nie były to żadne donice, tylko taczki! Nie patrzyła na uprawy, patrzyła na miejsce, gdzie składowano jedzenie zrabowane innym ludziom.

Wściekłość napłynęła falą. A z nią wspomnienie, jak ciężko wszyscy pracowali nad przygotowaniami do święta zbiorów. To były tygodnie spędzone w polu, na polowaniach, na zbieraniu owoców, a potem ich suszeniu.

– Jesteście zwykłymi złodziejami. – Słowa wyleciały z jej ust, nim miała szansę je powstrzymać. Lina wstrzymała oddech i pokręciła głową, lecz było już za późno.

Kobieta zamilkła; oczy jej się zwęziły. Dziewczęta wbiły spojrzenia w Glass.

– Jak śmiesz mówić tak o opiekunach!

Glass skuliła się w sobie; tamta nadchodziła z wyciągniętą do ciosu dłonią.

Ale wtedy ta druga, czarnowłosa, podeszła do nich żwawym krokiem. Ubrudzone ziemią ręce wytarła w białą sukienkę. Ta ubrana na szaro zamarła w bezruchu.

– Pokój, siostro – odezwała się czarnowłosa. – Chciałabym usłyszeć, co ona ma do powiedzenia. – Miała ciekawie otwarte oczy, a wokół nich wesołe zmarszczki. Uśmiechnęła się do Glass; nie było w tym uśmiechu nic złowróżbnego.

– Powiedz mi, proszę – ciągnęła czarnowłosa – czemu uważasz, że jesteśmy złodziejami?

W umyśle Glass zapaliła się alarmowa lampka; należało być ostrożną, nawet wobec tej miłej osoby. Ale potem przypomniała sobie twarz Luke’a, gdy tamci ją odciągali. Przerażone okrzyki i wrzaski bólu, co wypełniły polanę, gdy ucichły już eksplozje.

– Ta „obfitość” to nie żaden dar do Ziemi. Ukradliście to pożywienie ludziom, którzy ciężko pracowali, by się wyżywić. Siebie i swoje dzieci. Macie tutaj tyle miejsca – ciągnęła Glass, wskazując przed siebie. – Czemu sami niczego nie uprawiacie? Nie potraficie?

Starsza kobieta poważnie pokiwała głową.

– Potrafimy, potrafimy. Lecz Ziemia nie dała nam jeszcze przyzwolenia. Nie wolno nam naruszać gleby pod samolubnymi pretekstami, nim nie znajdziemy takiego miejsca, w którym nasza cywilizacja zapuści korzenie. Ziemia musi pierwej wysłać nam znak. Tylko wtedy i dopiero wtedy ze zbieraczy staniemy się rolnikami.

– Jakiego jeszcze znaku potrzebujecie? – wypaliła Glass, czując, że igra z ogniem. – Macie tę olbrzymią fortecę. Macie też idealne miejsce, by siać. Macie nawet drzewa owocowe w tym miejscu, które nazywacie Sercem, prawda? Bardzo łatwo można by je przekształcić w sad. Nie musielibyście wtedy napadać niewinnych ludzi i rabować ich zapasów.

Ciemnowłosa kobieta sięgnęła po ręce Glass. Wzięta z zaskoczenia, dziewczyna nie stawiła oporu. Czarnowłosa uścisnęła je w swoich szorstkich dłoniach.

– Doceniam twoja szczerość – przemówiła, patrząc jej prosto w oczy. A potem odeszła parę kroków i skinęła krótko, wskazując ją jasnowłosej kobiecie. To był jakiś sygnał. Glass poczuła, że żołądek zaciska jej się z nerwów.

Po czym czarnowłosa zwróciła się do wszystkich:

– Witajcie, nowe przyjaciółki. Jakże się cieszę, że mogę was poznać. Mam na imię Soren.

Chmura przepłynęła na wskroś nieba, wydobywając z krajobrazu nowe cienie, a myśli Glass wywinęły koziołka. Ich przywódca, Soren, to ona!

– Noszę tutaj kilka różnych imion – ciągnęła Soren, poprawiając pasmo siwiejących włosów, które wymknęło się z niskiego koka. – Niektórzy zwą mnie najwyższą opiekunką. Inni matką opiekunką albo po prostu matką. Ale większość ludzi mówi do mnie Soren, a jako że jest to moje prawdziwe imię, nie mam nic przeciwko temu! – Zaśmiała się; to był odświeżająco normalny dźwięk w porównaniu ze wszystkimi rytualnymi recytacjami, które słyszały dotąd. – Nie bardzo zależy mi na tytułach. Ważne, byście wiedziały, jaka jest moja funkcja, a jest ona dwojaka. Zamierzam pomóc wam odnaleźć tutaj dom. Ale poza tym całą duszą służę Ziemi.

Soren przymknęła oczy i trwała tak przez dłuższą chwilę. Gdy je otworzyła, jaśniały jeszcze większym spokojem niż dotąd.

– Poznamy się lepiej przy pracy, która nas tu czeka – oznajmiła, kierując do każdej z dziewcząt osobny uśmiech. – Dziś chciałabym tylko, byście zastanowiły się nad tym, czym jest matka. Uważam się za matkę wszystkich tutaj. – Stanęła naprzeciw Liny i pogładziła ją po lśniących włosach. – Tak, twoją też.

Ku zaskoczeniu Glass Lina pokraśniała na twarzy i spuściła oczy.

– Matki są mądre – ciągnęła Soren. – Troszczą się o innych, a w zamian za ten dar same też otrzymują dar. Matki mają związek z glebą, z powietrzem, czerpią ze źródła intuicji w sposób jedyny w swoim rodzaju. – Splotła place i obracała się powoli, by spojrzeć we wszystkie twarze. – Matki są także silne. Nie uginają się pod kaprysami swoich dzieci. Wychowują je, by wyrosły na jak najlepszych ludzi.

Oczy Soren spotkały się z oczami Glass, lecz tym razem dziewczyna nie odwróciła wzroku. Przepaść między ciepłem Soren a brutalnością opiekunów nie mieściła jej się w głowie. Widziała, jak atakują ich obóz. O mało nie zabili Luke’a. A jednak stojąc tu teraz, wchłaniając łagodne słowa Soren – czuła, jak gniew zaczyna w niej topnieć.

– Chcę was zostawić z pewną myślą. Miejcie ją zawsze w pamięci, gdy będziecie poznawać naszą małą enklawę, wgłębiać się w cele, które mamy nadzieję osiągnąć. Oto ona: Kobiety muszą być matkami dla swoich ludzi. – Rozjaśniła się w uśmiechu.

– Szczególnie dla mężczyzn. To takie duże dzieci, w gruncie rzeczy! Wszyscy ludzie są jak dzieci. Niewinni, lecz śmiertelnie niebezpieczni w swej niewinności. To, co uczyniono Ziemi – największej z matek – jest krzyczącą niesprawiedliwością. Nawet przed czasami Wielkiego Rozpadu tym światem rządziły niemądre dzieci oraz ich zabawki zatruwające powietrze i wodę. Pustoszyły i karczowały, jak im się podobało. Istnieli bogowie, religie, lecz najwyższym autorytetem był egoizm.

Soren zmarszczyła brwi i wzięła głęboki oddech.

– Podarowano nam kolejną szansę. Możemy sprawić się lepiej. Możemy być lepsi. Potrzebuję do tego waszej pomocy. Was, kobiet, które do nas przybyłyście.

Soren przycisnęła dłonie do serca. Glass poczuła zaskakujące drżenie we własnej klatce piersiowej. Tak bardzo chciała okazać się użyteczna, ale w obozie jakoś nigdy nie było dla niej miejsca. Nie umiała leczyć chorych ani projektować budynków. Nie nadawała się do dźwigania drewna na opał. Nie potrafiła nawet wymyślić zajmującej zabawy dla dzieci. Być może Soren miała rację – może była dla Glass jakaś rola do wypełnienia, jakiś sposób, by mogła stanowić część społeczności, nie rozczarowując nikogo.

– Wszystkie służymy Ziemi, a jeśli posłużycie Jej dobrze, pewnego dnia znajdziecie się na moim miejscu, miejscu najwyższej z opiekunek… jeśli taka Ziemi wola. – Soren rozpromieniła się w uśmiechu. – Mamy tu taki mały zwyczaj. Gdy ktoś mówi: „Jeśli taka Ziemi wola”, wszyscy obecni powtarzają za nim, żeby utwierdzić się w tej wierze. Spróbujemy? Jeśli taka Ziemi wola…

– Jeśli taka Ziemi wola – powtórzyły niepewnie wszystkie dziewczęta.

– Niezły początek – rzekła Soren, klaszcząc w dłonie. – Witajcie w naszej rodzinie!

ROZDZIAŁ 13

WELLS

Wells zrobił jeszcze jeden krok w nurcie rzeki. Zimna woda kłuła go dotkliwie w odsłonięty brzuch. Zacisnął zęby, wbił palce stóp w błotniste dno i brnął dalej.

Tuż obok trząsł się i szczękał zębami Eric. Za to Kit, jeden z porwanych Ziemian, wmaszerował do wody z niezmąconym spokojem na twarzy. Możliwe, że przywykł do temperatur bardziej skrajnych niż koloniści, którzy dopiero niedawno zetknęli się z naturalnym klimatem. Jeszcze dalej stał Graham i zaciskał szczęki, podczas gdy nurt rzeki ochlapywał mu tors.

– Nie musicie wchodzić głębiej – rozległ się melodyjny głos. Dochodził z brzegu; wszyscy więźniowie odwrócili ku niemu głowy. Stał tam szereg biało odzianych uzbrojonych mężczyzn pilnujących, by wszyscy dopełnili udziału w „dobrowolnej" ceremonii. A za ich plecami Soren, najwyższa opiekunka. Wdrapała się na stertę gruzu i spoglądała na nich z jej wysokości niczym dobrotliwa bogini.

Soren odwiedziła ich tego ranka. Wells był nieco zaskoczony, widząc, że tak brutalnym ludziom przewodzi kobieta. Jak się okazało, wszystkie decyzje podejmowano w kobiecych kręgach. Mężczyźni stanowili tylko siłę zbrojną potrzebną do wypełniania rozkazów. Gdy Soren przemówiła do tych, którzy „świeżo zasilili trzódkę", jak się wyraziła, opowiedziała im o ceremonii oczyszczenia, w której wezmą udział. Jej sens miał polegać na obmyciu ich z dawnych występków. Brzmiało to nawet dość rozsądnie, lecz słowa, którymi opisała tę ceremonię, były o wiele bardziej zachęcające niż rzeczywistość. Teraz chłopcy dygotali w lodowatej wodzie, z trudem utrzymując równowagę na przekór rwącemu nurtowi.

Wells oczekiwał, że Soren powie im, co mają dalej robić. Ku jego rozjuszeniu odwróciła się do nich plecami, zajęta świeżo przybyłą nad brzeg grupą.

To były same dziewczęta. Wells gwałtownie wciągnął powietrze i dokładnie oglądał twarz po twarzy. Przypomniało mu się, co powiedział jeden z tych ludzi z wozu o „najlepszych z waszych kobiet". Dotąd żadnej więźniarki nie widział i nie miał odwagi snuć przypuszczeń.

A teraz miał je przed oczami. Drżały z zimna, ubrane w identyczne białe szaty. Osiem dziewcząt z obozu. Serce w nim zamarło, gdy rozpoznał Linę i Octavię; poczuł palące ukłucie w piersi, gdy dojrzał Glass. Jego przyjaciółka z dzieciństwa i tak dość już wycierpiała, a teraz stało przed nią być może najniebezpieczniejsze z dotychczasowych wyzwań. Luke zapewne wariował z niepokoju. Bellamy także. Na szczęście dziewczęta nie wyglądały, jakby stała im się jakaś krzywda. Lecz gniew

budziła sama myśl, że tkwiły tu teraz pośród tych potworów.

Wells odetchnął i zmusił organizm, by się uspokoił. Dołoży starań, by jego przyjaciele wrócili do domu. A jeśli okaże się, że opiekunowie skrzywdzili kogoś w obozie, zapłacą za to drogo. Ale jeszcze nie dziś.

Glass schwytała spojrzenie Wellsa i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Mógł czytać w jej twarzy jak w książce: zaniepokojenie faktem, że jego również schwytano; ulga, bo był tu przy niej; obawa, że sprawy przybiorą fatalny obrót.

Dziewczęta weszły w rwący nurt, gwałtownie chwytając powietrze. Wells próbował skrzyżować spojrzenia z Octavią, ale ta uparcie wpatrywała się w horyzont, zaciskając buntowniczo usta i machając rękami, by utrzymać równowagę.

– Nie musicie wchodzić dalej – powtórzyła Soren, rozkładając szeroko ramiona. Więźniarki stanęły o parę metrów od Wellsa i odwróciły ku niej twarze. – Witajcie, nowi przyjaciele. Wasza obecność w tym gronie jest błogosławieństwem.

Miała miły głos i przyjazny wyraz twarzy. Ale Wells nie pozwolił, by go to rozproszyło; coś było bardzo nie tak z tymi ludźmi.

– Ziemia dokonała niezwykłego dzieła, sprowadzając was do naszej owczarni. Wychowano was w bardzo różnych społecznościach, wzrastaliście w rozmaitych tradycjach. – Wzniosła oczy do nieba, jakby coś ją bawiło. – Niektórzy z was podobno spadli nawet z nieba. Szanujemy to, lecz nadszedł czas, byście zmyli z siebie przeszłość i zaczęli od nowa. Tak czyści jak w dniu narodzin. Gdy opuszczę ramiona – mówiła, wciąż trzymając je rozłożone – chciałabym, byście zanurzyli głowy i powstali już nowi, oczyszczeni.

Opuściła ręce. Wells, jak mu kazano, dał nura w lodowatą toń. Pod wodą otworzył oczy – dookoła było pełno fluorescencyjnych ryb – a potem wstał i zaczerpnął tlenu, ociekając wodą.

– Ciała są czyste. Proszę, byście oczyścili też umysły – ciągnęła Soren, wędrując wzrokiem po twarzach. – Nie chodzi o umiejętności czy wiedzę, którą posiadacie; jest ona darem Ziemi samej. Oczyśćcie umysły z ograniczeń. Porzućcie to, czego zawsze trzymaliście się jako prawdy. Kroczcie pośród nas z otwartą głową. Stańcie się jak naczynia, do których Ziemia zleje swoją mądrość, a będą z was prawdziwi opiekunowie, podpory tej wspaniałej społeczności – ostatniego, jedynego imperium, jeśli taka Ziemi wola.

– Jeśli taka Ziemi wola – powtórzył karnie Wells. Im bardziej sprawiał wrażenie, że nabiera się na ten bezsens, tym lepiej. Musiał zdobyć ich zaufanie… a potem użyć go przeciw nim.

– A teraz – zakonkludowała Soren radośnie – teraz świętujemy!

Uśmiechnęła się i gestem przyzwoliła im wyjść z wody. Najpierw dziewczynom, potem mężczyznom.

Wells otarł mokre oczy i wpatrzył się w przestrzeń; na nieodległym od rzeki polu ustawiono stoły pełne jadła i napojów. Gdy wyszedł na brzeg, drobna kobieta w bieli podała mu kawałek tkaniny, by mógł się wytrzeć do sucha.

– Dziękuję – powiedział. Zamrugała i odeszła śpiesznie.

Podszedł do stołów i zaczął je obchodzić, ciekaw, które z wyładowanych

koszyków zabrano z ich obozu. Buszel poobijanych jabłek? Słodkie ziemniaki? Słodkie bułki upieczone z cudzych ziaren? Wziął sobie po jednym wszystkiego i poszedł się rozglądać za Grahamem i Erikiem.

Jego uwagę przykuły dwie dziewczyny ociągające się na nadbrzeżu. Stykały się głowami, najwyraźniej pogrążone w rozmowie. Ta o jasnych włosach zerkała nerwowo za siebie; to była Glass.

O czymkolwiek dyskutowały, nie robiły tego tak dyskretnie, jak im się wydawało. Kobieta w szarym stroju miała na nie oko.

Glass spojrzała wprost na Wellsa i zaczęła coś bezgłośnie mówić, ale przeciął to nieznacznym ruchem głowy. Uśmiechnął się tępo, jak mieli w zwyczaju robić to opiekunowie, i gestem przywołał je obie.

Znalazł niezłe miejsce na kocu pod murem i usadowił się tam z jedzeniem. Po chwili dołączyły do niego obie dziewczyny. Wells starał się nie gapić na uśmiechniętych aprobująco opiekunów, którzy śledzili ich poczynania.

– Nic ci nie jest? – spytała Glass, obejmując go krótko.

– Nic – odparł. – Nie przestawaj się uśmiechać.

Posłuchała.

Octavia też, choć jej grymas nie był tak przekonujący.

– Uciekamy stąd – oznajmiła przez wyszczerzone zęby. – Widziałam w dole rzeki kilka przywiązanych łodzi. Biegniemy do nich, jak tylko nadarzy się okazja.

Czuł, jak przyspiesza mu tętno. Uśmiechał się. – Kiedy?

Sztuczny uśmiech Octavii zniknął, gdy w determinacji zacisnęła wargi. – Kiedy tylko będzie to możliwe. Może dziś.

– Czekaj – wyszeptał, a potem z szacunkiem skinął głową przechodzącej kobiecie w szarym stroju. Gdy była już daleko, wyprostował nogi i niedbale ugryzł kęs jabłka. – Cokolwiek zamierzasz, nie rób tego. Nie teraz.

– Czemu? – Oczy Octavii się zwęziły.

– To nie jest właściwy moment – odpowiedziała za niego Glass.

– Właśnie – dodał, podając jej jabłko. Glass uprzejmie pokręciła głową i spojrzała w inną stronę.

– Mnie on wygląda na właściwy – odparła Octavia, sięgając po wzgardzony owoc. – Mamy łodzie, tutaj, teraz. Możemy…

– Co możemy? – wyszeptał pośpiesznie. Pole zapełniało się ludźmi, czas pogawędki dobiegał końca. – Możemy wiosłować, a potem nas zastrzelą?

Octavia zmarszczyła czoło, ale widział, że zaczęła się zastanawiać.

– To mógłby być zalążek planu – tłumaczył cierpliwie. – Ale nie mamy broni, nie mamy wsparcia z zewnątrz, nie ufają nam na tyle, by nas spuścić z oczu. Jeszcze nie. Nawet gdyby udało się dostać z powrotem do domu, oni mogą najechać nas tak jak poprzednio, albo i gorzej.

– Jaki masz pomysł? – Glass odkruszyła kawałek czerstwego bochenka chleba i obracała go w palcach.

– Zostańmy opiekunami – powiedział. – My wszyscy. Graham, Eric, Kit, chłopaki z naszego obozu są za. Pogadaj z innymi dziewczynami, które uwięziono, niech

wiadomość się szerzy. Zrobimy, co trzeba, by nam zaufali, by uwierzyli, że chcemy do nich dołączyć. A kiedy opuszczą gardę, wyniesiemy się stąd. W ten sposób uciekniemy z ich bronią w ręku i będziemy mieli jakieś szanse w walce, gdy już dotrzemy do domu.

Octavia ucichła; przez moment bał się, że zacznie się z nim sprzeczać, teraz, głośno, pośród tylu wrogów. Ale wolno skinęła głową.

– Gra na przeczekanie… dobrze, jestem z tobą, Jaha.

Wells uśmiechnął się i zerknął na Glass, spodziewając się gorliwego potakiwania. Ale twarz Glass przybrała dziwny wyraz, którego nie mógł rozgryźć. A przyjaźnili się tak długo. Być może odpłynęła w myśl o Luke'u… nie, to nie było to. Nie wyglądała na cierpiącą, raczej – na tęskną.

– Glass? Zgadzasz się z tym planem? – spytał.

Podskoczyła na dźwięk własnego imienia.

– Co? Jasne, oczywiście, że tak.

To, co teraz przemknęło po jej twarzy – znał. Przyjaźnili się tak długo, padło między nimi wiele sekretów. Potrafił poznać, kiedy dziewczyna kłamie.

ROZDZIAŁ 14

BELLAMY

Kucał za omszałą plątaniną butwiejących gałęzi. Słońce zachodziło, kryjąc się za największym budynkiem, jaki widział w życiu.

To musiało być to miejsce. Moment także był odpowiedni. Dotarcie tu trwało o wiele za długo. Cały poprzedni dzień spędzili na przedzieraniu się przez nierówny, zdradliwy teren. Pozostałości zniszczonego miasta pokrywały las setką ukrytych pułapek; pagórki, szczyty i kanciaste odłamki budowli piętrzyły się we wszystkich kierunkach. Ale wreszcie osiągnęli cel i teraz każda sekunda była droga. Każda sekunda spędzona na czekaniu mogła oznaczać, że coś okropnego przydarzy się Octavii, Wellsowi albo innym porwanym.

Przed paroma minutami z budynku wysypała się grupa biało ubranych mężczyzn; mieli ze sobą wozy. Sam ich widok wprawił go w szał; musiał się bardzo ze sobą pasować, by się na nich po prostu nie rzucić. Odkąd odjechali, pod bramą wejściową nie działo się nic.

– Ruszajmy – szepnął Bellamy do pozostałych.

– Słońce zachodzi – odezwała się Clarke niepewnym tonem. – Może powinniśmy się wycofać na razie i rozłożyć obóz w miejscu, z którego będziemy mieli dobry widok. – Mówiła, patrząc w bok, jakby nie chciała prowokować go spojrzeniem.

– Dobry plan, Griffin. – Paul energicznie kiwał głową. – Przyda nam się osłona nocy.

„A co ty wiesz o takich rzeczach?”, chciał spytać Bellamy. „Robiłeś za tak zwanego oficera na stacji kosmicznej, gdzie nie było prawdziwej nocy… prawdziwej ciemności. Ani żadnych wrogów”. Ale wszyscy poza nim potakiwali, więc tylko westchnął w duchu. Sam tej betonowej twierdzy nie zdobędzie. Potrzebował ich, a skoro postanowili wziąć na przeczekanie, to tak musiało być. Na razie.

Wstał i zaczął rozciągać kręgosłup, posykując przy tym. Paul odwrócił się do niego i powiedział:

– Ktoś z nas powinien tu zostać i obserwować. Może ty, Bellamy? – W oczach lśniło mu wyzwanie.

– Ja zostanę – odezwał się Felix, rozładowując napięcie. – Tylko przyślijcie po mnie kogoś, kto mi powie, gdzie obozujecie, żebym mógł was powiadomić, gdyby coś się działo.

Paul wyglądał na rozczarowanego, ale skinął głową, a potem (najgłośniejszym szeptem, jaki Bellamy kiedykolwiek słyszał) przykazał reszcie grupy:

– Nie rzucajcie się w oczy i bądźcie cicho!

Zaczęli się wycofywać, idąc gęsiego tą samą ścieżyną, którą tu przybyli. Clarke odczekała, aż zrówna się z Bellamym.

– Zgadzasz się na taki plan? Uważam, że ten sposób ma największą szansę powodzenia.

– Tak. Jasne – odparł, nie patrząc jej w oczy. Od zeszłej nocy wymienili zaledwie parę słów. Czuł się rozdarty. Jakaś jego część chciała chwycić dziewczynę w ramiona i błagać ją o przebaczenie za to, że zachował się jak głupek. Inna, równie silna, nie była gotowa, by jej przebaczyć. Kiedy wreszcie zaufa mu naprawdę?

– Hej, Clarke! – wołał Paul. – Chodź zobaczyć tego niesamowitego robala… czekaj, nie… no niech mnie! To chyba jest żaba ze skrzydłami. Ale ma dziwaczną mordkę.

Clarke bez wahania porzuciła Bellamy'ego i podbiegła do Paula stojącego na skraju małego stawku. Chłopak posłał plecom tamtego straszliwy grymas.

Ekspedycja podążała naprzód niewielkim łukiem, idąc brzegiem małego strumienia, a Bellamy szedł na końcu, zacierając ślady. Wreszcie Clarke wskazała pozostałości starego budynku. Niektóre z prętów zbrojeniowych wciąż zachowały niezmieniony kształt. Mech obrósł je tak grubą warstwą, że tworzyły coś w rodzaju okapu, dość gęstego, by mogli się pod nim ukryć przed wypatrzeniem z oddali.

– Nada się w sam raz – oznajmił Paul, kładąc rękę na ramieniu Clarke. – Masz dobre oko, Griffin.

– Ogień mógłby wzbudzić podejrzenia – powiedziała, odwracając się szybko, tak że dłoń Paula opadła. – Będziemy musieli poradzić sobie bez niego.

„Dotknij jej jeszcze raz, a twoja morda będzie wyglądać jak ta żaba", pomyślał Bellamy, zaciskając pięści. Skupił się na wdechach i wydechach, a potem ruszył otoczyć obóz kręgiem prowizorycznych pułapek na nieproszonych gości. Gdy wrócił, zastał ją siedzącą po turecku na ściółce leśnej; rysowała patykiem plan fortecy. Cholerny Paul opierał rękę na jej ramieniu – znowu! – jakby dla utrzymania równowagi. Nie strząsnęła jej. Nie zrobiła nic.

Bellamy nie mógł na to patrzeć. Odwrócił się i zaczął iść w przeciwną stronę.

– Hej! – krzyknęła dziewczyna. – A ty dokąd?

– Powiem Felixowi, gdzie jesteśmy – rzucił, odwracając się przez ramię.

Spochmurniała i spojrzała w ziemię.

– Dobry chłopak – wyszczerzył się Paul.

Bellamy nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Pędził przez las, starając się rozluźnić bolesny węzeł zazdrości pulsujący mu w środku. Osiągnął tyle, że zrobił się jeszcze bardziej rozdrażniony i żądny walki. Zaczął czuć naglący ciężar strzał w skórzanym kołczanie na plecach.

Felix obrócił się w miejscu, słysząc kroki. Na widok Bellamy'ego rozluźnił się widocznie i uniósł rękę.

– No, jesteś. Super. To gdzie obozujecie?

– Mniejsza z tym – odparował Bellamy, nie zwalniając kroku. Skinął na Felixa. – Chodź tędy.

Felix obejrzał się przez ramię. – A co z pozostałymi? Dokąd się wybieramy?

– Na zwiad. Idziesz czy zostajesz?

Chłopiec wahał się przez moment, ale skinął głową.

– Pewnie, że idę.

Bellamy obrzucił uważnym spojrzeniem obrośniętą bluszczem bryłę fortecy. Górowała nad nimi, groźna i ciemna. Nikt nie wchodził ani nie wychodził za mur. Rozejrzał się z natężoną uwagą, zapamiętując możliwie dużo szczegółów. Kilka metrów dalej to samo robił Felix.

Szeroki kamienny dziedziniec poprzecinany koleinami. Niskie wejście wpuszczone w gruby mur, zapewne pilnie strzeżone. Dyskretnie wyglądające z muru szczytowego lufy działek skierowane we wszystkich kierunkach. Nie było wokół nich widać żywej duszy.

Ci ludzie nie zachowywali czujności. Trudno było ich winić; rozgromili konkurencję, właściwie omal nie starli jej z powierzchni. No i zabrali całą broń zwyciężonych.

Bellamy pogładził swój rzeźbiony łuk, a potem znów puścił się żwawo naprzód, tym razem wzdłuż ściany budynku, jeśli można go było w ogóle tak nazwać. Ten betonowy twór był przerażająco wielki, większy niż trzy statki Kolonii razem wzięte. Na myśl o armii, jaka musiała go zamieszkiwać, Bellamy'ego ścisnęło w dołku. Rzucenie jej na kolana wydało mu się nieosiągalne.

Lecz potem zatrzymał się i kucnął pośród wysokich, podobnych do trzciny traw, nasłuchując tak, jak miał w zwyczaju robić to podczas polowań.

Z wnętrza budowli dochodził go stłumiony szmer głosów – ale coś głębszego niż zwykły zmysł obserwacji podszeptywało, że w fortecy wcale nie ma wielu ludzi. Wręcz przeciwnie.

„Może dlatego zabrali naszych", uświadomił sobie, czując, jak dreszcz pełznie mu po karku. „Porywają, żeby zwiększyć własne szeregi". Wyglądało to na wyjątkowo głupią strategię: powybijaj swoim więźniom przyjaciół i rodzinę, a potem zaproś ich do wspólnego rabowania innych?

Zza chmur wypłynął księżyc i oświetlił szczegóły zabudowań. Lity mur obrośnięty bluszczem okazał się mieć mnóstwo małych okien o dawno wytłuczonych szybach. Ich obecność mogła się okazać niebezpieczna – każdy otwór jest dobry, by wystawić przezeń lufę strzelby. Mogła też okazać się okazją.

Bellamy podpełzł do najbliższego z nich i spojrzał uważnie. Po drugiej stronie zdołał dostrzec jakąś wewnętrzną drogę czy ścieżkę. Być może kiedyś wznosiło się nad nią sklepienie, lecz nie zostało z niego wiele. Księżyc oświetlał podłoże. Chłopak uświadomił sobie, że zewnętrzny mur nie jest połączony z resztą struktury. Może, gdyby już udało im się go przebyć, odnaleźliby drogę do swoich.

Nadbiegł Felix, wskazując błysk światła na horyzoncie. Bellamy przekrzywił głowę i też go dostrzegł. Wzdłuż budowli płynęła wartko spora rzeka. Jej wody utworzyły pod murami coś w rodzaju małej zatoczki. Wodę od budynków oddzielało tylko rozległe zielone pole, schodzące w dół tarasami. Wydawało się mniej zaniedbane niż wszystko inne wokół. „Plaża" na brzegu rzeki była tak kamienista, iż

Bellamy podejrzewał, że kiedyś używano jej jako drogi.

Chciał zapuścić się dalej, zobaczyć więcej – lecz trasę przed nimi zaścielały kolczaste wydmy rumowisk; trudno byłoby im się poruszać swobodnie w takim terenie. Felix już odbiegał z powrotem w mrok, niewątpliwie myśląc o Ericu przetrzymywanym gdzieś w pobliżu. Był odwrócony plecami, zbyt daleko, by dotarło doń ostrzegawcze gwizdnięcie. Bellamy pobiegł więc za nim, skacząc z pagórka na pagórek.

Nagle na polu przed nimi dostrzegł jakiś ruch. Zamarł, patrząc, jak z fortecy wychodzi pięcioro ludzi; nikt z nich nie był żołnierzem z ogoloną głową.

Kobiety. Same kobiety, większość w szarych, drapowanych strojach. Na czele pochodu szła starsza od innych, czarnowłosa, w białej sukni, z dłońmi uniesionymi do mglistego księżyca.

Bellamy'ego przebiegły ciarki. Było coś zbyt wyćwiczonego w ich krokach; szły niczym tamci najeźdźcy, utrzymując równe, precyzyjne tempo. Idąc, nuciły niskimi, gardłowymi głosami; przypominały wysypujące się z ula pszczoły. Bellamy nie miał pojęcia, o co tu chodzi, ale nie podobało mu się to.

Ta idąca na przedzie przykucnęła, by dotknąć trawy, a pozostałe powtórzyły jej gest. Następnie przycisnęły palce do ust, a potem uniosły je do nieba.

– Wielka Ziemio – zaintonowała kobieta. – Wypełniłyśmy Twoje życzenia i tak będziemy czynić po kres dni naszych. Teraz w pokorze prosimy Cię o znak. Czy to nasz dom? Czy tu powinnyśmy pozostać? Czy ta opoka i ta gleba pod nogami będą należeć do nas?

Chłopak dosłyszał przesuwający się między drzewami, niemal niepochwytny szelest wiatru. Kobieta przechyliła głowę. Ona też go usłyszała.

– Jeśli życzeniem Twoim jest, byśmy tu zostały, Wielka Ziemio, poślij nam wiatr na spotkanie – zawołała. Bellamy ledwie miał czas mrugnąć, nim nagły powiew zmierzwił mu włosy, a potem zaczął szarpać spódnice zgromadzonych kobiet. Wszystkie wyglądały na wzruszone i oszołomione.

Wszystkie prócz tej w bieli, oczywiście.

„Co za naciągaczka", pomyślał Bellamy. „Gdyby akurat nie było żadnego wiatru, prosiłaby, by powietrze pozostało nieruchome".

– Przyjaciółki, oto mamy odpowiedź – orzekła nieco cichszym głosem, obróciła się w miejscu i zamaszystym gestem skierowała je wszystkie z powrotem. Nim odeszła, stała jeszcze przez chwilę nieruchomo jak posąg.

Bellamy wstrzymał oddech. Oczy ciemnowłosej obiegły usianą gruzem dolinę; spojrzała wprost przez niego i dalej jeszcze.

– Chodźmy odpocząć – powiedziała i znikła w fortecy wraz z innymi.

Chłopcy czaili się jeszcze przez chwilę, a potem Felix przeszedł przez kupę gruzów, kucnął obok i szeptem zadał Bellamy'emu pytanie:

– Co to, u diabła, było?

– Widzieliśmy kogoś, na kogo warto uważać – odszepnął mu Bellamy. – Chyba wyczerpaliśmy nasz zapas szczęścia na dziś.

– Ano – odparł Felix, ruszając z powrotem między drzewa. – Zgadzam się.

Wracajmy do…

Rozległ się rumor, a spod jego stóp usunęły się kamienie. Chłopak zniknął jak połknięty. Bellamy wytrzeszczył oczy, a potem padł na kolana, wypatrując przyjaciela w tej nowo powstałej czeluści.

Odetchnął głęboko. Panika odpłynęła, zastąpiona falą ulgi.

Felix leżał na posadzce pomieszczenia przypominającego piwnicę. Był nieco obity, oszołomiony, ale cały. Zerknął na kolegę z zawstydzoną miną.

– Chyba znalazłem wejście…

Bellamy bez wahania przełożył nogi przez krawędź i bezgłośnie wskoczył za nim. Rozejrzał się dookoła. W oddali pełgało mdłe światło. A zatem to kiedyś był tunel.

Wyciągnął z kieszeni zmajstrowany z kamienia sztylet i zważył go w ręku. Tak na wszelki wypadek. Skinął w stronę światła.

– Ruszajmy.

Felix ostrożnie, lecz raźno podążył za nim; kroki chłopców budziły w sklepionej przestrzeni liczne echa, choć starali się iść jak najciszej. To było nierozsądne, wręcz głupie… ale mogło się okazać ich jedyną szansą.

Bellamy zwolnił. Jakiś duży obiekt zablokował mu drogę – prawdopodobnie taczka wyładowana czymś, czego nie potrafił rozpoznać.

Nasłuchiwał przez moment, spodziewając się żołnierzy w bieli, ale najwyraźniej ich tu nie było. Dał znak Felixowi, że idą dalej, i wyciągnął przed siebie obie ręce, by odsunąć zawalidrogę.

Jego dłoń musnęła zawartość wózka; natrafiła na coś krągłego, karbowanego, zdobionego zimnym metalem na czubku. Oddech Bellamy’ego zamienił się w lód. Odłożył ostrożnie ów karbowany obiekt i przesunął palcami po całej reszcie. A potem postąpił krok w tył, oszołomiony własnym szczęściem.

– O cholera! – zaśmiał się cicho. – Ta taczka jest pełna broni! Strzelby, bomby… wszystko, czego nam trzeba.

Felix pokręcił głową, ale zerkał zza jego pleców, chcąc przekonać się sam. – Jaja sobie robisz.

– Jeśli to żart, to z nich – uśmiechnął się Bellamy. – Jestem pewny, że pilnują wewnętrznych drzwi do tego korytarza. Myślą, że jest ślepy… i taki będzie, już niedługo.

– Jaki jest plan? – spytał bez tchu Felix.

Bellamy uniósł jeden z granatów do światła.

– Wetkniemy te tutaj w każde małe okienko, jakie tylko znajdziemy. Wysadzimy te cholerne mury, wejdziemy w sam środek fortecy i odbierzemy wszystko, co nam ukradli, i odbijemy porwanych.

Na twarzy Felixa zagościł uśmiech.

– Chcesz na nich napaść, tak?

– Oni pierwsi wyrządzili nam tę uprzejmość – odrzekł Bellamy, ostrożnie wkładając granat do kieszeni. Wstąpiła w niego świeża energia. – Najwyższa pora odpłacić im tym samym.

ROZDZIAŁ 15

GLASS

Ocknęła się, dysząc. Ktoś bezlitośnie szarpał ją za ramię.

To była ta kobieta o jasnych włosach zwiniętych w ciasny węzeł. Glass szukała w pamięci jej imienia, podczas gdy jej oczy próbowały się przystosować do ciemności. Ledwie mogła dostrzec rysy jasnowłosej nacechowane surowym pięknem. „Margot", przypomniała sobie wreszcie. „Jedna z doradczyń Soren".

Serce w niej zamarło; przypomniała sobie z całą wyrazistością ten moment wczoraj na polu, gdy przywódczyni wskazała ją gestem. To zapewne był rozkaz dla Margot. Najwyższej opiekunce nie spodobało się małe przemówienie Glass; miała teraz poznać tego konsekwencje.

Margot zaczęła ją wlec za ramię. Glass próbowała się wymknąć z żelaznego uścisku.

– Nie, nie, proszę, ja się poprawię! Cokolwiek złego zrobiłam! Będę trzymała buzię na kłódkę. Ja…

– Cicho, pobudzisz resztę – syknęła kobieta. – Nie bądź samolubna. Dziewczyny potrzebują wypoczynku, przed nimi dzień pracy.

To zabrzmiało tak zwyczajnie, że Glass ucichła, bardziej zagubiona niż wystraszona.

– Nie mam pojęcia, co ona w tobie widzi – szepnęła tamta – ale ufam, że w swoim czasie okażesz się pożyteczna.

Wyprowadziła ją z pomieszczenia; musiały w tym celu obie przemykać na palcach między śpiącymi. Niektóre z nich nawet przez sen stopami dotykały podłogi. To były prawdziwe wyznawczynie; Glass trzymała się od nich z daleka.

W pewnym momencie nieomal trąciła Annę nogą, przeskakując nad jej posłaniem. Obudzenie kogoś, kto wiedziałby, że wywleczono ją stąd w środku nocy, wydawało się niezłym pomysłem, ale jednak zbyt się obawiała podejrzeń Margot.

Gdy wyszły z sypialni, jasnowłosa zamknęła drzwi na zamek. – Dokąd idziemy? – odważyła się szepnąć Glass.

– Do komnat Soren. Matka sypia o osobliwych godzinach, więc lepiej się przyzwyczaj do takich poranków jak ten.

Glass starała się nadążać. Myślała intensywnie. Zbijało ją z tropu to, że opiekunowie tytułują Soren matką. Czy ktokolwiek z nich naprawdę był jej dzieckiem?

Skręciły w lewo i podążyły dalej niekończącym się, pozbawionym dachu

korytarzem. Dziewczyna spojrzała w mrugające o świtaniu gwiazdy i pomyślała o Luke'u. Gdzie był teraz? Może czuwał, wycieńczony i rozbity, spoglądając na to samo niebo, snując plany jej uwolnienia? Tak bardzo chciałaby posłać mu wiadomość, że nic jej nie jest.

Margot stanęła w miejscu i popchnęła Glass w kierunku drewnianych schodów, wciąż pachnących trocinami. Wspinając się, dziewczyna poczuła rękę tamtej na ramieniu. Spodziewała się brutalności, ale ku jej zdumieniu dotyk kobiety był delikatny.

U szczytu schodów tkwiło dwóch strażników w bieli; ich twarze jak zwykle przypominały maski. Na widok Glass skinęli w niemal uprzejmym geście i rozstąpili się, pozwalając jej przejść.

Glass posłała im wymuszony uśmiech i podążyła za Margot.

Znalazły się w rozległym pomieszczeniu. Osmaloną betonową posadzkę okryto tu tkanymi chodnikami, a na środku stało wielkie łóżko z baldachimem. W kącie urządzono prowizoryczne palenisko; sklecony z kawałków żelastwa piecyk słał dym przez otwór w suficie i dalej, w nocne niebo.

Glass zachwycała się przez chwilę urodą tego miejsca, jego rozmaitymi małymi luksusami; a potem przyszło jej do głowy, że to wszystko prawdopodobnie zostało skradzione. Kto spędził godziny nad tym czerwonym, wełnianym kocem, okrywającym teraz łoże Soren? Glass nie zauważyła dotąd, by ktokolwiek w tej fortecy prządł lub tkał.

Margot zaprowadziła ją do przylegającej do komnaty małej antykamery. Stało tu wąskie polowe łóżeczko, takie jak w innych pomieszczeniach sypialnych; była także miednica, ciepła mata pod stopami, nawet małe, pęknięte lustro.

Glass poczuła szok, widząc własne odbicie. Od tak dawna nie miała ku temu okazji. Była tak wychudła, taka zmęczona… taka smutna. Dotknęła pęknięcia w szkle, niemal oczekując, że obraz za nim rozmyje się i zniknie.

Oczy Margot padły na jej koszulę nocną ze sztywnego płótna.

– Jesteś chudsza niż Dara. Trzeba będzie zwęzić dla ciebie jej sukienkę. Na razie możesz nosić swój stary strój.

Rzuciła na łóżko znajomą białą sukienkę. Glass zamrugała zaskoczona – nie zauważyła nawet, że kobieta zabrała z jaskini jej skromny dobytek.

– Kto to jest Dara? – spytała, obejmując się ramionami.

– Poprzednia pokojówka Soren – odparła Margot. – Ty ją zastąpisz. – Spojrzenie jej stwardniało. – Była podobna do ciebie, wiesz. Bystra. Wyszczekana.

Glass nie rozumiała, co kryje się za uśmieszkiem Margot, ale poczuła, jak ogarnia ją podejrzliwość. – Co się… stało z Darą? – Skubała szew nocnej koszuli, niepewna, co usłyszy w odpowiedzi.

– Awansowała – rozległ się głos za jej plecami.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie; w drzwiach stała Soren, wysoka, smukła i lekko uśmiechnięta.

– Awansowała? – spytała Glass ostrożnie. Czyżby tak się u nich mówiło na śmierć?…

W odpowiedzi Soren postąpiła w bok, odsłaniając inną jeszcze dziewczynę – ciemnoskórą, mocno zbudowaną, nieco ponaddwudziestoletnią. Też miała na sobie szare szaty doradczyni.

– Dara – rzekła Margot serdecznym tonem i uścisnęła ręce tamtej. – Witaj, siostro!

Dara rozpromieniła się w uśmiechu, a potem uprzejmie skinęła głową Glass. – Matka jest bardzo szczególną osobą – powiedziała. – Musiałaś wywrzeć na niej wrażenie.

– O, tak – zaśmiała się Soren i wyciągnęła do Glass rękę. – I nie wątpię, że uczynisz to jeszcze nie raz.

Glass kręciło się w głowie. – Co właściwie mam teraz robić?

– Twoim pierwszym obowiązkiem jest przechadzka ze mną – odparła Soren, znikając w drzwiach swojej komnaty. – Chcę zobaczyć Głaz w porannych promieniach słońca.

Dara spojrzała w oczy Glass. Bezgłośnie, samymi ustami, wymówiła słowa: „buty, szal", Margot zaś wskazała na otwartą skrzynię nieopodal. Glass podbiegła do niej, wyjęła parę skórzanych pantofli i grubą chustę z wełny. Dara kiwnęła głową. Glass zaniosła Soren jedno i drugie.

Przywódczyni obdarzyła ją wdzięcznym uśmiechem, a potem zmrużyła oczy, taksując cienki ubiór dziewczyny. – Weź też szal dla siebie, dziecko, albo zmarzniesz.

Dara już była przy niej, podając miękkie białe okrycie.

– Dzięki – szepnęła Glass, tyleż zawstydzona, co pochlebiona całą tą uwagą.

Świt nad Głazem był bardzo cichy, różowawo-złoty od wschodzącego słońca. Glass i Soren spacerowały, milcząc. Było to zaskakująco przyjemne. Soren znała w tym labiryncie każdą alejkę i każdą drogę na skróty; Glass kompletnie straciła orientację.

Wreszcie poczuła ciężką, jedwabistą woń i wiedziała już, dokąd zdążają: do Serca.

– To moje ulubione miejsce – powiedziała Soren, stawiając kroki na rozległym dziedzińcu. Zaprowadziła dziewczynę między drzewa, głęboko w sad. – Przychodzę tu rozmyślać. I rozmawiać.

Posłała Glass zapraszający uśmiech, jakby dając jej tym samym znać, że powinna zainicjować tę wymianę zdań. Glass palnęła pierwsze, co jej przyszło do głowy:

– Dlaczego wybrałaś mnie na swoją pokojówkę?

Soren rozpromieniła się wyraźnie.

– Bo zadajesz właśnie takie pytania. Masz uczciwe serce i niewyparzony język. Ale przede wszystkim… – spojrzała pod światło przeciskające się przez gałęzie – … podoba mi się, jak działa twój mózg.

Glass zdusiła powątpiewający śmieszek. W całym jej życiu tylko jeden Luke powiedział jej podobny komplement.

– Są ludzie, którzy patrząc na świat, widzą w nim tylko to, co mogą zagarnąć. Zebrać, ukraść i zabrać ze sobą. – Uśmiech Soren ustąpił miejsca zamyśleniu. – To bardzo użyteczne, oczywiście. Tę właśnie cechę cenimy w naszych grabieżcach. Ale przywódcy trzeba czegoś więcej. Przywódca musi przede wszystkim widzieć to, co mógłby dać z siebie innym. – Wskazała ręką dookoła; jej oczy lśniły wesoło. – Jak

pole pod uprawę, na przykład. Albo sad.

Glass poczuła, że różowieją jej policzki. – Sama nie wiem, czemu to wszystko powiedziałam.

– Ponieważ to prawda. – Soren posłała jej uśmiech. – To były inteligentne sugestie, Glass. I jak się okazuje, także słuszne. – Na jej rozpromienioną twarz padło różowawe światło wschodu. – Ziemia do nas przemówiła. Życzy sobie, byśmy tu pozostali. Na zimę zbudujemy paleniska, a na wiosnę – uścisnęła ramię Glass i odeszła o krok – zaczniemy siać.

Dziewczyna patrzyła na Soren, niepewna, co powinna odpowiedzieć. Część jej duszy pragnęła desperacko, by opiekunowie odeszli gdzieś daleko, skąd już nigdy nie zdołają skrzywdzić ani Ziemian, ani kolonistów. Chciała wrócić do domu, do Luke'a. Ale inna jej część nie czuła się gotowa porzucić Soren; rozstać się z uczuciem, którego doświadczała, gdy ta kobieta obdarzała ją swym uśmiechem. Uczuciem, że oto nareszcie jest potrzebna. Cenna. Chciana.

– Już kiedyś się osiedliliśmy, wiesz – mówiła Soren przyciszonym głosem. – Dawno temu, gdy dołączyłam do opiekunów jako dziewczynka. Żyliśmy wtedy daleko na zachodzie. Od tamtego czasu zatrzymaliśmy się dwakroć, raz na każde pokolenie. Znów nadszedł właściwy czas na sianie.

Umysł Glass pulsował od niezadanych pytań: „Co siew ma wspólnego z pokoleniami? Gdzie konkretnie na zachodzie mieszkaliście? Dlaczego do nich dołączyłaś?". Z ust spłynęło tylko jedno: – Soren, czemu zabraliście z obozu akurat nas? Czemu nie wszystkich?

Przywódczyni stanęła w miejscu i powoli wyciągnęła dłoń do gałęzi ciężkiej od śliwek. Dotknęła owoców bardzo delikatnie, samymi czubkami palców.

– Ziemia ma swoje rytmy, wkrótce zrozumiesz, Glass. Ignorowanie ich nie jest tylko niemądre; to także wielki grzech. Po Ziemi chodzą biorcy oraz opiekunowie. Musimy z jednej strony powstrzymać biorców przed skrzywdzeniem Ziemi bardziej, niż zrobili to dotąd, z drugiej zaś umacniać potencjał opiekunów. Spójrz na tę śliwę. Jest piękna. Jest żywa. Wzrasta i osiąga perfekcję, jak każdy z nowych członków naszej społeczności.

Glass wstrzymała oddech, wsłuchując się w zachwyt w głosie starszej kobiety, obserwując światło tańczące na jej rysach. Tym razem włosy Soren były rozpuszczone i rzucała się w oczy lekka siwizna; cała jej postać miała w sobie coś z drzewa wyciągającego gałęzie do brzasku.

– Matko! – Czyjś młody głos przerwał ciszę. Glass odwróciła się na pięcie i zobaczyła biegnącego ku nim zdyszanego chłopca w wieku lat dziesięciu bądź jedenastu. – Nasz oddział powrócił z południa. Wyprawa okazała się owocna.

– Dobra Ziemio! – Soren ucałowała czubek jego głowy. Mały się rozpromienił.

– Bądź błogosławiona, matko – powiedział.

– Bądź błogosławiony, Callum – odpowiedziała. Niezależnie od tego, czy była jego prawdziwą matką, czy nie – dobrze grała swoją partię. – Zaraz do nich przyjdę.

Chłopiec odbiegł, by przekazać wiadomość; Soren odwróciła się do Glass.

– Pójdę teraz prosto do koszar – oznajmiła, ściskając jej nadgarstek. – A ty

pozwiedzaj trochę. Odkrywaj nowe rzeczy. Kto wie, jakie pomysły przyjdą ci do głowy.

Glass patrzyła, jak pełna wdzięku postać Soren niknie w oddali. Przypomniała jej się inna kobieta; blondynka patrząca w sztucznie podświetlane zwierciadło na pokładzie „Feniksa". Włosy miała perfekcyjnie ułożone, suknię wyciętą głęboko, uśmiech powierzchowny, a oczy wiecznie czujne.

„Co by moja matka pomyślała o tych ludziach?", zastanowiła się Glass. „A co Soren pomyślałaby o niej?"

„Soren uznałaby ją za jednego z biorców", uświadomiła sobie. „I mogłaby mieć rację". Matka Glass kochała córkę i zrobiłaby dla niej wszystko, lecz jednocześnie całe życie manipulowała ludźmi, by otrzymać to, czego chciała; nieważne, czy chodziło o dodatkowe punkty na bazar, czy dodatkowe dostawy prądu do ich mieszkania. Glass miała gęsią skórkę na wspomnienie śmiałych spojrzeń, które jej matka rzucała wicekanclerzowi Rhodesowi – i tych drapieżnych, które on rzucał jej.

Zadarła teraz głowę i przyjrzała się dyndającej na gałęzi śliwce. Tknęła ją opuszkiem palca.

„Opiekun". Po wszystkim, co usłyszała od Soren, to słowo nie brzmiało już ani w połowie tak złowróżbnie jak przedtem.

ROZDZIAŁ 16

WELLS

To był ich trzeci dzień w Głazie, a sesje ćwiczebne nie zelżały ani trochę. Za to tego ranka nie biegali wkoło po ścieżce pod murem; opiekunowie zarządzili wymarsz do lasu na coś, co nazwali „aktywnym treningiem".

Wells właśnie siedział wysoko na drzewie, zmrużonymi oczami wpatrując się w ciemny las. Silnie umięśniony opiekun spacerował poniżej z bronią w rękach.

Powiał wiatr i targnął drzewem. Wells przywarł do gałęzi, oddychając wolno, pomalutku, nie poruszając się ani na cal. Wyczekiwał. Opiekun podszedł bliżej, trzymając się ścieżki, którą Wells wydeptał w leśnym poszyciu; to była pułapka. Mężczyzna podchodził coraz bliżej, aż znalazł się niemal idealnie pod Wellsem. Trzy, dwa…

Chłopak skoczył, lądując na plecach tamtego; jedną ręką wydarł mu pistolet, drugą otoczył jego szyję i zaciskał, zaciskał… Mężczyzna wierzgał, ale Wells nie dał się zrzucić. Zgrzytał zębami, pot perlił mu czoło.

Łomot zbliżających się kroków sprawił, że musiał podnieść wzrok. Nadbiegali dwaj inni opiekunowie, i to szybko. Wells zmusił swoją ofiarę do obrotu w miejscu, rozluźnił uścisk na tyle, by przekręcić w dłoni broń i odwieść cyngiel, a potem wycelował ją w nowo przybyłych.

– Jeszcze krok i strzelam – warknął.

Za jego plecami trzasnęła gałązka. – Gdyby miał naboje, tobym już narobił w buty – odezwał się nazbyt znajomy głos.

Wells odrzucił pusty pistolet i odwrócił się do tyłu, uwalniając opiekuna i przepraszająco klepiąc go po plecach. Tamten złapał się za gardło, odkaszlnął, lecz w końcu pacnął Wellsa w łopatkę, mówiąc bezgłośnie: – Dobra robota.

– Chodźcie no tu wszyscy – huknął Dąb. – To koniec tej rundy.

Pozostali świeżo upieczeni opiekunowie powyłazili z kryjówek i wysypali się na polanę. Dąb odczekał, aż utworzą luźny krąg. Wtedy wskazał Wellsa, uśmiechając się przy tym krzywo.

– Niepotrzebnie rozpuściłeś gębę na końcu, swoją drogą – orzekł. – Miałeś broń. Broń przemawia najgłośniej. A milczący człowiek to człowiek groźny. Jeśli zaczniesz gadać, pomyślą, że im też wolno. Że mogą cię namówić, żebyś zmienił zdanie. Zamiast ich ostrzegać… – schylił się po porzucony pistolet, błyskawicznie obrócił go w ręku, odwiódł kurek i wycelował – …po prostu strzelaj.

Wycelował lufę w klatkę piersiową Wellsa i pociągnął za spust. Kliknęło miękko.

W komorze nie było kuli. Wells wypuścił powietrze.

– Ale poza tym nieźle, nieźle – burknął Dąb. – Wcale nie najgorzej. Czego nie mogę powiedzieć o reszcie tej bandy! – Obrzucił mężczyzn i chłopców zdegustowanym spojrzeniem spod oka. Dłużej zatrzymał wzrok na Kicie, chłopaku z osady Ziemian. – A ty potrafisz się nieźle skradać, chłopcze. Ty i ten drugi – skinął brodą na Wellsa – zaczynacie słuchać, co Ziemia do was mówi. A Ona odpowiada. Tylko tak dalej i dołączycie do nas, jeśli taka Ziemi wola.

– Jeśli taka Ziemi wola – powtórzyli chórem.

– A teraz ustawić się w szereg i biegiem marsz!

Wells puścił się naprzód, wiedząc, że Dąb dogoni go w ciągu chwili.

Odbiegając, Kit zerknął na Wellsa przez ramię i mrugnął dwa razy. To był ich umówiony sygnał, oznaczający, że wszystko idzie zgodnie z planem. Kit z Erikiem pogadali z resztą chłopców z obozu, którzy zostali pojmani. Wszyscy zgodzili się udawać, że podoba im się u opiekunów, żeby ich strażnicy zmniejszyli czujność. Następnym etapem miało być zaplanowanie idealnej pory do ucieczki. Wells nie był pewien, jak na sprawy zapatrują się pozostali rekruci; nie wiedział, czy są szczerymi wyznawcami, czy bezwolnymi więźniami, więc na razie on i jego przyjaciele nie rozmawiali z nikim obcym.

Teraz Wells odmrugnął – i Kit pobiegł w las. Za to przytruchtał Dąb.

– Biegając, depczesz Ziemię – warknął. To była rytualna wymiana zdań, przerabiali ją za każdym razem.

– Błagam Ją o przebaczenie – odparł Wells.

– Zjadasz żywność, która z Niej pochodzi.

– Dziękuję Jej za obfitość.

– Oddaj się Ziemi na służbę.

Żołądek Wellsa zacisnął się w supeł. Zaraz nadleci cios – ten sam co zwykle, gdy dochodzili do tej części scenariusza. Wciąż im powtarzano, że rekruci nie są gotowi, by oddać się na służbę Ziemi, że to zaszczyt jeszcze im niedostępny. Walka z tym nie miała sensu – szczególnie jeśli zależało im, by zdobyć zaufanie opiekunów.

– Oddaję się Ziemi na służbę – powiedział Wells i skulił się wewnętrznie, oczekując ciosu pięścią.

Tymczasem była cisza, która podziałała nań jak upadek z wysokości. Wells przekrzywił głowę, zaskoczony. Wypowiedział całe zdanie. Do końca. A Dąb tylko obok niego biegł i nie wyglądał, jakby zamierzał dać upust agresji.

Chłopak zerknął na jego twarz. Starszy mężczyzna nie patrzył na Wellsa; wpatrywał się w leśną ścieżkę wiodącą z powrotem do koszar. Usta wciąż miał zaciśnięte w surową linię, lecz w jego oczach czaił się cień uśmiechu. Wells robił postępy.

Gdy dobiegli na zewnętrzny dziedziniec Głazu, Wells zatrzymał się gwałtownie – tak jak go nauczono – i z rękami splecionymi z tyłu czekał dalszych rozkazów.

– Przerwa na lunch – warknął Dąb. – Za godzinę masz być z powrotem.

– Tak jest! – odparł Wells.

Instruktor odszedł w stronę pola; Wells spoglądał za nim, nie dowierzając temu, co

go spotkało. Po raz pierwszy od przybycia do fortecy zostawiono go samego. Nikt go nie zaprowadził na posiłek; nikt nad nim nie stał.

Czyżby to była nagroda za to, jak dobrze się dziś sprawił? Za to, że oddał się Ziemi na służbę?

Chłopak rozejrzał się chyłkiem i splunął w kurz drogi. Czuł się na siłach akurat na buntowniczy gest tego formatu. Coś mu szeptało, że planeta ma to gdzieś.

Potem postanowił spróbować swojego szczęścia wewnątrz i wszedł w mury Głazu z zamiarem pozwiedzania sobie fortecy.

Drogi były dziś pełne wozów. Zapewne powrócił właśnie kolejny oddział szturmowy, tym razem ten z południa. Przywiózł ze sobą ceramiczne naczynia i miski, tkane chodniki, zimowe jarzyny, peklowane mięsiwa i coś, co wyglądało jak bryły soli. Wells utrzymywał starannie wyćwiczony wyraz twarzy, lecz w jego wnętrzu wrzał gniew. Kogo opiekunowie obrabowali tym razem? Zniszczenie ich obozu im nie wystarczyło?

Poszedł dalej, zapuścił się głębiej w kompleks budynków, notując w pamięci wszystkie świeże informacje; wiedział, że ma niewiele czasu.

Z przestronnego wewnętrznego pomieszczenia buchnął obłok pary. Wetknął tam głowę i znalazł się w pralni; dziewczęta o rumianych policzkach ciskały odzież do wielkiego, stojącego na ogniu kotła, a potem ją mieszały; pot odznaczał się ciemno na plecach ich białych strojów. Przyglądał się uważnie, lecz żadna z twarzy nie była tą znajomą.

Jego ciekawość przyciągnął szmer ściszonych głosów dochodzący z końca korytarza. Drogę zablokowano tu płachtą białej materii zwisającej na linie od ściany do ściany. Słońce przeświecało przez tę prowizoryczną zasłonę; mógł za nią dostrzec kontury dwóch sylwetek ludzkich stykających się głowami.

Te dwie osoby odstąpiły właśnie o krok w tył; jedna z głów wyjrzała spomiędzy prześcieradeł. Wells dojrzał czarne włosy i czerwoną wstążkę, obejrzał się przez ramię i skoczył naprzód.

– Octavia! – powiedział, odsuwając prześcieradło. Przez moment oślepiło go ostre słońce.

Usłyszał świst głośno wciąganego powietrza, a potem do jego szyi przyciśnięto coś szpiczastego. Zabolało.

– Wells… o Boże, przepraszam. – Kanciasty przedmiot zniknął; Wells patrzył na zaskoczoną Octavię. Wzdrygnęła się przepraszająco, chowając w zanadrze kawałek jakiegoś starego żelastwa. – Myślałam, że to jeden z nich.

– A co gdybym był jednym z nich? – wyszeptał. – Złapaliby was i już.

– Mam to gdzieś. – Uniosła wojowniczo podbródek; przez moment wyglądała zupełnie jak Bellamy i Wells omal się nie roześmiał. Rozbawienie odpłynęło, gdy dojrzał furię w jej oczach. – Niech po mnie przyjdą. Mam potąd tych ich gierek. Udają takich oświeconych, a tak naprawdę są zepsuci do cna. – Octavia chwyciła rękę dziewczyny stojącej obok. Miała ciemne kręcone loki i wyglądała dziwnie znajomo. – Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził – zapewniła ją Octavia.

– O co chodzi? – Wells spoglądał po ich twarzach. – Co się stało?

– Jeden z tych tak zwanych opiekunów się na nią rzucił. Złapał ją i przycisnął do ziemi, gadając jakieś głupoty, jak to Ziemia chce, żeby byli razem. Na szczęście Anna kopnęła go w jaja i uciekła, bo jest wojowniczką. – Spojrzenie Octavii złagodniało, gdy patrzyła na tamtą. Pojawiła się w nim obawa.

– Brawo, Anno – rzekł Wells powoli, gapiąc się na nią. – Wydaje mi się, że cię skądś znam…

– Ona jest z „Waldena" – uśmiechnęła się Octavia.

Serce w Wellsie podskoczyło.

– Z „Waldena"? Pochodzisz z Kolonii?

Anna kiwnęła głową. Przez następne minuty słuchał jej niezwykłej opowieści o podróży na Ziemię, o tym, co się wydarzyło, gdy rozbił się lądownik.

– A co z całą resztą? – spytał nieco oszołomiony. – Z tymi, których nie porwali opiekunowie?

– Pewnie wciąż gdzieś tam są. Szukali was… mam nadzieję, że im się udało.

Octavia znów chwyciła Annę za rękę.

– Na pewno. A jeśli nie, to wyruszymy ich szukać i wszyscy razem zaczniemy od nowa. – Uśmiech rozjaśnił jej twarz. – Spodoba ci się w naszym obozie. Mamy tam strumień do pływania i jest taki królik, który każdego ranka przychodzi z wizytą. A wieczorami siedzimy przy ognisku i rozmawiamy, aż pora już iść spać…

Anna uniosła brew. – A gdzie ja będę spała?

– Jestem pewna, że coś ci zorganizujemy – odparła Octavia z błyskiem w oku, jakiego Wells nigdy wcześniej u niej nie widział.

– Nie mogę się doczekać – powiedziała Anna z nutą tęsknoty w głosie. Obróciła się do Wellsa. – Octavia mówi, że macie jakiś plan, który mógłby nam pomóc?

– Mamy zalążek planu. – Wells zerknął przez ramię, czy nikt nie podsłuchuje.

– Pierwszy krok planu to czekanie – nachmurzyła się Octavia. – A potem więcej czekania i jeszcze trochę czekania.

Nie zdążył zgromić jej spojrzeniem; zbliżały się czyjeś kroki. Odchrząknął więc.

– Pozwolono mi dzisiaj oddać się Ziemi na służbę – oświadczył donośnie.

– To wspaniale – dołączyła się Anna, śląc Octavii wymowne spojrzenie. – Mam nadzieję, że i my tego doczekamy.

Kobieta w szarym stroju przeszła mimo, obrzuciwszy ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Jeśli taka Ziemi wola – dodała Octavia, pobożnie spuszczając głowę.

Wszyscy obecni powtórzyli za nią, kobieta też – zanim poszła dalej.

– Pniecie się w górę – rzuciła Anna. – Ty i Glass.

– Glass? – Zesztywniał. – Jak to?

– Robi teraz za osobistą służącą najwyższej opiekunki – wyjaśniła Octavia, unosząc brwi. – Z sypialni kobiet trafiła prosto do wewnętrznych komnat. Mieszka w jednym skrzydle z Soren.

Serce Wellsa załomotało. – Którędy do pokojów Soren?

– Pokażę ci – powiedziała, odstawiając kosz z praniem.

Przeprowadziła go pod trzepoczącymi białymi płachtami, a potem wskazała

korytarz na lewo.

– Idź za kobietami w szarym, a trafisz do celu. Ale na twoim miejscu nie wałęsałabym się tam za długo, jeśli nie znajdziesz Glass od razu. Mnóstwo oczu patrzy.

– Dzięki – odrzekł; przechylił głowę i posłał dziewczynie psotne spojrzenie. – Czyli… coś jest na rzeczy między tobą a tą waldenitką, tak?

Zacisnęła wargi, ale nie potrafiła stłumić uśmiechu.

– O rety… – zaśmiał się lekko. – Mnóstwu chłopców u nas w obozie pękną serca. – Zastanowił się przez chwilę. – Mnóstwu dziewcząt też.

– Dobra, wyluzuj trochę, Jaha.

– Jasne. – Westchnął. – Pójdę już. Bądź ostrożna, dobrze? Zaopiekujcie się sobą nawzajem, póki nie znajdziemy sposobu, jak wrócić do domu.

– Tak zrobimy – odparła, patrząc, jak jej towarzyszka wraca do rozwieszania upranych płacht. W jej głosie pobrzmiewały determinacja oraz czułość.

„Dobrze nam idzie”, pomyślał Wells, odchodząc w pośpiechu. „Ja awansowałem, a Glass ma dostęp do wewnętrznego kręgu wroga. Wszystko się układa. Teraz muszę tylko…”

To była ona, Glass… szła wraz z Soren zewnętrzną drogą, ubrana w nowy biały strój; jasne czyste włosy spływały jej na ramiona. Słuchała przywódczyni z uniesioną pilnie głową. Na twarzy miała uśmiech. Z jakichś tajemniczych przyczyn wyglądała na całkiem spokojną.

Chłopak miał wrażenie, że ściany wokół rosną, ziemia zapada mu się pod nogami, a łoskot przechodzących stóp wzrasta do huku.

„Ona tylko udaje”, mówił sobie w duchu. „Postępuje zgodnie z planem”.

Spojrzała przed siebie i dostrzegła go. Zamrugał dwukrotnie, dając sygnał, a potem odwrócił się i odszedł. Niepewny, czemu radosna nadzieja, którą czuł chwilę temu, zmieniła się nagle w obawę.

ROZDZIAŁ 17

CLARKE

Gdy obudziła się wczesnym rankiem, Bellamy już niecierpliwie spacerował tam i z powrotem. Był tak podminowany i wyczerpany, że aż serce się w niej ściskało. Najbardziej na świecie chciałaby go objąć, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze – ale to nie był Bellamy, którego ukoiłyby jej słowa. Już dawno temu zrozumiała, co należy robić, gdy oczy błyskają mu dziko, a mięśnie drżą od skumulowanej energii.

Wpadli na coś z Felixem podczas wspólnego zwiadu, a teraz czekał, aż wszyscy się pobudzą, żeby im o tym opowiedzieć. Odczekał, aż Vale się wygramoli, trąc sennie powieki, a potem zabrał głos bez żadnych wstępów:

– Natrafiliśmy na tylne wejście do ich składu broni – powiedział. Oczy świeciły mu maniacko; Clarke aż zadrżała.

Felix stanął o kilka metrów za nim i skrzyżował ramiona.

– A ci ludzie nie mają o tym pojęcia – dodał. – Nie mamy wiele czasu, nim odkryją taką dużą dziurę w murze.

„Nie", pomyślała bezradnie. „Nie tak to powinno być". Tamtych było o wiele więcej. Broń nie będzie tu żadną pomocą. Powinni spróbować dyplomacji, zaoferować jakąś wymianę dóbr. Musiało istnieć coś, czego ci ludzie potrzebują, bo inaczej nie najechaliby ich obozu.

Clarke zerknęła na Paula, który był poważny jak rzadko. Zeszłej nocy, gdy Bellamy'ego z Felixem gdzieś wymiotło – on i Clarke przedyskutowali to z pozostałymi. Wiedziała, że poprze ją teraz.

– Ten mur wygląda na niezdobyty, ale tylko z daleka – ciągnął Bellamy; Clarke zauważyła, że drżą mu ręce. – Są w nim okna, a fundamenty popękały; możemy w nim rozmieścić materiały wybuchowe i zawalić im tę całą budę na głowy.

– A ty skąd to wiesz? – Paul próbował się uśmiechnąć zaciśniętymi wargami. – Czyżbyś w ciągu dwóch ostatnich dni został także inżynierem?

Clarke wstała odruchowo, by wesprzeć Bellamy'ego – lecz jego oczy znów zalśniły, a usta wykrzywił pewny siebie uśmieszek.

– Nie, ja inżynierem nie jestem – odparł spokojnie. – Ale on owszem. – Skinął na Luke'a, który ze zmarszczonymi brwiami siedział na kłodzie drzewa i słuchał.

– Jak myślisz, Luke? – zagadnął go Bellamy. – Czy to jest do zrobienia?

– Musiałbym sam zobaczyć – odrzekł zapytany, drapiąc się po kędzierzawej głowie. – Stwierdzić, jak właściwie rozłożymy te fajerwerki.

Bellamy skinął głową. – To miała być moja następna sugestia. Możemy

zaryzykować jeszcze jeden zwiad, na przykład dziś w nocy…

Clarke wstała.

– A potem wyczyścimy im zbrojownię i…

– I wysadzimy część budynku – dokończyła za niego. – Z naszymi przyjaciółmi w środku.

Bellamy zamilkł i spojrzał na nią.

Starała się nie zważać na wyraz jego twarzy – były tam ból i frustracja.

– To jest nierozsądne. To jest złe.

– Dziękuję! – huknął Paul, stając tuż za nią. – Tak siedzę tu i słucham, zastanawiając się, czy jestem jedyny, który…

Clarke przerwała mu w pół słowa, nie spuszczając wzroku z oczu Bellamy'ego. – Bel, najpierw musimy spróbować dyplomacji. Nie mamy pojęcia, gdzie dokładnie w tej… tej budowli czy fortecy, czy jak ją zwał, znajdują się nasi przyjaciele. Może się okazać, że właśnie tam, gdzie podłożymy bomby.

Bellamy zesztywniał.

– Pomyślałem już o tym – rzekł przez zaciśnięte zęby. – To są mury obronne, nie mieszkalne. Jeśli uda nam się je zburzyć, dostaniemy się do serca tego budynku bez narażania ich na ryzyko.

Clarke wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że mu się to nie spodoba, ale milczeć nie miała zamiaru.

– Dlaczego właściwie musimy atakować? – spytała, spoglądając na twarze pozostałych. – Nie powinniśmy raczej wykorzystać każdej możliwości, jaka jest nam dostępna?

Bellamy zaśmiał się krótko i gorzko.

– Chcesz rozmawiać z tymi potworami? Serio?

Clarke zamrugała, starając się nie zwracać uwagi na widoczne w jego twarzy potępienie.

– Rozmawialiśmy o tym wczoraj z Paulem. Uważamy, że istnieje możliwość, by podejść do sprawy pokojowo i taktycznie. Chodzi o to, by nasi bliscy wrócili cali do domu. Wysłuchamy żądań tych… tych najeźdźców.

– Morderców – syknął Bellamy.

– A potem wyjdziemy z własną propozycją i pozostaniemy otwarci na dialog tak długo, jak długo będzie istnieć nadzieja pokojowego rozwiązania. W międzyczasie będziemy mogli ułożyć jakiś plan B, który byłby nieco mniej… – odwróciła się od Bellamy'ego, przewidując jego reakcję – …pochopny. Rokujący większe szanse strategicznego powodzenia.

Nie musiała patrzeć; fala gniewu emanowała z niego niczym żar.

– A co, jeśli nasi przyjaciele zostaną tymczasem zabici? – zapytał, zmierzając ku niej. – Czy to ryzyko, na które jesteś gotowa?

– A ty? – Clarke podniosła głos, pięści jej się zacisnęły. Nie pozwoli, by zrobił z niej jakąś oschłą, nieczułą osobę tylko dlatego, że domagała się rozsądku. – Bo właśnie teraz je podejmujesz, Bel! Wielkie, nieodpowiedzialne, wariackie ryzyko.

– Wariackie – powtórzył. – Naprawdę będziesz teraz okładać mnie tym słowem?

– Wiecie, w czym tkwi wariactwo? – odezwał się Paul. – W ryzykowaniu życiem dla ludzi, którzy być może są już martwi.

Słowo, które padło, jakby wyssało z polany całe powietrze. Cooper się wzdrygnął, siedząca obok Jessa zbladła.

Paul uniósł ręce.

– Mówię tylko to, co każdy myśli! Musimy mieć tę możliwość na uwadze. Nie ma sensu stawiać własnego życia na szali, zanim nie upewnimy się, że jest kogo ratować.

– Oni żyją – powiedział Bellamy; jego głos przybrał niskie, złowróżbne tony. – Nie będę tu stał i patrzył, jak wy, tchórze, wymyślacie kolejne wymówki, by zostawić ich własnemu losowi.

Vale odchrząknęła głośno.

– On ma rację. Mamy bardzo ograniczone informacje. Potrzebujemy ich więcej, nim…

– Może ty potrzebujesz. – Bellamy odwrócił się i zaczął marsz w stronę fortecy. Machnął dłonią na Felixa. – Wiemy, gdzie jest ta zbrojownia. Sami sobie poradzimy.

– Nie! – krzyknęła Clarke, śpiesząc za nim. – Bellamy, nie możesz! To narazi całą ekspedycję… i również ich życie, przecież nie możesz tego nie rozumieć!

Odwrócił się; spojrzenie miał zimne jak lód.

– Rozumiem to, co widzę, a widzę bandę tchórzy, zbyt trzęsących portkami, by zrobić to, co zrobić obiecali. – Przesunął wzrokiem po twarzach wszystkich po kolei, a potem przygwoździł nim Clarke.

– A może „zbyt samolubnych” to lepsze określenie?

Chciała coś odpowiedzieć, ale nie mogła. W gardle ją dusiło, serce ją kłuło, krew wrzała.

Chłopak znów się odwrócił i skinął tym razem na Luke’a.

– A ty idziesz?

Luke dźwignął się ze swojej kłody, niepewny, co robić dalej. Zerknął na Clarke. Wyszeptała bezgłośne „proszę” i opadł z powrotem.

Bellamy parsknął.

– Nie ma sprawy. No to ja się zwijam.

– Nie – powiedział Paul. – Nigdzie nie pójdziesz, Bellamy.

– Nie jestem jednym z twoich strażników – wypalił tamten. – A poza tym chciałeś chyba powiedzieć: doradco Blake.

Frustracja wypełniła Clarke, bulgocząc jak piekielny wywar.

– Czy to o to w tym wszystkim chodzi, Bellamy? – zawołała. – Nie czujesz się dość szanowany? Naprawdę zaryzykujesz życie naszych przyjaciół, żeby coś udowodnić?

Chłopak zbielał na twarzy.

– Próbuję ich uratować – warknął. – Nie wiemy, co tam się w tej chwili dzieje… – Wskazał na mury fortecy. – Może ich tam torturują… Wellsa i Octavię, właśnie teraz. A wy zadowoleni siedzicie sobie pod liściem.

– Nie ty jeden martwisz się o bliskich – wypaliła Jessa, robiąc krok naprzód. – Wszystkim nam najbardziej na świecie zależy na sukcesie tej misji. Ale mamy tylko

jedną szansę i musimy ją wykorzystać najlepiej, jak się da.

– Ja ją wykorzystam – warknął przez zaciśnięte szczęki. – Tylko że jeśli posiedzimy tu dłużej, może się okazać, iż jest za późno. Zatem zróbmy tak: kto jest gotów iść na pomoc przyjaciołom, niech pójdzie ze mną.

– Nie – powiedział Paul. – Przykro mi, Bellamy, bo rozumiem, co tobą kieruje, ale to zły pomysł. Nigdzie się nie wybierasz.

– Jak, u diabła, zamierzasz mnie powstrzymać?

Paul wyciągnął z kieszeni coś błyszczącego; to była para kajdanek, z którymi Clarke zawarła swego czasu boleśnie bliską znajomość. Takich samych używano na statku. Takimi właśnie kazał skuć ich Rhodes przed wyprowadzeniem na rozstrzelanie.

– Co ty wyprawiasz? – spytała z łomoczącym sercem.

Paul zerknął na nią. – Poczyniłem przygotowania.

– Oddaj mi je – zażądała, wyciągając rękę. – Zachowujesz się idiotycznie.

Paul ze smutkiem pokręcił głową. – Znam dobrze twojego chłopaka, Clarke. Gdziekolwiek się pojawi, sprawia kłopoty. Byłem świadkiem, gdy strzelił do kanclerza. Ten młody człowiek to chodzący chaos, a ja nie zamierzam pozwolić, by znów przyczynił się do czyjejś śmierci.

– Ale w to go nie zakujesz! – Clarke stanęła między Paulem a Bellamym.

– Nie będzie takiej potrzeby – rzucił Bellamy, błyskając oczami. – Wynoszę się stąd. Chodź, Felix.

– Zła decyzja – oznajmił Paul głosem donośniejszym niż dotąd. Spojrzał naglące na Jessę, Coopera i Vale. – Pamiętacie, co się stało ostatnim razem, gdy posłuchaliście Bellamy'ego? Wasi ludzie go przygarnęli – i zapłacili za to życiem. Naprawdę pozwolicie, żeby zrobił z tą bronią, co mu się podoba, nim wyczerpiemy inne możliwości?

– Paul dobrze gada – burknął Cooper. – Powinniśmy czekać.

Ale Bellamy po prostu ruszył przed siebie.

Paul skinął na Coopera; dopadli go we dwóch i wykręcili mu ręce na plecy.

– Puśćcie mnie! – charczał chłopak, wijąc się wściekle.

– Zostawcie go! – krzyknęła Clarke, która już była przy nich. – Sprawiasz mu ból! – Złapała Paula za ramię, lecz ten odepchnął ją bez krzty wysiłku.

– To jakieś szaleństwo – orzekł Luke, rzucając się na pomoc Bellamy'emu, ale Vale zerwała się z miejsca i przygwoździła go do ziemi. Wciąż był osłabiony po urazie nogi i długim marszu. Nie miał siły z nią walczyć.

– Puszczajcie go, ale to już – powiedziała Clarke tonem, od którego Felix aż podskoczył.

Cooper przytrzymywał spiętego kajdankami chłopaka, a Paul odwrócił się do Clarke: – Wszystko w porządku, Clarke. Poczekamy po prostu, aż się uspokoi i zacznie myśleć rozsądniej. Wtedy go wypuścimy.

Clarke zwróciła się do Bellamy'ego, żeby mu uświadomić, że nie popiera tego aktu rebelii. Ale gdy ich oczy się spotkały, nie poznała człowieka, który przed nią siedział. Patrzył z taką wściekłością, że poczuła lęk. Nie. Nie mogli go puścić wolno

w takim stanie. Zabiłby się i pociągnął za sobą resztę, łącznie z Wellsem i Octavią. Trzeba było poczekać, aż oprzytomnieje, nawet jeśli oznaczało to zrobienie czegoś niewybaczalnego.

– Tak mi przykro. – Słowa paliły ją w gardło, odwróciła się, serce jej pękało ze wstydu.

Bellamy zapadł w kamienne milczenie, gdy tamci prowadzili go obok Clarke. Zamarła, czekając na oskarżenie w jego oczach – ale nawet na nią nie spojrzał.

Jakby nie mógł się do tego zmusić.

ROZDZIAŁ 18

BELLAMY

Godziny pełzły naprzód nieznośnie wolno. Bellamy siedział i milczał. W końcu zaszło słońce. Nie było ogniska ani latarń, więc jego oczy przyzwyczaiły się do zmroku. Patrzył, jak nocne ptaki kołują w poszukiwaniu zwierzyny. Patrzył, jak żuki grzebią w ziemi. A także na nieodległe ślady kół wozów, którymi najeźdźcy uwieźli jego rodzinę i bliskich.

Nigdy w życiu nie czuł się tak samotny.

Przypięli go do jednego ze sterczących z ziemi stalowych prętów. Bolały go od niego plecy. Tyle dobrego, że oddech wreszcie mu zwolnił, gdy przepłynęła pierwsza fala czystej paniki. Przestał się trząść i pocić; serce nie sprawiało już wrażenia, że zaraz eksploduje mu w piersi.

Ale nie czuł się dobrze. Nigdy więcej nie będzie czuł się dobrze.

Zmienił ułożenie, czując, jak kajdanki znów wrzynają mu się w przeguby. Bolało, ale nie bardziej niż wspomnienie Clarke stojącej w milczeniu, podczas gdy jej nowy kumpel Paul wlókł Bellamy'ego w ten zaciszny kącik.

Trzasnęła gałązka; cały zesztywniał. Wyczuł ją, nim ją zobaczył.

– Bellamy – usłyszał cichy głos Clarke. – Nic ci nie jest? Przyniosłam coś do jedzenia. – Dziewczyna postąpiła kilka niepewnych kroczków, jakby zbliżała się do rannego zwierzęcia. Kucnęła i spróbowała położyć mu dłoń na ramieniu.

Gdyby mógł, odskoczyłby. Tylko naprężył się w więzach, próbując uniknąć jej ręki. – Nie waż się mnie dotykać.

– Chciałam tylko zdjąć te kajdanki, żebyś mógł zjeść – odparła drżącym głosem. Cofnęła rękę i patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. – Przepraszam, że sprawy… tak dziś eskalowały.

– Eskalowały? – powtórzył, gotując się wewnętrznie. – Nie odezwałaś się ani słowem, gdy Paul odtrąbił zamach stanu. Ale to w porządku, rozumiem. Potrzebujesz go teraz bardziej niż mnie.

Zmarszczyła brwi. – O czym ty mówisz?

– Przeanalizujmy – odparł, pozorując zamyślenie. – Najpierw chodziłaś z synem kanclerza Kolonii, za co cię nie winię; zawsze warto sięgać jak najwyżej. Ale potem okazało się, że na Ziemi Wells jest niezbyt lubiany, czyż nie? – Skrzywił się paskudnie. – Ja także nie byłem zbyt lubiany, za to umiałem polować, no więc uznałaś zapewne, że to uczciwa transakcja. Przy mnie nie groziła ci śmierć z głodu. Przez jakiś czas w każdym razie; nie zamierzałaś przecież spędzić reszty życia u boku

jakiegoś waldeńskiego śmiecia. Aż tu nagle zjawia się Paul, pan były oficer z tym swoim śliskim czarem i całowaniem wszystkich w dupę. No więc uznałaś, że czas przesiąść się na lepszy model.

Clarke słuchała tego z otwartymi ustami; w jej wzroku osłupienie walczyło o pierwszeństwo z odrazą. Po długiej chwili ciszy oczy jej się zwęziły i powiedziała:

– Widzisz, właśnie dlatego nie chcemy, byś brał udział w jutrzejszych negocjacjach. Dajesz się ponieść nerwom, wymyślasz jakieś fantastyczne historie i sam w nie wierzysz. To niebezpieczne.

Bellamy parsknął. – Ach tak? To powiedz mi. Jaki jest twój wielki plan na jutro?

Zadarła brodę.

– Podejdę do bramy z białą flagą w ręku. Nie jesteśmy pewni, czy znają ten zwyczaj, ale spróbować warto. Zażądam spotkania z ich przywódcą w celu uzgodnienia warunków uwolnienia więźniów.

Jej słowa sprawiły, że gniew uleciał z niego w jednej chwili.

– Co? Nie, Clarke, nie możesz tego zrobić. Zastrzelą cię, nim zdążysz się odezwać.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– To jedyna możliwość. Nie mamy dość broni, by skutecznie zaatakować…

– Możemy wziąć ich broń. Mówiłem ci! – W jego głosie zabrzmiała desperacja. Cała uraza i furia gdzieś zniknęły, zastąpione przez zimny strach. Nie mógł jej na to pozwolić.

– A ja ci mówiłam, że nie możemy wysadzić części budynku. Przynajmniej póki się nie dowiemy, gdzie trzymają więźniów.

– Clarke, proszę cię… – Głos mu się załamał. – Nie rób tego. Po tym wszystkim… jeśli stracę jeszcze i ciebie…

Uniosła podbródek jeszcze wyżej, oczy jej płonęły.

– Kiedy wreszcie zrozumiesz? To, że kogoś kochamy, nie daje nam moralnego prawa, by postępować bezsensownie. Wszyscy się boimy. Wszyscy cierpimy. Ale musimy być racjonalni.

Jej przesadny spokój wzniecił w nim iskrę gniewu. Traktowała go jak pacjenta z oddziału psychiatrycznego na statku. Jakby był zbyt pogrążony w urojeniach, by zrozumieć, co się dzieje. Już stale będzie w nim widziała porywczego głupca, który zawsze wszystko spieprzy. Nie pozwoli, by sprawiła, że tak się będzie ze sobą czuł.

Wykrzywił usta w szyderczym uśmieszku.

– Clarke, kiedy próbujesz być racjonalna, ludzie umierają. Na przykład Lily. – Ledwie to powiedział, zdał sobie sprawę, że przekroczył granicę.

Wzdrygnęła się i gwałtownie wciągnęła powietrze, jakby zabrakło jej tchu.

– Mówisz poważnie? – spytała chrapliwym głosem.

Przed laty jej rodziców szantażem skłoniono, by przeprowadzali na dzieciach eksperymenty z promieniowaniem. W ten sposób rada usiłowała ustalić, czy Ziemia nadaje się do ponownego zasiedlenia. Jedną ze świnek doświadczalnych była pierwsza dziewczyna Bellamy'ego imieniem Lily. Clarke zrobiła, co w jej mocy, by ją ocalić, ale to nie było dość.

– Twierdzę tylko, że możesz nie być najwłaściwszą osobą do podejmowania decyzji związanych z życiem ludzkim.

Szarpnęła głową, wściekła i zraniona do żywego. Bellamy patrzył ze ściśniętym sercem, jak tłamsi w sobie te uczucia, aż jej twarz stała się zimna i daleka niczym twarz posągu.

– A ty jesteś tą właściwą? – parsknęła. – Kiedy ostatnio brałeś udział w sytuacji dotyczącej zakładników, postrzelono człowieka.

Gapił się na nią, nie mogąc uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która ruszyła z nim z obozu, by szukać Octavii, gdy ta zaginęła. Dziewczyna, która mu ufała, która go potrzebowała… kochała go.

– Lepiej… odejdź – powiedział. – Idź i rób, cokolwiek uważasz za słuszne. A ja zrobię tak samo.

– W porządku. – Okręciła się na pięcie i naprawdę odeszła. Bez słowa.

Na mały obóz opadła absolutna cisza. Bellamy’emu powieki zatrzepotały i opadły; przysiągłby, że czuje małą rączkę Octavii w swojej, jak wtedy, gdy ukrywali się w kabinie na statku; że znów obejmuje go Wells, jak w dniu, gdy po raz pierwszy nazwali się braćmi; że ciepłe ciało Clarke grzeje mu bok, podczas gdy oboje patrzą w gwiazdy.

Wszystkie te rzeczy miały być mu jutro odebrane. Jutro – gdy Clarke wprowadzi w życie swój samobójczy plan.

ROZDZIAŁ 19

GLASS

Wczorajszy dzień był jednym z tych dni pełnych wrażeń, który sprawia, że przez całą noc leży się bezczynnie, nie mogąc opaść pod powierzchnię snu, a ciało nie może znieść bezczynności. Umysł leżącej w ciemnej komnatce Glass przeskakiwał od wrażenia do wrażenia. Nie zapaść w głęboki sen.

Dzień ten zaczął się nieprzyjemnym przebudzeniem; wywleczono ją z kwater dziewcząt i obciążono obowiązkami osobistej pokojówki Soren. Za to zakończył bardzo miłą nutą: kolacją, na którą podano przepyszną pikantną potrawkę, spędzoną w towarzystwie Soren i jej doradczyń, w miłej atmosferze rozmów i śmiechu. Zwiedziła tego dnia niemal każdy zakątek Głazu. Towarzyszyła Soren szkicującej plany siewu pod zewnętrznymi murami. Przyczaiła się przelotnie w sortowni, gdzie kobiety dzieliły zdobyczne dobra na wartościowe i do przetopienia bądź wyrzucenia; spacerowała brzegiem rzeki, gdzie paru mężczyzn uczyło najmłodszych opiekunów, jak się łowi ryby. Zajrzała nawet do koszar; najwyższa opiekunka pragnęła pogratulować świeżym rekrutom owocnego treningu i złożyć im jak najlepsze życzenia.

Glass nie spotkała tam nikogo z przyjaciół i czuła z tego powodu coś jakby ulgę. Wcześniej mignął jej Wells przechodzący korytarzem; wpadła na jego widok w panikę, sama nie wiedząc czemu.

Czuła się całkiem dobrze. Była tu potrzebna – podczas całego dotychczasowego pobytu na Ziemi nie doświadczyła niczego podobnego. A być może nawet nigdy w życiu. Przez cały dzień podążała o krok za Soren, podając wodę, gdy przywódczyni chciało się pić, oraz szal, gdy zmarzła. Notowała różne rzeczy na skrawkach pergaminu, gdy Soren odkryła, że Glass jest piśmienna. Ale jej głównym zajęciem było patrzenie, słuchanie i uczenie się. Zachwycało ją to, iż Soren potrafiła być jednocześnie potężna i uwielbiana – przywódcy Kolonii nie dokonali tej sztuki. Zastanawiała się, jak to będzie, gdy któregoś dnia podobna rewerencja przypadnie właśnie jej.

Ale czy mogłoby się to stać, gdyby wróciła do obozu? Jaka czeka ją tam przyszłość? Jednak ilekroć jej myśli zabłądziły w tym kierunku, z pamięci wyłaniała się twarz Luke’a. Ciepły, zaspany uśmiech, który witał ją każdego dnia po obudzeniu. Zmarszczki wokół brązowych oczu, ilekroć pobudziła go do wesołości. Strach i rozpacz, gdy krzyczał: „Uciekaj!”.

Ale oto wstawał całkiem nowy dzień, a Glass leżała w łóżku w swojej komnatce

przylegającej do komnaty Soren. Fizycznie była wyczerpana, ale starała się nie spać, na wypadek gdyby nadeszły nowe rozkazy. W końcu Margot wspominała, że matka sypia o dziwnych porach. W każdej chwili może zawołać Glass. Trzeba, aby była…

Nadstawiła ucha; zza ściany dobiegł jakiś głos. Czyżby ją wzywano? Niebo za małym okienkiem wciąż było ciemne, lecz całkiem wyraźnie słyszała kilka przyciszonych głosów dochodzących z sąsiedniej komnaty. Wstała cichutko i przebrała się w białą sukienkę. Skoro Soren i jej doradczynie nie śpią, wkrótce ją zawołają.

Skończyła niemal splatać warkocz, gdy usłyszała swoje imię. Pospieszyła do drzwi oddzielających jej pokoik od pokoju matki, lecz, wiedziona instynktem, zawahała się i zamiast je otworzyć, stanęła i nasłuchiwała.

– Gdyby tylko nie odezwała się tamtego dnia… – To brzmiało jak głos Margot.

– Owszem, zostałaby wtedy wraz z resztą rekrutek. – To była Soren. Pozostałe głosy ścichły. – Dlatego została wybrana; poza tym czuję, że w naszych szeregach będzie bardziej użyteczna. Posiada odpowiednie uzdolnienia. Mam też wrażenie, że nie sparowałaby się najlepiej.

– Nie? – spytała Margot.

Glass wstrzymała oddech, zaparła się całym ciałem o kąt pokoiku, ucho przyłożyła do szpary w drzwiach. Dobrze się sparować? Co to miało znaczyć?

– Wyczuwam w niej przywiązanie, którego źródło leży gdzie indziej – odparła Soren kwaśno. – Jest zakochana i czepia się tego uczucia. Zamyka ją ono na mężczyzn, za to otwiera na Ziemię. Na nas. Dlatego z jej parowaniem będziemy musiały być bardzo ostrożne.

Dłoń Glass powędrowała do serca. Skąd Soren mogła wiedzieć takie rzeczy?

– W każdym razie, pomijając naszą nową przyjaciółkę, pozostawimy rangi bez zmian – oznajmiła Soren. Rozległ się szmer, jakby inne kobiety wstawały z siedzeń. – Jutro dokończymy parowanie, aby pierwsze ryty okazały się jak najbardziej owocne. Jeśli taka Ziemi wola.

– Jeśli taka Ziemi wola – rozległ się chór damskich głosów. Musiało tam być ich cztery albo pięć.

Nadal nie wezwały Glass do siebie. Prawdopodobnie to, co usłyszała, nie było przeznaczone dla jej uszu. W głowie jej się zakręciło, ale instynkt przejął kontrolę; wyplątała się z sukienki, włożyła z powrotem koszulę nocną, czym prędzej wpełzła pod koc i zacisnęła powieki. Usłyszała skrzypienie uchylanych drzwi i miły głos Dary: – Glass! Jesteś potrzebna.

Dziewczyna wstała umyślnie powoli, pozorując zaspanie.

– Przepraszam. Jak długo…?

Dara błysnęła ku niej wyrozumiałym uśmiechem.

– Przyzwyczaisz się do tego. Daj sobie parę minut. Gdy będziesz już gotowa, jesteśmy o tu, obok.

Tym razem Glass ubierała się bez pośpiechu. Wychodząc z komnatki, poprawiała spódnicę. Miała nadzieję, że jej rumieniec wygląda na objaw zaspania, nie paniki.

– Przepraszam, że nie zbudziłam się wcześniej – powiedziała, omiatając pokój

spojrzeniem. Było tu sześć kobiet w szarości, wszystkie skupione wokół Soren, która przysiadła na grubym wełnianym chodniku, wpatrzona w trzaskający ogień. – Ale już jestem gotowa.

Soren spojrzała nad jej ramieniem z miłym uśmiechem na twarzy. Poklepała puste miejsce obok. – Chodź, usiądź.

Glass posłusznie wcisnęła się tuż koło niej.

– Czy odpoczęłaś? – spytała najwyższa opiekunka.

Glass zmusiła się do uśmiechu. – Tak, dziękuję.

– Miło mi to słyszeć. Chcę ci oznajmić rozmaite ekscytujące wieści. Szykują się wydarzenia, w których, mam nadzieję, odegrasz pewną rolę. Przygotowujemy się do kolejnej ceremonii parowania – jednego z naszych najświętszych rytuałów.

Glass nie musiała udawać zainteresowania.

– Co to takiego?

– Cóż, najpierw muszę ci opowiedzieć nieco o historii naszego ludu.

Glass pokiwała głową.

– Dawniej opiekunowie mieli swoje schronienia na dalekim zachodzie, gdzie góry były wyższe, a przyroda dziksza nawet niż tutaj. – Głos opowiadającej nabrał melodyjności, jakby recytowała historię, którą znała na pamięć. Glass szybko poczuła się senna, jakby każde słowo otulało ja ciepłym kocem.

– Przez jakiś czas żyli pod Ziemią, podczas gdy Ona leczyła swe rany, ale nie było tam dość zapasów, by mogli długo przetrwać. Wyszli na powierzchnię zbyt wcześnie. – Mówiąca spoważniała, wykrzywiła współczująco wargi. – Powietrze było trujące, woda zanieczyszczona. Po kilku dniach przekonali się, że sytuacja jest naprawdę poważna. Musieli natychmiast wrócić w kojące ramiona Ziemi. Ale gdzie i jak? Zaczęli już rozpaczać, gdy sama Ziemia zesłała im wizję… promień światła wskazujący na wschód. Odnaleźli go zaledwie parę godzin później.

– Co odnaleźli? – spytała Glass ciekawie.

– Dar Ziemi – odparła Soren, uśmiechając się do niej. – Wejście do innego schronu. Atmosfera, która przyprawiła ich o chorobę, jednocześnie sprawiła, że skorodował zamek. Otworzyli go łatwo i znaleźli zapasy, wodę i wszystko, czego im było trzeba na następne pięćdziesiąt lat.

Glass rozważała, czy warto, ale nie mogła się powstrzymać przed zapytaniem:

– Czy w tym schronie byli ludzie?

Soren poważnie skinęła głową.

– Byli. Niektórych urzekła opowieść opiekunów o cudownie odnalezionym wybawieniu; tych wcielono w szeregi jako wiernych służących. Inni byli źli, że opiekunowie wkraczają na ich teren. Chcieli ich wygnać na pewną śmierć. Takich ludzi… należało poskromić.

W głos kobiety wkradła się subtelna nuta żalu, gdy relacjonowała wypadki sprzed wielu pokoleń. Zupełnie, jakby to ona podjęła tamtą decyzję. Musiała odczuwać ciężar swojej roli, którą było przekazanie opowieści – ciężar, który przywódcy opiekunów dźwigali od tak dawna.

– Gdy nasi dołączyli do mieszkańców schronu, zapanował w nim pokój

i równowaga. Żadnych podziałów. Żadnego ubóstwa. I tak mają się sprawy od tamtego czasu… pośród wiernych. Społeczeństwa starego świata były podzielone według sztucznych, nieistotnych kryteriów. My przeciw nim. Mój kolor skóry przeciw twojemu kolorowi. Moja rodzina przeciw twojej. – Machnęła dłonią; oczy jej błyszczały. – Pozbyliśmy się takich pojęć. Nie ma żadnych rodzin oprócz jednej, naszej. Jako opiekunki jesteśmy matkami dla wszystkich dzieci na Ziemi. Za każdym razem, gdy Ona wskazuje nam nowy dom, odbywamy ceremonię parowania i oficjalnie witamy najnowszych uczestników naszego zgromadzenia jako opiekunów.

– Ja… chyba zrozumiałam… – wyjąkała Glass mimo przygnębiającego poczucia, że Soren coś przed nią ukrywa. Opowiedziała dziewczynie dzieje opiekunów, ale jakoś przemknęła się po kwestii, czym konkretnie jest ta ceremonia.

Soren odwróciła się do innych kobiet; unosiły brwi, jakby były pod wrażeniem. – Widzicie, to właśnie rozumiem przez uzdolnienia. – Pochyliła się nad swoją nową pokojówką i uścisnęła jej dłoń.

– Glass, sądzę, że odegrasz w tej społeczności bardzo ważną rolę. Cieszę się, że podczas ceremonii będziemy cię mogły oficjalnie powitać. Tego byś chciała, prawda?

Glass potaknęła grzecznie. W głowie jej wirowało. Czymkolwiek było to, o czym Soren nie chciała jej powiedzieć – miała przeczucie, że chodzi o coś bardzo złego. Musiała jak najszybciej ostrzec Octavię, Annę i innych. Znaleźć Wellsa i powiedzieć mu, że czas nadszedł. Znajdzie stąd drogę wyjścia, nieważne, jakim kosztem.

ROZDZIAŁ 20

WELLS

Był wczesny ranek. Wells stał wraz z resztą więźniów w długim szeregu. Opiekunowie kursowali tam i z powrotem, a on trwał w przepisowej postawie na baczność, z brodą dumnie uniesioną, z tępym uśmiechem na twarzy, jak cała reszta.

Eric, Graham i Kit nadal brali udział w maskaradzie, rzecz jasna. Siedmiu rekrutów z obozu także. Ale z tego, co się orientował, pozostałą dwunastkę stanowili szczerzy konwertyci. Pochodzili z Ziemi, choć nie z osady Maxa ani z tej frakcji, która się od niej odcięła. Kręciło mu się w głowie na myśl o tym, ile jeszcze może istnieć ukrytych społeczności… ludzi, którzy znaleźli odmienne sposoby na przetrwanie kataklizmu. Kiedy już to wszystko się skończy, wyruszy na wyprawę poszukiwawczą.

Dąb postąpił naprzód, gotów mówić. Hierarchia wśród opiekunów wydawała się dość umowna, lecz Wells wyczuł, że istnieje jakiś porządek dziobania, a Dąb znajdował się blisko samego szczytu.

– A dzisiaj coś z zupełnie innej beczki! – huknął na rekrutów. – Niektórzy z was wkrótce opuszczą Głaz i ruszą w świat czynić wolę Ziemi.

Odwrócił się na moment i wziął coś z rąk innego opiekuna. Nagle stanął tuż przed Wellsem, trzymając strzelbę. W oczach miał dziwny blask. Chłopak wiedział, że broń jest nabita, nim jeszcze wziął ją do ręki.

Za pierwszym dotknięciem chłodnego metalu serce zaczęło się w nim tłuc. Przysiągłby, że wszyscy dookoła mogą to usłyszeć. Kiwnął głową i stał z bronią przytkniętą do piersi, tak jak go wytresowali. Dąb szedł dalej wzdłuż szeregu, rozdając rekrutom to, czego potrzebowali w związku z dzisiejszą misją.

Opiekun zatrzymał się trzy osoby dalej, przy Grahamie; zmrużył oczy i podał mu broń. Graham skinął szybko i mężczyzna odszedł. Wskazując tych, którym strzelby nie przysługiwały – w ich liczbie byli Eric oraz Kit – oznajmił:

– Reszta zostanie ze mną i weźmie udział w rozszerzonej sesji treningowej. Życzcie swoim braciom powodzenia na misji.

Podczas gdy chór głosów mamrotał: – Niech szczęście was nie opuszcza… jeśli taka Ziemi wola – do Wellsa partiami docierało, w jakiej sytuacji mianowicie się znalazł.

Wychodził na misję.

Wychodził… opuszczał mury Głazu.

Miał w ręku naładowaną broń.

Odwrócił się do Grahama; tamtego najwyraźniej właśnie naszła ta sama refleksja. Kropla potu spłynęła mu po czole, choć ranek był chłodny.

Palec Grahama gmerał przy spuście; jego oczy szukały Wellsa, spoglądały na niego błagalnie. Wells pokręcił głową (to nie był odpowiedni moment, skoro przyjaciele zostawali w obozie), lecz nim zdążył bezgłośnie wymówić „nie dziś", pojawił się inny opiekun, o dziwnych błękitnych oczach, i zaczął wydawać rozkazy.

– Przewodzę dzisiejszej ekspedycji – oznajmił, krzyżując ramiona na piersi. – To będzie bardzo łatwe. Wchodzimy, wychodzimy. Nie przewiduje się żadnych komplikacji. Jedziemy na miejsce farmy, którą odkryliśmy nieopodal, aby wzbogacić nasze zapasy na zimę. Godzina jazdy w tamtą stronę, godzina na załatwienie sprawy, godzina na powrót. Są pytania?

„Miejsce farmy". Wells wciąż nie mógł się uporać z myślą, że na Ziemi żyją jeszcze jacyś inni ludzie, i to tak blisko jego własnego obozu. Ludzie, którzy posiadali farmy. Wiedział, że powinien lepiej siedzieć cicho, ale miał pytanie. Ważne pytanie. Podniósł rękę.

Niebieskooki opiekun skinął na niego.

– Tak?

– Skąd ta pewność, że nie będzie komplikacji?

– Pewności nigdy mieć nie można. – Mężczyzna zamrugał. – Ale farma obecnie pozostaje niezamieszkana. Nie będzie tam nikogo, kto by się nam przeciwstawił.

„Skąd oni to wiedzą?", pomyślał Wells, ale to pytanie zostawił dla siebie. Zarzucili broń na ramię i wsiedli do nowiutkich drewnianych wozów. Tym razem siedzieli na ławeczkach dla opiekunów, zamiast tłoczyć się w więzach na podłodze. „Pewnie wysłali zwiad na tę farmę", uświadomił sobie Wells, gdy usiadł. „Tak samo, jak szpiegowali nas przed atakiem".

Ale skoro tak się miały sprawy, to czemu opiekunowie po prostu nie opustoszyli obozu z wszystkiego, co cenne? Coś w tej misji było naprawdę podejrzanego.

Wozy toczyły się po udeptanej drodze przecinającej pokryty ruinami krajobraz; Wells wyglądał przez okna, starając się orientować w terenie. Poranne słońce miał za plecami. Czyli zmierzali na północ.

„Dobrze", pomyślał, zerkając nerwowo na Grahama. Gdyby jechali z powrotem na zachód zamiast na nieznane jeszcze terytoria – tamten mógłby ulec pokusie i zbiec. „Cholera, sam mógłbym jej ulec".

Lecz to by oznaczało porzucenie Erica i Kita, Glass, Octavii i całej reszty. Naraziłoby wszystkich na szeroko zakrojone działania odwetowe, a niczego by nie rozwiązało.

Podróż trwała znacznie krócej niż zapowiedzianą godzinę. Wóz wtoczył się do doliny i zatrzymał.

Wells poczuł ten zapach, gdy tylko wyszedł na rześkie jesienne powietrze: spalone drewno… i coś dużo gorszego. Odwrócił się twarzą do celu ich podróży – i zmartwiał.

To dlatego nazywali je „miejscem farmy" zamiast po prostu farmą. Nie chodziło o ich dziwaczną opiekuńczą terminologię, tylko o fakty. Kiedyś stała tu jakaś farma. Teraz zastąpiła ją spalona ziemia. W samym centrum czarnego kręgu widniały

zwęglone resztki czegoś, co musiało być kiedyś budynkiem mieszkalnym.

Wells tkwił w miejscu, a w środku wzbierało mu obrzydzenie. W jednym miejscu grunt był mocno poruszony, luźny i sypki; tworzył rozległy, nieregularny kopczyk. Nie musiał pytać, by wiedzieć, co zawiera. Odpowiedzią była krew, wciąż plamiąca źdźbła traw dookoła. Zbiorowy grób.

Wiedzieli, że nikogo tu nie będzie, ponieważ sami o to zadbali.

– Musieliśmy poczekać, aż ogień zagaśnie – wyjaśnił opiekun; jego osobliwie spokojny, śpiewny głos przyprawił Wellsa o ciarki. – W samym środku tego (wskazał na spopielone szczątki budynku) jest piwnica, zapewne dobrze wyposażona. Weź wszystko, czego nie zniszczył ogień, i ładuj na wóz.

Słowa „tak jest” jakoś nie mogły przejść chłopakowi przez gardło, ale ten opiekun na szczęście ich nie wymagał. Odwrócił się plecami i zaczął wydawać polecenia pozostałym.

Im bardziej Wells zbliżał się do zagrody, tym mocniej się trząsł. Przeszło mu przez myśl, że może to jest zasadniczy test. Czy przyprowadzono ich tutaj, by przypomnieć, co stało się z ich własnymi domami? Czyżby tak teraz wyglądało miejsce, w którym żył? Spustoszone, wymarłe, z mieszkańcami pogrzebanymi w płytkiej mogile z ziemi?

Graham szedł z nim noga w nogę i zaciskał szczęki. Posłał Wellsowi mroczne spojrzenie. Wells nie był w stanie skinąć głową ani nią pokręcić. Cały jakby zesztywniał.

Maszerowali razem, ściskając w garści strzelby, aż dotarli do centrum byłej zagrody; zostały z niej tylko kruszące się fundamenty i przepalone na wylot belki. Dwaj opiekunowie obserwowali ich z wozu. Żaden nie zamrugał.

Inny z rekrutów zbliżył się nerwowo, a potem krzyknął, gdy jego noga, przebiwszy przepaloną podłogę, uwięzła w niej na dobre. Wells podbiegł w milczeniu i wyciągnął chłopca z potrzasku, a potem poklepawszy pechowca po łopatce, spojrzał mu w oczy. To był jeden z rekrutów, którzy mieli od niego dłuższy staż w twierdzy; nie znał ani jego imienia, ani pochodzenia, ani zapatrywań na to, co tu się działo; widział tylko, że tamten jest przerażony.

– Dzięki, stary – wyjąkał chłopiec, obejmując broń spoconymi dłońmi. Wells skinął mu głową i odstąpił na bok.

– To tu – zawołał Graham, wskazując lufą strzelby.

Wells podszedł bliżej. W podłodze widniała zardzewiała żelazna krata; gdy ją podnieśli, ujrzeli betonowe schody. Były nienaruszone.

– Miejmy to już za sobą – powiedział pod nosem i zaczął schodzić w dół.

Mętne, padające z góry światło liznęło szeregi prowizorycznych regałów zastawionych puszkami bez podpisów. Z sufitu zwisały siatki maskujące, ciężkie od ziemniaków, rzepy i innych warzyw. Słona woń z odległego kąta pozwalała się domyślać, że są też marynowane mięsiwa i ryby w zalewie na zimę.

Wells podszedł do pełnych półek, gotów pakować je i jak najszybciej się stąd wynosić, ale nadepnął na coś miękkiego. Schylił się po to, lecz Graham był szybszy.

Stali i patrzyli w ciszy gęstej jak kisiel. To była maskotka – miś o wyliniałym

futerku i mordce wyszytej w niechętny wyraz.

Mieszkało tu dziecko.

Graham spojrzał na Wellsa z wściekłością w oczach. Upuścił misia, odwrócił się i pognał schodami w górę, w biegu ściągając strzelbę z ramienia.

Kliknięcie bezpiecznika postawiło Wellsa do pionu. Spazmatycznie zaczerpnął powietrza i pognał za kolegą.

– Stój! Nie rób tego! – krzyknął, ale już było za późno.

Graham wybiegał z budynku, rycząc gardłowo, bez słów; ten zwierzęcy ryk odbił się echem w dolinie. Padł strzał – odrzut broni zmiótł chłopaka z kursu. Patrząc, jak dwaj opiekunowie osłaniają rękami łyse głowy, Wells sięgnął po własną strzelbę, gorączkowo zastanawiając się, jak jej użyć. Jeśli Graham trafi jednego z nich, on mógłby załatwić drugiego…

Graham znowu strzelił. Kula odbiła się rykoszetem od ściany wozu. Wells widział też, gdzie uderzyła ta poprzednia; chłopak chybił oba razy. Opiekunowie zerwali się na nogi; jeden pobiegł zakosami, odwracając uwagę Grahama, a drugi najpierw go okrążył, potem doskoczył z tyłu, rzucił go na ziemię, bez trudu rozbroił i wbił mu coś w szyję.

„Środek uspokajający”, uświadomił sobie Wells. „Tak właśnie nas wtedy załatwili”. Strzelba bezużytecznie zwisła mu w rękach.

– Wnieś go do wozu – polecił niebieskooki opiekun swemu towarzyszowi; jego głos jak zwykle nie zdradzał żadnej emocji. Mężczyzna lufą wskazał na Wellsa. – A wy rzućcie broń. Wszyscy.

Wells posłuchał; popatrzył, jak strzelba ląduje w pyle drogi, zrobił chwiejny krok w tył i podniósł ręce do góry. Kątem oka dostrzegł, że pozostali dwaj więźniowie robią to samo.

– Dobrze – powiedział opiekun, patrząc przez nich, jakby byli przezroczyści. – A teraz skończcie robotę i wynosimy się stąd.

Wells zagapił się na niego, zaskoczony, zamrugał nerwowo i pobiegł do piwnicy, jak mu kazano. Tamci zachowywali się, jakby nie miało miejsca nic nadzwyczajnego. Może takie rzeczy zdarzały się regularnie. Może przewidzieli, że jeden z nowych pęknie.

Wells zacisnął zęby tak mocno, że rozbolała go szczęka, i zajął się ładowaniem żywności na wóz. Potem wraz z pozostałymi wszedł do środka i przysiadł na tej części ławeczki, którą nadzorcy im pozostawili.

Graham leżał rozciągnięty na podłodze. Był nieprzytomny. Jeden z nadzorców położył stopy na jego bezwładnym ramieniu jak na podnóżku. Siedział tak przez całą drogę z powrotem do Głazu.

W końcu zajechali na kamienny dziedziniec. Niebieskooki położył dłoń na ramieniu Wellsa.

– Zawlecz swojego przyjaciela na barłóg.

– On nie jest moim przyjacielem – odparł Wells. – I chętnie to zrobię.

Te słowa miały posmak trucizny, lecz nadzorca uśmiechnął się zadowolony. Wells wziął haust powietrza, zajrzał do wozu i uniósł Grahama w ramionach.

– Czy kazałem ci go nieść? – spytał opiekun chłodno. – Co? Przysiągłbym, że użyłem słowa „zawlec”. – Wolno okrążył Wellsa i dźgnął go lufą broni między łopatki.

Chłopak poczuł, jak jego puls szaleje, gnany wściekłością; lecz strach był jeszcze silniejszy. Jeden mały ruch palcem na tym spuście, a nie będzie już w stanie pomóc Grahamowi, Octavii ani Glass. Ani nikomu innemu.

– Tak jest – powiedział więc. Ostrożnie położył nieprzytomnego na ziemi i zaczął go ciągnąć. Broń opiekuna bodła go boleśnie i zaganiała krok po kroku do wnętrza fortecy.

„Już wkrótce”, myślał przy tym. Dość czajenia się, czekania na idealny moment, na informacje potrzebne, by rzucić tych ludzi na kolana. Wyniosą się stąd. „Przy pierwszej możliwej okazji”.

Jeśli jakaś okazja jeszcze nastąpi.

Wells rzucił otwartemu niebu ostatnie tęskne spojrzenie, nim ponownie zamknęły się za nimi olbrzymie mury twierdzy.

ROZDZIAŁ 21

CLARKE

To, co zamierzała zrobić, nie wymagało wielkich przygotowań. Jasne, że nie weźmie ze sobą broni. Ani niczego na wymianę. Może jakiś prezent na znak, że ma dobre zamiary? Przywołała z pamięci obraz mężczyzn w bieli – ich pozbawione wyrazu twarze, to, jak metodycznie przetrząsali obóz, nie zwracając żadnej uwagi na krzyk i płacz tych, których poraniła eksplozja.

Nie, takich ludzi nie da się zmiękczyć podarkami. Szanowali tylko siłę. I odwagę.

Clarke spacerowała tam i z powrotem, nerwowo przesuwając dłonią po szorstkiej korze mijanych drzew. Starała się sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy stanie pod olbrzymim betonowym murem, śmiało unosząc głowę. Powinna prezentować się jako ktoś im równy, nie jak ofiara. Być może zobaczy ją uwięziony w twierdzy Wells; chciałaby, by mógł być z niej dumny. A może – tylko może – posłuchają jej i uwolnią więźniów? Oczyma duszy widziała już wyraz twarzy Bellamy'ego, gdy wróci do niego z Octavią. Kamienny bezruch ustąpiłby miejsca radości i uldze. Uścisnąłby siostrę, a potem spojrzał na Clarke. Z wdzięcznością.

Trzasnęła gałązka – Clarke okręciła się na pięcie i ujrzała idącego ku niej Paula.

– Jestem gotowa – oznajmiła, prostując plecy. – Myślę, że powinnam już ruszać.

– Zmiana planów – odparł Paul tak pogodnie, jakby obiektem dyskusji była kąpiel w strumyku, nie zaś potencjalnie niebezpieczna ekspedycja ratunkowa. – Zamiast ciebie idzie Cooper, a Vale będzie go obserwować, w razie gdyby coś poszło nie tak. Wróci do nas, jak tylko Cooper trafi bezpiecznie na drugą stronę murów. Ziemianin będzie lepszym negocjatorem; Cooper na pewno łatwiej znajdzie z nimi wspólny język, no i odpadnie nam problem możliwej wrogości w stosunku do ludzi, którzy spadli z nieba.

– Co? Zmiana planów? Kiedy o tym zadecydowaliście? – Clarke zadarła podbródek, spodziewając się, że zobaczy rozchodzących się członków właśnie zakończonej dyskusji.

– Ja sam zadecydowałem – odparł Paul. Położył jej dłoń na ramieniu i spojrzał prosto w oczy. – Nie chcę, żebyś uznała, że w ciebie nie wierzę, bo tak nie jest. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię tu wszyscy doceniamy.

Zagubienie Clarke przeszło w złość. Strzepnęła jego rękę i odstąpiła o krok.

– Ty zadecydowałeś? Paul, nikt nie mianował cię szefem.

Zaśmiał się i potrząsnął głową.

– Dowództwa się nie mianuje, Clarke. Na nie się zasługuje. To dar od tych, którzy

decydują się na tobie polegać. Myślę, że jasno widzimy, kto z nas cieszy się tu największym zaufaniem. Cooper, Vale, Felix i Jessa – wszyscy oni liczą, że doprowadzę to przedsięwzięcie do szczęśliwego zakończenia. A zatem pozwoliłem sobie wprowadzić pewne zmiany. Poza tym potrzebujemy cię tutaj na wypadek, gdyby ktoś został ranny.

Clarke patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, próbując dociec, co ukrywa ten szeroki uśmiech.

– No dobrze… – powiedziała w końcu wolno, starając się zachować spokój, podczas gdy oceniała sytuację. – Poczekam tutaj. Ale pójdę życzyć Cooperowi i Vale powodzenia, zanim ruszą w drogę.

– Już ruszyli! Teraz możemy tylko mieć nadzieję.

Następne godziny przepełniało napięcie. Stróżowali na zmianę. Gdy wypadła kolej na Felixa, Clarke przyniosła mu garść jagód znalezionych w lesie.

– Dzięki – powiedział, uśmiechając się blado – ale nie dam teraz rady nic przełknąć.

– To dziwne uczucie, nie? – powiedziała. – Wiedzieć, jak blisko jesteśmy. Ciekawe, czy wyczuwają naszą obecność.

– Mam nadzieję – odparł, przygryzając wargę. – Nie mogę znieść myśli o tym, że on się boi albo cierpi, albo… – Odwrócił głowę.

– Nigdy dotąd nie widziałam Erica przestraszonego – zapewniła Clarke. – Na pewno jest silny i odważny, tak jak zawsze.

Gdy Felix znów na nią spojrzał, w jego oczach lśniły łzy.

– Na pewno. – Otarł je wierzchem dłoni. – Po prostu mam nadzieję, że on wie, iż nie zostawiliśmy go na pastwę losu.

– Oczywiście, że wie – odrzekła, rzucając spojrzenie na Bellamy'ego, wciąż przykutego do sterty pordzewiałego żelastwa. – Nikogo nie zostawiamy.

Wstała i zaczęła okrążać obozik rozległym kręgiem. Zamierzała tylko zerknąć, jak się ma Bellamy… zerknąć dość porządne, by się upewnić, że nic mu nie jest, za to na tyle krótko, by serce jej się nie wydarło z piersi. Czuła przeszywający ból za każdym razem, gdy o nim myślała.

Spodziewała się, że śpi bądź wpatruje się martwym wzrokiem w czubki drzew. Tak się sprawy miały godzinę temu, gdy Jessa pilnowała go, zachowując dystans. Teraz kucała tuż przy chłopcu, dość blisko, by móc go dotknąć. Ich głowy niemal się stykały. Rozmawiali ściszonymi głosami.

Clarke stanęła jak wryta i zachwiała się nieco. To było głupstwo. To nic nie znaczyło. A jednak ta osobliwie intymna scena sprawiła, że poczuła ścisk w żołądku; było jej przykro, czuła się zdradzona. A nie miała przecież prawa tak się czuć po tym, co zrobiła Bellamy'emu.

Jessa zerknęła przez ramię, więc Clarke starannie nadała twarzy bardziej obojętny wyraz. Nie musiała się tak starać; Bellamy natychmiast odwrócił głowę w przeciwną stronę, a Jessa wstała i podeszła, stawiając długie, energiczne kroki.

– Czy Vale już wróciła? – spytała szorstko.

Clarke przełknęła ślinę; w końcu udało jej się odezwać:

– Jeszcze nie. Wróci wkrótce. Taką mam nadzieję.

– A jeśli nie wróci wcale? Jeżeli żadne z nich nie wróci, to co wtedy? – Jessa podniosła głos. Bellamy wyraźnie podsłuchiwał. A zatem pewnie o tym rozmawiali. – Czy zrealizujemy wtedy plan Bellamy'ego?

– Nie… nie jestem pewna. – Clarke niezręcznie przestąpiła z nogi na nogę, czując, jak czerwienieje.

– Bo ja na przykład mam już potąd tego siedzenia i nicnierobienia. – Jessa wskazała na wschód. – Mój brat jest w tym budynku. Może żywy, może martwy. Nie wiem tego. Za to wiem, że im dłużej tu siedzimy, tym mniejsze ma szanse.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzekła Clarke cichym głosem.

– Czyżby? – Jessa wpiła w nią parę swoich ciemnych oczu. – To jaki jest plan B? Co robimy dziś, teraz, jeżeli negocjacje skończą się fiaskiem?

Bellamy odwrócił się i zmierzył Clarke spojrzeniem – twarz miał przy tym tak obojętną, jakby była tylko jeszcze jednym drzewem.

– Wróciła! – Głos Paula rozbrzmiał echem po lesie; jak zwykle wołał o wiele za głośno. Spłoszył ptaki z gałęzi. Ale teraz Clarke była skłonna mu wybaczyć.

Ponieważ głos Paula brzmiał radośnie.

Tętno szalało, pobudzone nadzieją, gdy pognała z powrotem do obozu, a Jessa tuż za nią. Nie pobiegły daleko – Vale z Paulem przecięli im drogę. Ten ostatni ciągnął dyszącą kobietę za łokieć.

– Powiedz im! – zażądał, podekscytowany.

– Cooper… zrobił jak… zaplanowaliśmy – wydyszała, przywołując na twarz słaby uśmiech. – Podszedł do bramy. Wtedy oni wyszli… mieli broń…

Clarke czekała, aż tamta złapie oddech, starając się być cierpliwa.

– Ale jak zobaczyli, że nie jest uzbrojony… to opuścili lufy – ciągnęła Vale.

Clarke odetchnęła głęboko.

Kobieta zerknęła na Paula. – Nie byłam dość blisko, by usłyszeć, co mówią, ale wysłuchali go i otworzyli bramę, a potem wprowadzili go do środka. Bez kajdanek, bez przemocy. Na razie wszystko idzie dobrze. Teraz musimy po prostu poczekać na odpowiedź.

Całe ciało Clarke się rozluźniło, ulga spłynęła na nią wodospadem. Nabrała powietrza, by dziękować Vale – gdy znienacka Paul doskoczył do niej i uścisnął Clarke tak mocno, że poczuła, jak jej stopy odrywają się od podłoża.

– Udało się – wyszeptał jej do ucha, a potem pocałował w policzek. – Wydostaniemy ich stamtąd.

Odwrócił się, by klepnąć Vale w ramię i poprowadzić ją do środka obozu; Clarke wytarła policzek do sucha, walcząc z dreszczem, który częściowo sprowadziło zdenerwowanie, a w części – coś innego.

„Po prostu taki jest, łatwo się entuzjazmuje", powiedziała sobie. „Poniosło go".

Nagle poczuła czyjś wzrok wpijający jej się w plecy; odwróciła się do Bellamy'ego. Chłopak mierzył ją nieprzeniknionym spojrzeniem.

Znów poczuła ten ból przenikający żebra. Ostry, bezlitosny. To uczucie ją

zniszczy, jeśli mu na to pozwoli.

Nie miała takiego zamiaru.

Zamrugała obojętnie, uniosła podbródek i odeszła.

ROZDZIAŁ 22

BELLAMY

Całe ciało miał niczym pełne kolczastych szklanych odłamków. Ramiona go bolały, nadgarstki miał starte do żywego mięsa, kręgosłup wykrzywiony cudacznie z powodu żelaznego pręta, do którego go przywiązano. Ale nic nie bolało tak, jak widok pleców Clarke.

Bellamy obserwował Paula przez cały ten czas. Żaden był z niego wesolutki gracz zespołowy, za jakiego chciał uchodzić, ale podstępny gad, który czaił się na Clarke.

„Muszę ją ostrzec", pomyślał, nim przypomniał sobie, że cokolwiek przytrafi się dziewczynie, nie będzie już jego problemem. Jasno dała mu to do zrozumienia.

Gdy odchodziła, ciągnęło go, by choćby na nią patrzeć, lecz zmusił się do wbicia wzroku w ścianę zieleni. Trzymał oczy szeroko otwarte, aż wszystko stało się boleśnie wyraźne i jasne, a emocje ustąpiły rzeczywistości.

Coś się poruszyło w lesie przed nim – a właściwie ktoś, jakaś osoba. Bellamy napiął mięśnie, a potem wypuścił powietrze. Zza drzewa wysunął się Luke, podnosząc dłoń w powitalnym geście.

Bellamy skinął mu głową i zerknął na Jessę. Miała go pilnować, zamiast tego razem zaczęli zastanawiać się nad wprowadzeniem jego planu w życie. Teraz dziewczyna omiotła okolicę spojrzeniem, nasłuchując zbliżających się głosów Paula, Vale lub Clarke. Gdy uznała, że są sami, gestem przywołała Luke'a, a ten podbiegł truchtem i przykucnął przy przyjacielu.

– Jak się miewasz? – spytał.

– O, znakomicie. – Bellamy spróbował wzruszyć ramionami, ale nie mógł. – Tak właśnie spędzam wszystkie soboty.

Luke wyszczerzył się w uśmiechu, ale znów spoważniał.

Bellamy przełknął ślinę. – Znalazłeś?

– Tak – odparł zapytany, błyskając oczami.

Bellamy wyprostował się odrobinę (i skrzywił od bólu w krzyżu). Luke wyciągnął ręce, chcąc mu pomóc, lecz chłopak potrząsnął głową i sam usadowił się, jak mógł najwygodniej.

– Poszedłem za Cooperem i Vale – mówił Luke szeptem. – Felix zastąpił mnie na warcie i powiedział Paulowi, że odpoczywam w obozie. Nie zauważyli, że ich śledzę. Odczekałem, aż Cooper zwróci na siebie uwagę tych z twierdzy i skręciłem tam, gdzie mi kazałeś. Łatwo było znaleźć tę zbrojownię… może za łatwo. Bellamy, oni się wkrótce zorientują, że zieje w niej wielka dziura.

– Wiem – odparł chłopak posępnym tonem. – Byłeś w środku?

– Uznałem, że poczekam z tym na ciebie. – Luke uśmiechnął się kątem ust. – Nie chciałbym, by ominęła cię cała zabawa.

– Dobra. – Koła zębate w głowie Bellamy'ego znów zaczęły wirować. – Czyja dziś kolej mnie pilnować?

– Jeśli nie Jessy, to postaramy się, żeby była jej – odparł Luke.

Dziewczyna odwróciła głowę na dźwięk własnego imienia i mrugnęła porozumiewawczo. Bellamy posłał jej ponury uśmiech.

– Stary, uwolnilibyśmy cię już teraz, ale boimy się zrujnować resztę planu – westchnął Luke.

– Wiem – odparł szybko Bellamy. – Tego bym nie chciał. Zresztą, pełna swoboda rąk jest przereklamowana.

– Będziesz musiał szybko dojść do siebie, jak już cię puścimy – zauważył Luke sucho. – Każda para rąk będzie cenna.

– Kto jest z nami?

– Ja, ty i Felix – odparł Luke. – Jessa zostanie tutaj i postara się, żeby nas nie zatrzymali.

– Czemu mieliby to robić? – spytał Bellamy. – Nie przeszkodzimy przecież w negocjacjach. To tylko… plan zapasowy.

Od strony obozu dobiegły go ściszone głosy. Paul częstował Clarke jedzeniem i żartował sobie, jaki to z niego zbieracz, a ona próbowała poruszyć temat następnych kroków.

Następne kroki. Dyplomacja.

Bellamy z trudem przełknął ślinę. Gardło miał zaciśnięte.

A zatem niezupełnie robili „nic", czyż nie? Plan A posuwał się naprzód. Clarke wciąż trwała przy nadziei na pokojowe rozwiązanie sytuacji. Czyżby miała rację? Może to jednak on był tym nierozsądnym?

Luke wyczuł to wahanie; pochylił się nad kolegą.

– Nadszedł dobry moment na działanie. Ale zaraz się skończy.

Bellamy pokręcił głową, myśląc intensywnie.

– Cooper dostał się do środka. Cały i zdrowy. Vale tak powiedziała.

Luke parsknął. – Czyli jeszcze jeden z naszych tkwi teraz w tych murach.

– A co, jeśli to oznacza coś więcej? Co, jeżeli… – Bellamy skinął głową za siebie, niezdolny wymówić jej imienia – …ich plan zadziałał?

– W takim razie opustoszenie tej ich piwniczki nikomu nie zaszkodzi. Uzbrojeni będziemy mieli większą przewagę… jakąś kartę przetargową. Idealna sytuacja, czy nie tak?

– Jasne. – Bellamy spochmurniał. To było takie dziwne. Przez całą drogę tutaj widział tylko twarze Wellsa i Octavii; prześladowały go bez ustanku. Błagały o pomoc. A teraz, gdy miał już plan, widział tylko Clarke. Widział urazę i krzywdę w jej oczach. Nie mógł się pozbyć wspomnienia jej twarzy w chwili, gdy ją odepchnął.

Wyobraził sobie, jaki wyraz przybierze ta twarz, gdy dziewczyna zda sobie

sprawę, że zniknął z obozu. Że gdy przyszło co do czego, zdradził ją po raz być może ostatni; że odszedł, nie zawracając sobie głowy pożegnaniem.

Przymknął oczy; żal pęczniał mu w piersi. Niesłusznie oskarżył ją o samolubstwo. Jeszcze gorzej, że nazwał tchórzem. Clarke zawsze była jedną z najdzielniejszych osób, jakie znał; teraz po prostu broniła tego, w czego słuszność wierzyła bez zastrzeżeń.

– Słuchaj, stary – przemówił Luke, prostując się z ciężkim westchnieniem. – Jeśli nagle strach cię obleciał, jeśli uważasz, że robimy źle…

Bellamy otworzył usta – lecz Luke znów zabrał głos, parskając z frustracji, zaciskając pięści. – Nie, pieprzyć to. – Potrząsnął głową. – Wybacz, Bel, ale lepszego planu niż twój nie mamy. A oni trzymają tam Glass. – Jego policzki pokryły się zaognionymi cętkami, zaczerwienione oczy wezbrały wilgocią. – Ona tam jest. Muszę ją uratować.

Bellamy patrzył przez chwilę na Luke'a, usiłując powstrzymać gonitwę myśli. W końcu dojrzał w ich gęstwie ostateczną odpowiedź. – Nie obleciał mnie strach, Luke.

Tamten wpił się w niego oczami.

Bellamy skinął głową – to była obietnica.

– To się stanie dziś.

ROZDZIAŁ 23

GLASS

Glass ściskała w ręku rąbek swej białej spódnicy, starając się, by z ust nie spełzł jej uśmiech. Wędrowały z Soren korytarzem o popękanych ścianach, pokrytych bluszczem i różami. Gdy kilka dni temu po raz pierwszy ujrzała kwiaty, zachwycała się ich pięknem, tak wyraźnym na tle spękanego betonu. Piękno triumfowało nad brzydotą. Natura odpuszczała grzechy tym, którzy ją spustoszyli. Dzisiaj róże wyglądały jak uwięzione; były w końcu tak daleko od swoich rodzinnych lasów i łąk.

– To bardzo piękna ceremonia – wyjaśniała najwyższa opiekunka; światło południowego słońca przeciskało się przez zrujnowany sufit i padało na jej twarz w dezorientujących błyskach. – Pierwszy rytuał odbędzie się na zewnątrz, jutro o wschodzie słońca. Mężczyźni i kobiety zostaną umyci, namaszczeni i pobłogosławieni przez samą Ziemię, nim zacznie się właściwe parowanie.

– Przepraszam – powiedziała Glass – ale wciąż trochę słabo się w tym orientuję. Na czym właściwie polega ta ceremonia parowania?

– Och, na litość, tak! – zaśmiała się Soren; śmiech ten był jak słoneczne światło. – To jasne, że jesteś ciekawa. Nowe rekrutki, dziewczęta podobne do ciebie, które podarowała nam Ziemia, zostają wtedy pełnoprawnymi członkiniami naszej społeczności. Dobieramy wszystkie nowe dziewczyny w pary ze świeżymi rekrutami i konsumują oni ten związek, w rezultacie stając się opiekunami. Jeśli Ziemia pozwoli, ze sparowania powstaje dziecko, przybyłe na świat w wierze.

Glass potknęła się i musiała oprzeć o mur; mrugała szybko, próbując odgonić nagły zawrót głowy. – Konsumują? – wyszeptała.

Ależ Soren nie mogła mieć na myśli tego, co Glass przyszło właśnie do głowy! Czyżby ceremonia polegała na akcie seksualnym? Czy po to właśnie porwano Glass i inne dziewczęta? Z głębiny wspomnień wypełzło jedno szczególne. Carter, chłopak, który dzielił pokój z Lukiem, ujmujący ją w talii i przyciskający do ściany. Ciepło jego oddechu tak blisko, zbyt blisko na skórze. Zacisnęła powieki, zwalczając mdłości.

– Owszem – odparła Soren. – Jak ci opowiadałam, ceremonia ta trwa od czasu, gdy po świecie chodzili pierwsi opiekunowie, a obcy po raz pierwszy przyjęli ich między siebie. Większość opiekunów uleczyła się ze skutków promieniowania, na które byli narażeni na powierzchni. Przynajmniej tak to wyglądało. Gdy przyszło do sprowadzenia na ten świat następnej generacji, okazali się niezdolni do jej spłodzenia… – urwała i zawiesiła spojrzenie na Glass, jakby oczekując próśb

o kontynuację opowiadania.

Po grzbiecie Glass przebiegł dreszcz. Zrozumiała wreszcie.

– Musieli ich w tym wyręczyć ci nowi ludzie – rzekła powoli. Przed oczami miała niepokojące obrazy.

– Tak właśnie – kiwnęła głową Soren. – Kolejne pokolenia nie miały już z tym kłopotu, lecz rytuał stał się dla nas jednym z najświętszych i cały czas go odprawiamy. Nowi rekruci zwykle są trochę podenerwowani, oczywiście; podejrzewam, że narzeczeni w starym świecie odczuwali to samo. Ale fakt, że wszyscy razem biorą w tym udział, spaja naszą społeczność ponad wszelkie wyobrażenie.

Glass gapiła się na nią z rozchylonymi ustami; w żołądku jej się przewracało. Czyżby Soren naprawdę miała na myśli… tutaj, na środku, podczas gdy wszyscy wokół będą patrzeć? Tak właśnie mieli udowodnić swoją przydatność?

„Nie”. Nie mogła do tego dopuścić. Serce tłukło jej się o żebra niczym ptak w klatce, błagający o ratunek. „Luke”. Na pewno wyruszył jej szukać. On nigdy na to nie pozwoli. On znajdzie jakiś sposób…

– Rzecz jasna, zwykle to ja dobieram pary – ciągnęła Soren. – Ale jesteś dla mnie kimś wyjątkowym i uważam, że to ważne, byś czuła się komfortowo. Pomyślałam zatem, że może chciałabyś być sparowana z tym swoim przyjacielem? Taki przystojny, ciemnowłosy chłopak.

– Wells? – spytała Glass chrapliwie; w ustach jej nagle zaschło.

– Tak, on. Ponoć znakomicie się spisuje. Tak mi donoszą moi ludzie.

„O mój Boże. O Boże”. Korytarz zaczął wirować wokół Glass; przerażające obrazy zalały jej mózg. Twarz Wellsa płonąca z zażenowania, jego oczy skierowane gdzieś w bok w bezsensownej próbie oszczędzenia jej wstydu, podczas gdy przyjaciółka z dzieciństwa zrzuca przed nim ubranie. Męka w jego oczach, gdy zmusza się go, by… szept: „Wybacz, Glass”, kiedy on…

Nie. To zbyt okropne, by sobie wyobrażać.

Choć nie tak straszne, jak perspektywa tego, co miało spotkać dziewczęta z jaskini wpychane w ramiona rozpustnych obcych mężczyzn. Lina, Anna. Octavia!

Soren rzuciła zadowolone spojrzenie na rozległy dziedziniec w centrum budynku.

– Myślę, że przeprowadzimy rytuał tutaj, Glass. Serce Głazu – czy może być lepsze miejsce?

Glass walczyła o każdy oddech. Za każdym razem, gdy próbowała zaczerpnąć tlenu, gardło jej się ściskało. W końcu wykrztusiła jakoś: – Brzmi wyśmienicie.

Soren położyła jej dłonie na ramionach; była w świetnym humorze. – Jestem wzruszona, Glass. Wiem przecież, ile to dla ciebie znaczy. Czy chciałabyś osobiście powiadomić swych przyjaciół o zaszczycie, jaki ich czeka? Z pewnością to docenią.

– Tak – odparła Glass, z drżeniem wciągając do płuc powietrze.

– Wspaniale. – Soren pociągnęła nosem i zmieniła ton na żwawy i rzeczowy, ten, którym załatwiała codzienne sprawy. – To równie dobry moment jak każdy inny. Ja muszę się zająć pewną sprawą, która wynikła przy bramie. – Twarz jej się zachmurzyła. – Obawiam się, że sprawą nieprzyjemną. Chętnie wrócę do naszej

pogawędki, kiedy już będzie po wszystkim.

Uśmiechnęła się wdzięcznie, uścisnęła dłoń Glass po raz ostatni i odeszła południowym korytarzem; słowo „nieprzyjemną” unosiło się za nią w powietrzu niczym toksyczna chmura.

Glass zadygotała i podążyła prędko do kuchni. Wolałaby wszystko inne niż być posłańcem z taką wiadomością, ale lepiej, by dziewczyny dowiedziały się jak najszybciej. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby się z tego wyplątać…

Skręciła za róg, minęła wiszące na sznurach białe płachty i kosze pełne wilgotnego prania. Wetknęła głowę do zaparowanego pomieszczenia. Lina wraz z kilkoma innymi dziewczynami szorowała nocniki; zdegustowane, twarze okręciły szmatkami. Poza Liną nikogo znajomego Glass nie dostrzegła.

Wtem w korytarzu za jej plecami rozbrzmiał chichot. Podążyła za dźwiękiem, aż znalazła małą niszę wybitą przez pocisk w grubym murze. Stały tam dwie dziewczyny, szalenie sobą zajęte. Palce Octavii zaplątały się w mocno spleciony warkocz Anny, której dłonie wędrowały po kręgosłupie przyjaciółki… A poza tym całowały się, jakby odkryły właśnie najwspanialszą rzecz w całym życiu.

W innej sytuacji widok szczęścia Octavii przyprawiłby Glass o dobry humor. Ale nie teraz, gdy przed oczami miała nadchodzącą ceremonię parowania. Anna będzie zmuszona patrzeć, jak wpychają Octavię w ramiona obcego mężczyzny… mężczyzny, któremu Ziemia „dozwoliła” zrobić z nią, co mu się spodoba.

Glass odchrząknęła. W żołądku jej się przewracało.

Dziewczęta odskoczyły od siebie, przerażone; w końcu dostrzegły, kto przed nimi stoi, i strach na ich twarzach ustąpił miejsca pospolitemu skrępowaniu.

– Musimy pogadać – oznajmiła Glass – i to już.

Dziewczyny zbladły ponownie, gdy wyłuszczała im cały ten odrażający plan: parowanie, ceremonia, oficjalne przyjęcie w krąg opiekunów. Spojrzenie wbijała w kamienną posadzkę, zbyt przerażona zamierzeniami Soren, by móc spojrzeć im prosto w oczy.

Skończyła mówić i zerknęła na Octavię. Ku jej zdumieniu twarz młodszej dziewczyny wyrażała raczej determinację niż strach.

– Czas nadszedł, Glass – powiedziała. – Sama to wiesz.

– Wells nie dał nam jeszcze sygnału.

– Nie o tym mówię. – Octavia chwyciła ją za nadgarstek. – Nie. Musisz ją zabić. Ty jedna jesteś dość blisko, żeby to się udało.

– Ja…? – Glass poczuła, że zaraz zwymiotuje. Pomysły opiekunów brzydziły ją do szpiku kości, ale zabić Soren? Zerknęła na Annę, lecz ta wpatrywała się w swoje stopy.

Glass przełknęła ślinę.

– Myślę, że to by spowodowało za duże zamieszanie. Musimy po prostu wydostać stąd naszych. To jedyne, co się liczy.

Dłoń Octavii zwolniła uścisk, twarz jej się zapadła.

Glass postąpiła krok naprzód. – Myślałaś może coś więcej o tym planie z użyciem łodzi?

Octavia kiwnęła głową. – Jeśli spowodujemy coś, co odwróci ich uwagę, zdążymy odpłynąć poza zasięg kul. Mogą oczywiście próbować gonić nas wozem, ale wzdłuż rzeki nie ma żadnej drogi. Myślę, że może nam się udać.

– Musimy znaleźć Wellsa i dać mu znać, co się szykuje. Uciekamy dziś w nocy, bo ceremonia parowania ma się odbyć jutro o brzasku. Dotrzesz do niego? – spytała Glass.

– Bądź spokojna. – Głos młodszej z dziewcząt był silny i równy. – Coś wymyślę.

Octavia miała w oczach bojowy blask, który przekonał Glass. Po wszystkim, przez co przeszły, po trudnościach, które przetrwały – żadna z nich nie zamierzała poddać się bez walki.

ROZDZIAŁ 24

WELLS

Tamtego ranka Wells zawlókł Grahama na jego posłanie – tak jak mu przykazano. Lecz niesubordynacja jednego z chłopców musiała wywołać u opiekunów nieufność, bo wtrącili Wellsa do odległej, ciasnej komórki, zatrzasnęli drzwi i zostawili go tam na wiele godzin. Porządnie burczało mu już w żołądku, z czego wywnioskował, że jest późne popołudnie.

Siedział w ciemnościach, całkiem sam po raz pierwszy od czasu, gdy ich tu przywieziono. To było cztery dni temu. W tym mroku jedno stało się dla niego jasne: nie mogli sobie pozwolić na czekanie, aż pojawi się idealna okazja do ucieczki. Idealnej okazji nie będzie. Ci ludzie byli nieprzewidywalni i właśnie dlatego niebezpieczni. Powinien pogadać z resztą rekrutów, ludźmi, których ściągnięto tu z innych miejsc; przekonać przynajmniej niektórych, by razem z nim powstali przeciw opiekunom. To była jedyna szansa.

Teraz potrzebował tylko sposobu, by się wydostać z tej przeklętej komórki.

Oczy przyzwyczaiły mu się do ciemności, więc gdy drzwi wreszcie otwarto, było to bolesne. Do środka wmaszerował Dąb. Niósł w ręku latarnię.

Wells widział już przedtem nienawiść na jego twarzy. Znał dobrze tę cienką niczym papier maskę spokoju skrywającą niezmierzone pokłady brutalności. Ale spojrzenie, które Dąb wbijał teraz w ziemię pod jego stopami, było przerażające, nieporównywalne z niczym. Światło latarni pełgało po tej zapadniętej fizjonomii, czyniąc ją podobną do gęby diabła.

– Chcieliśmy zrobić z ciebie opiekuna – warknął niskim, złowróżbnym tonem. – Chcieliśmy ci zaufać, przyjąć do naszej owczarni.

– Nie mam nic wspólnego z tym, co zrobił Graham – odparł Wells, starając się powstrzymać drżenie głosu. – Musisz przecież wiedzieć, że ja…

Dąb dopadł go jednym długim susem, chwycił za gardo i zacisnął na nim ręce, równie szorstkie i okrutne jak powróz kata. Wellsowi przed oczami zaczęły latać cętki; walczył o oddech. Światło latarni bladło, obraz się rozmywał. Ostatkiem sił wierzgnął nogami, próbując się wyślizgnąć z uchwytu napastnika.

Nagle drzwi za ich plecami stanęły otworem i Dąb go puścił.

Chłopak potoczył się po posadzce, chwytając za gardło i rozpaczliwie wciągając powietrze.

– Już wszystko dobrze – rozległ się śpiewny, łagodny głos kobiecy. – Nic złego się nie stało.

Wells zamrugał, sądząc, że to on jest odbiorcą tych słów; a potem zamrugał znowu, bo ujrzał osobliwy widok: opiekuna klęczącego przed swoją przywódczynią. Soren gładziła głowę starego niczym łeb psa; mężczyzna miał przymknięte oczy.

– Możesz iść – powiedziała, a on wstał i opuścił pomieszczenie szybkim, bezgłośnym krokiem. Nie poświęcił ani milisekundy na rozważanie rozkazu, po prostu go wykonał.

Soren podniosła porzuconą latarnię. Ruchliwy płomyk świecy nadawał twarzy tamtego cech demonicznych, lecz ona wyglądała w tym świetle spokojnie, wręcz anielsko. Wells sam sobie nakazał ostrożność. „Jest gorsza od całej reszty", pomyślał. „To ona tu pociąga za sznurki".

– Przepraszam za to – przemówiła Soren i usiadła obok niego na podłodze, krzyżując nogi pod warstwami spódnic. – Wszyscy jesteśmy dziś trochę podenerwowani. Mieliśmy… gościa, wiesz. Pojawił się u głównej bramy. Niespodziewany to był gość.

Wells zamarł; serce mu załomotało. Czyżby przybyli ich przyjaciele?

– A potem powrócił wasz oddział i dowiedzieliśmy się, co zaszło. – Smutno pokręciła głową. – Obawiam się, że to musiało mocno nimi wstrząsnąć.

– Graham zrobił rzecz niewybaczalną – wycharczał Wells. Gardło nadal go bolało po ataku opiekuna zwanego Dębem.

Soren posłała mu zdawkowy uśmiech.

– Jestem skłonna się z tym zgodzić. Oraz jestem skłonna uwierzyć, że ty nie miałeś z tym nic wspólnego. – Wyciągnęła dłoń i delikatnie ujęła go za przegub. – Mam w związku z tobą plany, Wells – oznajmiła, parząc nań błyszczącymi oczami.

Zwalczył nagły odruch odsunięcia się, wyrwania ręki, jakby kobieta była jadowitym wężem, który właśnie podniósł głowę. „Plany" oznaczały, że zamierzała go tu zatrzymać na dłużej.

„Udawaj", przykazał sobie. „Udawaj tak długo, jak to konieczne, by zostać przy życiu".

– Te plany dotyczą tylko wiernych. Wiernych Ziemi oraz nam. – Zwiększyła siłę uścisku. – A zatem, powiedz, czy jesteś z nami?

– Tak – odparł najpewniejszym tonem, jakim był w stanie; jego umysł wirował. Co takiego mógłby powiedzieć, żeby ją przekonać? – Byłem równie zszokowany jak wszyscy inni, gdy zobaczyłem, co Graham wyprawia. Żałuję tylko, że nie zdołałem ostrzec was przed nim wcześniej.

– Co masz na myśli? – Soren nachyliła się nad nim i patrzyła uważnie.

Wells zacisnął szczęki.

– Obawiałem się Grahama od bardzo dawna. Był ze mną na lądowniku, którym przybyłem na Ziemię. – Skinął z szacunkiem, tak jak robili to opiekunowie, ilekroć niechcący wspomnieli imię Ziemi. – Szybko nauczyłem się mu nie ufać. Myślę, że to nie chodzi o to, iż on opiera się mądrości Ziemi. Słucha jej jak i ja. Po prostu jest niezrównoważony i potrzebuje…

Za plecami Soren otwarły się drzwi. Przechyliła głowę, nie patrząc na wchodzących, podczas gdy ta jej blond doradczyni wciągnęła za sobą słaniającą się

postać ludzką. Graham.

– Nie śpi już – powiedziała jasnowłosa.

Wells zamilkł i przygryzł wargę, by powstrzymać się od patrzenia z otwartymi ustami, jak blondynka wlecze Grahama do pomieszczenia i pozwala mu upaść. Był przytomny, choć trudno by to stwierdzić na pewno. Opuchnięta, pokryta zakrzepłą krwią głowa poleciała pod własnym ciężarem i oparła się o ścianę. Chłopak spojrzał na Wellsa oczami kompletnie pozbawionymi wyrazu. Kobieta w szarym stroju wyszła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Soren musnęła kolano Wellsa; miły uśmiech nie opuszczał jej ust. – Mów dalej.

Wells zerknął na Grahama i przełknął ślinę. Tamten po prostu patrzył, jakby nie miał dość sił na mruganie oczami. Tylko po unoszącej się w oddechu klatce piersiowej można było poznać, że żyje.

Wells spojrzał w twarz Soren.

– Myślę, że on jest… niezdrów. Umysłowo. Od chwili, gdy wylądowaliśmy, robił wszystko, by podminować moją pozycję w obozie. Nie było w tym żadnej przyczyny poza małoduszną rywalizacją. Przekroczył granice już pierwszego dnia i przy każdej możliwej okazji narażał mnie i moich przyjaciół na ryzyko. Zatem jeśli pytasz, czy jestem z nim, to… – Wells wykrzywił twarz w kpiący wyraz – …odpowiedź brzmi: nie.

Spojrzenie Grahama wolno opadło na podłogę. Razem z nim opadł nastrój Wellsa. Musiał być bardzo ostrożny. Jeśli uznają, że sprzymierzył się z Grahamem, wszelka nadzieja na ucieczkę wraz z przyjaciółmi przestanie istnieć. Ale nie powinien też zbyt mocno przekonywać ich, że Graham jest niereformowalny. Nie wolno mu narażać jego życia jeszcze bardziej.

Przełknął ślinę.

– Przepraszam, matko – powiedział, kręcąc głową.

Jej oczy rozszerzyły się na moment, tak ulotny jak drgnienie płomienia świecy.

– Za co, Wells?

– Za roztrząsanie przeszłości. Wiem, że miałem ją spłukać wodą z rzeki. Cokolwiek się zdarzyło, nie ma już znaczenia. – Zadarł głowę. – Tu jest teraz mój dom, jeśli taka Ziemi wola.

– Jeśli taka Ziemi wola – powtórzyła półgłosem, nadal czujnie go obserwując.

Tracił już nadzieję, że przekona ją tym nagłym pokazem lojalności. Ale kobieta znienacka schyliła się i pocałowała go w czoło.

– Wierzę ci – powiedziała. – Jutro o świcie odprawię rytuał, który zwiemy ceremonią parowania, z udziałem twoim i innych rekrutów. Zostaniesz przyjęty do grona opiekunów.

Wyciągnęła coś z kieszeni długiej, powiewnej spódnicy; to był sztylet. Lśnił niepokojąco w stłumionym świetle pomieszczenia. Wells wstrzymał oddech, a serce mu załomotało, gdy Soren przejechała ostrzem noża po wewnętrznej stronie jego ramion. Okazało się, że przecięła sznury, które go więziły.

Odetchnął z ulgą i zaczął poruszać kończynami, aż powróciło w nich mrowiące czucie. Soren schowała sztylet i wstała.

– Inni będą oczekiwali więcej, oczywiście – ciągnęła. – Moi opiekunowie. – Uśmiechnęła się pobłażliwie, przyciskając rękę do serca; mówiła o nich takim tonem, jakby byli małymi dziećmi. – Samo istnienie naszej społeczności wymaga, by mężczyźni byli brutalni. Znają tylko siłę; tylko siłę respektują. Jeśli chcesz dołączyć do naszego grona i być przez nich zaakceptowany, musisz im dać jakiś brutalny dowód swych intencji. Tylko w ten sposób pozyskasz ich zaufanie.

Wells poczuł, jak oddech zamarza mu w piersi.

– Zabierz tego młodzieńca do lasu i zabij go – nakazała słodkim głosem. – Możesz to zrobić szybko lub powoli, wedle gustu. Ważne, by odbyło się to za obrębem naszych świętych murów. Nie potrzebujemy dziś znowu rozlewu krwi.

„Nie!” To słowo przeszyło go na wylot, gdy walczył z nienawiścią i odrazą. To koniec. Muszą się stąd wydostać. Teraz. Druga fala mdłości przyniosła ze sobą pytanie: co Soren miała na myśli, mówiąc o „jeszcze jednym rozlewie krwi”? Wspomniała przecież coś o nieproszonym gościu. Modlił się każdym włóknem swego istnienia, by ofiarą nie okazał się ktoś z przyjaciół.

– Dąb pójdzie z tobą, by być świadkiem twego posłuszeństwa. – Soren otworzyła drzwi i skinęła na opiekuna, a następnie wysunęła się z gracją z komórki, nie oglądając się za siebie.

Dąb wypełniał sobą całą przestrzeń framugi. W żylastych rękach trzymał dwa pistolety. Wymierzył je w Grahama, a ten wstał, drżący, i wyszedł, posłuszny niczym ziemska owca, którą wiodą na pastwisko.

Idąc, po raz ostatni spojrzał na Wellsa; nie sposób było jednak odczytać wyrazu jego obitej, spuchniętej twarzy.

Słońce zaczynało zachodzić; niebo pociemniało. W milczeniu wyszli przez małe frontowe wejście, przecięli rozległy dziedziniec i zanurzyli się w las. Wells przysiągłby, że kątem oka widzi coś dziwnego; wyglądało jak jasny płomień szybko przesuwający się w kierunku zachodnim – lecz nie odważył się za nim obejrzeć z obawy, że Dąb pociągnie za spust.

Szli i szli. Wells wiele razy sądził, że są już wystarczająco daleko. Ale nie ustawali. Groza pętała mu nogi, utrudniając każdy krok.

Wreszcie mężczyzna warknął: – Tutaj – i chłopcy się zatrzymali.

Wells odwrócił się wolno, unosząc ramiona nad głowę, i wzdrygnął się, gdy Dąb wcisnął mu w ręce pistolet. Patrzył teraz wyczekująco, a Wells desperacko starał się zyskać jeszcze trochę czasu. Znajdzie jakieś wyjście z tego koszmaru. Na pewno.

– Czy… czy mógłbym chwilę porozmawiać z Grahamem, pożegnać się z nim?

W oczach starego mignęło cieplejsze niż zwykle światło.

– Dobrze, ale ja będę o tam, gdybyś mnie potrzebował. – Wskazał na obrzeża lasu wokół twierdzy i zaczął iść w tamtym kierunku.

Wells wstrzymał oddech, uspokoił puls, aż bił wolno i spokojnie. Co miał teraz robić? Mógł zastrzelić Grahama, odmówić i zginąć zamiast niego albo zabić swojego nadzorcę. To właściwie nie był wybór. Uniósł kolbę broni i wycelował w plecy tamtego. Zamknął jedno oko, położył palec na spuście i…

Dwie skrępowane sznurem dłonie chwyciły za lufę pistoletu i pociągnęły ją w dół.

Wells zachłysnął się i szepnął do Grahama:

– Co ty wyprawiasz? – Wyjął mu broń z rąk. – Zastrzelę go, a potem dajemy chodu.

Graham uśmiechnął się ponuro; oczy miał tak opuchnięte od sińców, że zmieniły się w szparki.

– Serio myślisz, że to się uda? Ledwie łażę po tym, jak się mną zajęli. Jak uciekniemy? Dogonią nas i zastrzelą obu. Ja i tak już jestem martwy. Ale ty możesz się wydostać i pomóc naszym. A jeśli przy okazji wykończysz tych sukinsynów, tym lepiej.

Wells starł pot z czoła. – O czym ty mówisz?

– Wiesz, o czym mówię, Jaha, nie udawaj głupka.

– Jest inne wyjście… – Oddech Wellsa znów stał się krótki i urywany. – Wystrzelę w drzewo. Dam ci szansę na ucieczkę, powiem, że spudłowałem.

– Zabiją cię za spudłowanie.

– Wykopię dziurę w ziemi i powiem, że cię pogrzebałem. Ja…

– Będą chcieli zobaczyć ciało. Wells, myśl! – Szept Grahama urósł do krzyku. Ucichł, potrząsnął głową, oczy mu się zamgliły. – Wszystko, co tam o mnie powiedziałeś…

Wellsowi zaschło w ustach, choć lufę broni wciąż trzymał wycelowaną w Grahama na wypadek, gdyby Dąb jednak patrzył.

– Graham. Ja wcale tak nie…

– …było prawdą. – Chłopak spojrzał na Wellsa; miał teraz trzeźwe, rzeczowe spojrzenie. – Nie jestem dobrym człowiekiem. Po prostu nie. Nigdy nie byłem, przez całe moje życie. Ale ty owszem. – Graham parsknął. – Myślę, że to mnie w tobie najbardziej wkurzało.

– Ja… – Wells zwiesił głowę. Graham się mylił; minęło dużo czasu, odkąd uważał się za dobrego; niezależnie od definicji. Ale to, czego teraz od niego oczekiwano, było nieporównywalnym z niczym okrucieństwem. – Nie zrobię tego. Nie mogę.

– Jasne, że możesz. – Delikatne drżenie w głosie Grahama zdradziło ukrywany lęk. – Daję ci moje pozwolenie. Sumienie masz czyste.

Wells ściskał zimny metal broni mokrymi od potu rękami. Spojrzał na pistolet, a potem na chłopca przed sobą. Policzki kolegi były mokre od łez.

– Nigdy ci nie powiedziałem, co takiego zrobiłem tam na statku, prawda? – spytał Graham łamiącym się szeptem. – Za co mnie zamknęli?

Wells patrzył w milczeniu, jak tamten unosi brwi i pada na kolana; wpatrywał się w niego teraz z zadartą głową i zaciśniętymi ustami. Płakał.

– Robiłem złe rzeczy, Jaha. Nie masz pojęcia, jak złe i jak wiele ich było. Pozwól mi zrobić jedną szlachetną rzecz. Proszę. Proszę, po prostu mi pozwól.

Wells ledwie mógł patrzeć na Grahama. Jego długotrwały wróg, przejęty bólem, błagał… nie o życie, lecz o śmierć. Własną śmierć. Po krzywiącym usta arogancie z pokładu „Feniksa” nie został nawet ślad. Tamten Graham przestał istnieć.

Ale ten wart był ocalenia.

– Nie – przemówił Wells, pewny tego jak niczego na świecie. – Znajdziemy inny

spo…

Nim zdążył mrugnąć, ręka tamtego chwyciła za spust jego własnej broni. Ogłuszający huk przeszył las, powietrze, głowę, serce i kości.

Wells wpatrywał się w dymiącą lufę, w miejsce, gdzie przed chwilą klęczał Graham, i wreszcie – w bezwładne ciało, z którego strumyczkami płynęła krew, barwiąc poszycie.

Wells był otulony watą tępej grozy, ale błysnęła mu myśl: „Graham mógł uciekać. Mógł być samolubny. Każdy by był na jego miejscu. Zginął, żebyśmy my mogli żyć”.

Mijały minuty, może godziny albo dni; Wells nie był pewien… Wtem czyjaś mocna dłoń chwyciła go za ramię. Wzdrygnął się, przymknął powieki, a potem spojrzał na Dęba, wpatrującego się weń z dumą w oczach.

– Nauczyłeś się czegoś – rzekł opiekun. – Dobra robota, synu. Wracamy do domu.

ROZDZIAŁ 25

BELLAMY

Jak wspaniale było znów swobodnie biec przez las. Bellamy przeskakiwał przez powalone pnie, trzymając się cienia drzew; mógł niemal udawać, że to zwykły wypad myśliwski. Nawet towarzystwo Luke'a było czymś znajomym. Zaczął chodzić z Bellamym na polowania, gdy tylko podleczył nogę. Bellamy zwykle nie znosił towarzystwa przy takich okazjach; większość ludzi poruszała się za głośno, za wolno lub czuła potrzebę bezmyślnego mielenia językiem. Za to Luke nie miał nic przeciwko godzinom spędzanym niemal w ciszy, porozumiewając się tylko za pomocą gestu bądź skinienia głową, gdy zwierzyna pojawiała się w polu widzenia.

Ale dziś nie wybrali się z Lukiem na jelenia. Zamierzali wkraść się do fortecy pełnej dziwnych biało ubranych morderców i zabrać im broń.

– Jesteśmy już blisko, nie? – Luke w końcu przerwał ciszę. – Wszystko to po ciemku wygląda trochę inaczej.

– Tak. Wejście, na które wpadliśmy z Felixem, jest za tymi drzewami. – Bellamy wskazał na przejaśnienie między pniami, przez które można było dostrzec zrujnowany betonowy mur.

Z każdym krokiem naprzód poruszali się coraz ostrożniej; w końcu skradali się bezgłośnie przez leśne poszycie pokryte mokrymi liśćmi.

Bellamy gestem nakazał Luke'owi schować się za drzewem i sam zrobił to samo. Stali tak przez długi czas, nadstawiając uszu. Ale w pobliżu najwyraźniej nie było nikogo.

W końcu Bellamy ruszył ostrożnie, stawiając parę kroków na trawie otaczającej wąskim pasem pięcioboczne mury. Rozejrzał się dookoła, a gdy zyskał pewność, że nikt nie patrzy, gestem przywołał Luke'a.

W powietrzu mrowiło elektrycznością o nieznanym mu pochodzeniu; czuł się tak, jakby w każdej sekundzie mieli na niego wypaść biało ubrani mężczyźni i oddać salwę. Ale gdy tak przemykali wzdłuż muru, ciszy nie zakłócało nic prócz ich własnych niespokojnych oddechów.

Chwilę później wreszcie znaleźli dziurę w ziemi prowadzącą wprost do zbrojowni (czy jakkolwiek ci kretyni nazywali takie miejsca). Po odkryciu tego wejścia razem z Felixem zamaskowali je deskami, kamieniami i innym śmieciem. Być może dlatego żaden z wartowników niczego nie dostrzegł. Ale oku Bellamy'ego nic nie mogło umknąć. Nie zdarzyło mu się przegapić sygnału zwiastującego potencjalne niebezpieczeństwo. Nic nie mógł na to poradzić; czujność miał w DNA. To ona

ocaliła jego wraz z siostrą przez te wszystkie lata spędzone na ukrywaniu się. To dzięki niej zwrócił uwagę na dziwną stertę liści, którą Clarke zlekceważyła.

Gdyby tylko go posłuchała.

Gdyby tylko sam sobie zaufał na tyle, żeby ją przekonać.

Ostrożnie podniósł kilka desek i odsunął je na bok. Ukląkł i przyłożył ucho do ziemi. Z dołu nie dochodziły żadne dźwięki; zbrojownia była pusta. Opuścił się do piwnicy. Zamrugał kilka razy, starając się przystosować oczy do mętnego światła.

Kiedy dołączył do niego Luke, widział już całkiem wyraźnie. Mglista bryła przybrała wygląd wózka, nadal wypełnionego bronią. Strzelby, noże… granaty.

– Gotów? – spytał towarzysza. Luke przytaknął z poważną miną.

Wszystko dokładnie zaplanowali. O ile się pośpieszą, zdążą zabrać wszystko. Przynieśli ze sobą puste worki, które teraz ostrożnie napełniali. Potem wyszli przez dziurę i pobiegli w las.

Kiedy już oddalili się dostatecznie, opróżnili worki, ukryli ich zawartość pod opadłymi liśćmi i pośpieszyli do zbrojowni po następną porcję. Powtórzyli cały proces cztery razy, aż w piwnicy nie zostało niemal nic.

Podczas ostatniego wypadu przydarzyło się coś dziwnego. Gdy pakowali broń, ich uszu dobiegła stłumiona melodia. Zamarli w bezruchu – tak jak to się zdarzało zwierzętom, które natknęły się na Bellamy'ego ze strzałą na cięciwie.

Ktoś śpiewał!

– Chodźmy – szepnął Luke bezgłośnie, samymi wargami, i zaczął się cofać w stronę wyjścia.

Bellamy poczuł, że coś go ciągnie w przeciwną stronę, do powyginanych żelaznych drzwi, zbyt zniekształconych, by dało się je domknąć. Przez szpary przeświecało światło. Podkradł się i je uchylił.

Korytarzem szły dwie dziewczyny w bieli, z włosami splecionymi w warkocze, i niosły ogromny srebrny półmisek.

Gdy Ziemia piękną panną była,
która warkocze z chmur nosiła,
prosiła gwiazdy spadające
o dziecko kochające.

Ich osobliwe, pozbawione wyrazu twarze i harmonijne głosy sprawiły, że Bellamy'emu przebiegł dreszcz po kręgosłupie. Co tu się dzieje, u diabła? Gdy dziewczęta podeszły bliżej, jego niepokój ustąpił miejsca zdenerwowaniu. Znał jedną z nich. To była Lina, Ziemianka z osady Maxa. Jedna z tych, których porwano.

Tak bardzo chciał, by spojrzała na te drzwi. Gdyby tylko udało mu się przykuć jej uwagę – wyciągnąłby ją stąd. Ale Lina patrzyła prosto przed siebie, a oczy miała ogromne i niewidzące.

Za nimi w korytarzu pojawił się niski, zagniewany mężczyzna.

– Co tak długo? Opiekunowie czekają na posiłek – warknął.

Druga z dziewcząt uśmiechnęła się sennie.

– Kuchnia jest bardzo daleko od koszarów – powiedziała.

– No to następnym razem się pośpieszcie.

– Jeśli taka Ziemi wola – odpowiedziała.

– Jeśli taka Ziemi wola – powtórzyła Lina jak echo.

„Co, do…?”.

Bellamy odwrócił się od drzwi, dźwignął torbę, skinął na Luke’a i wyczołgał się z dziury. Gdy już stanął na ziemi, odkrył, że drży.

– Co się stało? – zaciekawił się Luke. – Coś ty tam zobaczył?

– To była Lina – wydyszał Bellamy, gdy maszerowali pod osłonę drzew. – Wiesz, ta Ziemianka.

Oczy Luke’a się rozszerzyły.

– Nic jej się nie stało? Ktoś jeszcze był z nią? Na przykład Glass?

– Była z inną dziewczyną, której nie znam, ale, Luke, tam się dzieje coś naprawdę bardzo, bardzo dziwnego. Myślę… – Urwał, obawiając się, co ujęcie podejrzenia w słowa może oznaczać dla Octavii i innych. – Myślę, że poddaje się je praniu mózgu.

Opowiedział to, co zobaczył. Szczęka Luke’a zacisnęła się mocniej, zmrużył oczy.

– Na szczęście są żywe. Wyciągniemy je stamtąd – mruknął. – Nieważne, ile nas to będzie kosztowało. – Zacisnął pięści. – Zaobserwowałeś, jaki jest rozkład pomieszczeń?

– Jestem pewien, że zbrojownia przylega do koszarów. Te dziewczyny niosły im jedzenie z kuchni, która podobno znajduje się bardzo daleko.

– Dobra… dobra… to już coś – westchnął Luke. – Wiemy, gdzie uderzyć, gdybyśmy musieli. – Ze świstem wypuścił powietrze, jakby poczuł ulgę. – Pójdziemy powiedzieć o tym reszcie?

Bellamy zarzucił na ramię torbę pełną granatów. Nagle konfrontacja z Clarke i Paulem wydała mu się dziecinną igraszką w porównaniu z tym, co będą musieli przedsięwziąć potem.

– Jasne. Chodźmy.

ROZDZIAŁ 26

CLARKE

Las był tak cichy, że zdawało się, iż wstrzymuje oddech. Zaledwie godzinę temu Clarke zwolniła Felixa z warty, by zająć jego miejsce na posterunku. Ale minuty piętrzyły się niczym ciężar przyginający ją do ziemi, coraz bardziej nieznośny. Cooper powinien był już wrócić. Rozmowa z najeźdźcami nie powinna była zająć mu całego dnia.

Nie chciała zanadto roztrząsać tej możliwości, ale kto wie, może jego misja źle się skończyła.

Rozciągnęła zdrętwiałe kończyny, starając się wygnać zmartwienie z kości. Panika nie miała sensu. Jedyne, co mogła zrobić, to czekać i mieć nadzieję.

Trzasnęła jakaś gałązka. Zerknęła przez ramię. Nie było nikogo. Wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić walące serce. Siedząc bezczynnie, na nic się nie przydaje. Więcej sensu miałoby, gdyby poszła szukać Coopera, na wypadek gdyby potrzebował wsparcia. Cokolwiek by to oznaczało.

Ostrożnie ruszyła w kierunku twierdzy. Kark ją mrowił; zastanowiła się, czy to zignorować. Bellamy miewał takie przeczucia, które zwykle się sprawdzały. Ale nie Clarke. Przez całe życie uczyła się ufać mózgowi, a nie sercu. Tego ją nauczono na kursach medycznych. Tego wymagali od niej rodzice, gdy doszło do konfrontacji w kwestii tych okropnych eksperymentów. Należało patrzeć na sprawy w kategoriach „całości obrazu” oraz „większego dobra”, nawet gdy instynkt wrzeszczał coś zgoła przeciwnego.

Gdy podeszła na sam skraj lasu, zrobiło się jaśniej, a drzewa rzucały długie, tajemnicze cienie w mętnym księżycowym świetle. Pojawił się jakiś kształt; sylwetka ludzka. Clarke straciła dech i zamarła, niepewna, czy powinna schować się za drzewo, czy trwać nieruchomo.

Czekała. Wstrzymała oddech.

Postać też się nie poruszyła.

Serce łomotało jej tak mocno, że z pewnością było je słychać. Ale postać nie postąpiła nawet kroku. Ten ktoś musiał ją zauważyć. Chowanie się nie miało sensu.

– Cooper – zawołała schrypniętym głosem. – Czy to ty? – Gdy ścichło echo jej głosu, wszystko znów zalała cisza.

Podchodząc bliżej, zrozumiała, że to nie Cooper. To nie był nikt w ogóle. Zmrużyła oczy, niepewna, czy nie płatają jej figli. Ale nie… teraz już widziała wyraźnie; luźne ubranie wypchane słomą, rozmazane ludzkie rysy niedbale naniesione

na dynię zamiast głowy – to był strach na wróble, czytała o nich kiedyś.

Zwykle każda ocalała pozostałość czasów sprzed kataklizmu napełniała ją podekscytowaniem, ale nie tym razem. Coś tu było bardzo nie w porządku. Znajdowali się zbyt daleko od pól uprawnych, by mógł to być nowy strach na wróble; a żaden stary nie przetrwałby kataklizmu.

Jeszcze kilka metrów. Clarke stanęła nagle jak wmurowana. „Nie…" Zamrugała… to musiała być wina światła.

– Nie – wydyszała – proszę, nie.

To nie był strach na wróble. A przynajmniej – nie całkiem; bo choć luźną odzież istotnie wypchano słomą, to głowa nie została zrobiona z dyni.

To była ludzka głowa.

Głowa Coopera.

Clarke zaczęła krzyczeć. Nie mogła się powstrzymać. Jej wrzaski wzniosły się po szczyty drzew, płosząc ptaki w gałęziach.

– Ratunku! – krzyczała. – Na pomoc, proszę, niech ktoś mi pomoże! – Nim zorientowała się, co robi, z jej ust wydostało się imię: – Bellamy!

Zachłysnęła się, w głowie jej się kręciło, ale gdy opadła pierwsza fala grozy i obrzydzenia, do głosu doszło wyszkolenie. Chwiejnie podeszła bliżej, starając się przygotować na to, co zobaczy. Głowę Coopera odrąbano od ciała i nasadzono na drewniany pal, na którym ktoś zamocował ciało stracha na wróble – to były jego własne ubrania wypchane suchą trawą.

Jego twarz była okrągła, rozdęta, skóra miała przyprawiający o mdłości siny odcień. Ale krew na szyi wciąż była wilgotna. To zdarzyło się niedawno. Clarke wpatrzyła się w cienie, szukając oznak czyjejś obecności. Wciągnęła powietrze do płuc i pomału obeszła groteskową kukłę dookoła. I znów się zachłysnęła.

Na plecach stracha widniały słowa „Służ albo giń". Wypisano je krwią.

– Ożeż – ktoś szepnął. To był Paul; gapił się na stracha z twarzą białą jak kreda.

– No, wiem… – odparła, starając się oddychać, podczas gdy łzy toczyły się jej po policzkach. – Powinniśmy poszukać ciała. Nie możemy go tak zostawić.

– Co? Mowy nie ma – odparł Paul i zawrócił do lasu.

– W porządku, dobrze, zajmę się tym później. Ale teraz musimy postanowić, co robimy dalej.

Paul nie słuchał; odchodził śpiesznym krokiem, który był właściwie biegiem.

– Hej! – krzyknęła. – A ty dokąd?

Nagły harmider sprawił, że odskoczyła na bok. Chwyciła jakąś ułamaną gałąź, gotowa przyłożyć temu, kto wyłoni się spomiędzy drzew.

– Clarke! Nic ci nie jest? Idę po ciebie! Clarke!

Upuściła kij, widząc, że z cienia wyskoczył Bellamy. Na jej widok jego czerwona, zlana potem twarz przybrała wyraz niebotycznej ulgi; chwycił ją w ramiona i objął mocno.

– Usłyszałem, jak krzyczysz, i myślałem, że… – Resztę słów stłumił dziwny dźwięk, na wpół szloch, na wpół śmiech. – Na szczęście jesteś cała.

Chwilę później pojawił się Luke, całkiem żwawy mimo kulejącej nogi. Wlókł

Paula za kołnierz.

– Co się tu dzieje? – warknął do niego Bellamy. – Coś ty jej zrobił?

– Nic nie zrobiłem! Oni to zrobili. – Paul wskazał drżącym palcem stracha.

Bellamy odwrócił się i po raz pierwszy zobaczył, o czym mowa.

– O raju – wymamrotał, cofając się o kilka kroków. – Ja pierdzielę.

– Puść mnie, idioto – zajęczał Paul, próbując się wyswobodzić. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– To dlaczego uciekasz? – spytał Luke przez zaciśnięte zęby, wzmacniając uścisk, aż tamten zakwilił.

– Bo tylko szaleniec dłużej by się tu kręcił. Patrzcie, co zrobili z Cooperem! Nie mamy szansy kogokolwiek uratować. Powinniśmy się stąd wynosić.

– Chcesz ich zostawić samym sobie? – Clarke nie była w stanie stłumić pogardy w głosie. Bellamy rzucił jej aprobujące spojrzenie; w końcu postawiła się temu Paulowi.

– Tak. To nas kompletnie przerosło, do cholery. Moje myśli i modlitwy są z ludźmi po wewnętrznej stronie tego muru, i tak dalej, i tak dalej, ale wracamy do domu, i to już.

– Możesz iść – odpalił Bellamy, obejmując Clarke. – Reszta zostanie. Mamy tu coś do załatwienia.

Ruszyli za Lukiem, który ciągnął za sobą marudzącego, jęczącego Paula.

– Jesteś pewna, że nic ci nie jest? – spytał Bellamy dziewczynę, zerkając na upiorną kukłę. – To, co zobaczyłaś… Cooper….

– Dam sobie radę – odparła, choć drżenie w jej głosie mogło budzić wątpliwości. – Kiedy powiemy reszcie, wrócę tu i zajmę się… – Zamilkła, nim zdołała wypowiedzieć słowo „ciałem”.

Bellamy nie zwalniał uścisku.

– Pójdę z tobą. Zrobimy to razem. – Clarke przeszła wprawdzie przeszkolenie medyczne, ale myśl o upiornym zadaniu, które ją czekało, odbierała jej siły. Oparła się o Bellamy’ego, wiedząc, że on nigdy nie pozwoli jej upaść.

– Przepraszam – powiedziała miękko. – Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam, by Paul ci to zrobił. Nigdy sobie nie wybaczę.

Chłopak nie odpowiedział, ale i jej nie puścił. Gdy w końcu się odezwał, jego głos był cichy, lecz dźwięczała w nim pewność.

– Wiem o tym. Dlatego przepraszam za te okropne rzeczy, które powiedziałem. Dźwigasz w sobie tyle bólu, Clarke. A ja użyłem go przeciw tobie. Wiedziałem, jak cię zranić, i to zrobiłem. Czy potrafisz mi wybaczyć?

Miał rację, ale czułość w jego głosie wystarczyła, by ten ciężar rozproszyć, choćby na chwilę. – Tak, o ile ty wybaczysz mnie.

Wydał z siebie długie westchnienie. – Ostatnio nie byłem sobą. Miałaś prawo do nieufności.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Kocham cię całego, Bellamy Blake’u.

Uśmiechnął się i ucałował czubek jej głowy.

– Kocham cię – wyszeptał w jej włosy.

Pozostali oczekiwali ich niespokojnie. Clarke opowiedziała im o tym, co się stało z Cooperem, a potem objęła dygoczącą Vale, która zalała się łzami.

– Wcale nie musiał z nami iść – powtarzała, szlochając. – Zgłosił się na ochotnika, bo taki właśnie jest… był…

– A my dołożymy starań, żeby jego śmierć nie poszła na marne. – Bellamy podszedł do pełnych worków leżących koło ogniska. – Uratujemy naszych ludzi, a ci zasrańcy zapłacą za swoje czyny. Za Coopera. Za nasz obóz. Za wszystko, co jeszcze zniszczyli, bo im się wydaje, że im wolno. – Sięgnął do jednego z worków i wyjął strzelbę.

– Zabraliśmy je ze zbrojowni wroga – wyjaśnił Luke. – Opróżniliśmy ją do cna. Zanim usłyszeliśmy twój krzyk, przenieśliśmy tutaj, co mogliśmy, a reszta została schowana w lesie. Przy okazji obejrzałem sobie tę budowlę. Z daleka wydaje się niezdobyta, ale gdy się podejdzie bliżej, widać pęknięcia w fundamentach, zapewne spowodowane przez kataklizm albo przez naturalną erozję. Wystarczy, że roztropnie rozmieścimy ładunki wybuchowe, a ten zewnętrzny mur runie.

Luke skinął na Bellamy'ego, który wystąpił naprzód i przejął wątek.

– Kiedy wybuchnie zamieszanie, tamci pobiegną do arsenału i odkryją, że go opróżniono. Niektórzy z nich będą mieli broń pod ręką, rzecz jasna. Skupimy się na tych właśnie, rozbroimy ich, a potem ruszymy do zbrojowni, gdzie będzie się tłoczyć cała reszta.

– Jak kaczki na talerzu – uśmiechnął się Felix.

Clarke poczuła ucisk w sercu. Bellamy użył tych samych słów, gdy sprzeczali się o jego podejrzenia tuż przed świętem zbiorów. Być może teraz wyczuł jej ból, bo opuścił lufę broni i podszedł, by wziąć ją za rękę.

– Kiedy już ich unieszkodliwimy, odnajdziemy przyjaciół i zabierzemy ich do domu – ciągnął. – Kto wie, może uda się odzyskać nieco zapasów, które nam ukradli.

Paul parsknął. – Są tylko trzy problemy. To jest trudny przeciwnik, twierdza jest śmiertelną pułapką. A, no i… oczywiście, wszyscy zginiecie.

– Zabawne, że używasz słowa „wy", jakbyś się z nami nie wybierał – rzekła Jessa, kierując na niego lufę swojej strzelby. Paul zbladł jak papier.

– Clarke, zdajesz sobie sprawę, że to szaleństwo, prawda? – Popatrzył na nią błagalnie.

– Cóż – odparła powoli – owszem, ten plan jest dosyć bezczelny, ryzykowny i powstał pod wpływem impulsu… – Bellamy zaczął się lekko rumienić. – Lecz jest także mądry i odważny. Zawiera w sobie wszystko, co kocham najbardziej. – Uśmiechnęła się do Bellamy'ego. – Prowadź nas, doradco.

ROZDZIAŁ 27

WELLS

Głowy opiekunów odwracały się za Wellsem, gdy szedł korytarzami Głazu. Lecz nie było w ich oczach podejrzliwości – raczej aprobata.

Wieści szybko się rozeszły. Dąb o to zadbał. W żyłach chłopaka pulsował gniew.

Zamiast iść wprost do koszar, Dąb zaprowadził Wellsa do sali jadalnej.

– Jest już po kolacji, ale Soren wie, że minął cię posiłek, więc coś ci zostawiliśmy.

Ku swojemu zaskoczeniu ujrzał Octavię czekającą ze srebrną tacą.

– Przysłano mnie tu z jedzeniem dla… – Skinęła brodą w stronę chłopaka.

– Jedz, synu – powiedział Dąb, prowadząc go do stołu. Poklepał go po ramieniu i poszedł pogawędzić z paroma opiekunami siedzącymi w kącie sali, dając Wellsowi i Octavii chwilę sam na sam. To był kolejny znak zaufania.

– Glass kazała mi cię znaleźć – powiedziała Octavia szybko i cicho, rzucając za siebie ostrożne spojrzenie. Nikt ich nie obserwował. – Dowiedziała się paru rzeczy o tej ceremonii parowania. To jest coś paskudnego, Wells. Musimy stąd uciekać. Nie lubię się do tego przyznawać, ale… ale się boję.

– Wiem – odparł. – Ci ludzie to potwory. Ale słuchaj, mam plan. Zapędzą do tej ceremonii wszystkich rekrutów i rekrutki naraz, prawda?

Przytaknęła, wolno stawiając przed nim pełny talerz.

– Tak. Glass powiada, że to będzie w Sercu Głazu.

– Za to nie wszyscy opiekunowie będą przy tym asystować – ciągnął Wells. – Niektórzy zostaną na warcie. Założę się, że liczba rekrutów przeważy liczbę opiekunów obecnych podczas tego rytuału.

Octavia omiotła salę szybkim spojrzeniem.

– Mówisz, że… myślisz, że będziemy mieli przewagę liczebną?

Kiwnął głową. – Na to liczę. Jeśli uda nam się przekonać wszystkich pozostałych, żeby powstali przeciw opiekunom…

– Zyskalibyśmy szansę – weszła mu w słowo Octavia; oczy jej lśniły, twarz zaróżowiła się od nadziei.

– Rozpuść wici wśród dziewcząt, którym ufasz. Powiedz im, żeby były gotowe do ucieczki, ale zadbaj, by nie wzbudzały podejrzeń. Zrobię to samo wśród chłopaków. Nie chcemy, żeby nasi nadzorcy doszli do wniosku, że w trakcie ceremonii należy nas wyjątkowo pilnować; chcemy, by myśleli, że się na wszystko zgadzamy. – Przerwał i zaczął się zastanawiać. – Daj znać Glass, jeśli zdołasz. I jak tam z tymi łodziami? Poradzimy sobie, jak już się do nich dostaniemy?

– O, myślę, że na pewno. Ostatnio ćwiczyłam się w wiosłowaniu.

Wellsowi opadła szczęka. – Co?

– Przekonałam kobietę, która pilnuje mnie przy praniu, że powinniśmy czyścić także łodzie, skoro dotykają naszej cennej rzeki. Odtąd regularnie posyła mnie do ich szorowania, a jak tylko opiekunowie się odwrócą, łapię za wiosła i trenuję.

Pokręcił głową, uśmiechając się przy tym.

– Jesteś niesamowita.

Wzruszyła ramionami, szczerząc się w uśmiechu. – Miewam swoje momenty. – Złapała tacę i odeszła szybkim krokiem.

Po posiłku Dąb odprowadził Wellsa do jego kwatery. Przez całą drogę gadał monotonnym głosem:

– Matka powiada, że zapuścisz tu korzenie. Ale to jeszcze nie koniec naszego dzieła. Wyruszymy wzdłuż wybrzeża. Być może są tam jeszcze jakieś osady. Znajdziemy je. Założymy więcej takich fortec jak ta, aż nie zostanie na Ziemi nikt prócz nas, jeśli taka Jej wola.

– Jeśli taka Jej wola – powtórzył Wells z przekąsem, lecz starszy mężczyzna tego nie dostrzegł.

Klepnął chłopaka po plecach. – A ty się do tego przyczynisz, chłopcze. Teraz się sprawdziłeś. Będziesz naprawdę pożyteczny, ja się na tym znam.

– Doceniam to, Dębie – odrzekł Wells mrocznie.

Byli już przy koszarach, gdy zauważył dwóch nadzorców, którzy zaledwie kilka godzin temu wlekli go do piwnicy na przesłuchanie. Teraz rozpromienili się w uśmiechach i poklepali go po ramieniu.

– Słyszeliśmy, że złożyłeś dziś swoją pierwszą ofiarę – powiedział jeden z nich. – Dobra Ziemio! Witaj w naszej owczarni.

Wells jakimś cudem wycisnął podziękowanie przez zaciśnięte wargi. Czyżby tak ci ludzie nazywali morderstwa, których się dopuszczali? Ofiarą?

Dąb otworzył drzwi do baraku i puścił go przodem, a potem pomógł mu wejść do klatki. Wszyscy inni chłopcy już spali.

– Odpocznij, synu – polecił mu, obracając klucz w zamku. – Jutro o świcie oficjalnie zostaniesz mianowany opiekunem; będzie ci wtedy potrzebne dużo energii. Niedługo po ciebie przyjdziemy.

Gdy mężczyzna wyszedł, Wells zwinął się w kłębek na swoim posłaniu.

– Eric! – szepnął.

Eric nie odpowiedział. Z równego rytmu oddechów można było wysnuć wniosek, że śpi twardo.

Wellsowi ścisnął się żołądek. Skoro nie zdołał porozmawiać z chłopakami jeszcze dziś, to będzie musiał to zrobić jutro o poranku. Oby starczyło mu czasu.

Drzwi otworzyły się na oścież.

– Pobudka, rekruci! – zawołał Dąb wesoło. Przeszedł wzdłuż rzędu klatek, otwierając je wszystkie. – Zaraz wstanie słońce. Ubierajcie się, bo za chwilę po was przyjdziemy. Zostaniecie dziś opiekunami, jeśli taka Ziemi wola.

Dąb poszedł sobie; chłopcy powyłazili z klatek. Wells próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Erikiem i Kitem, lecz tamci odwrócili szybko głowy.

Młody rekrut (jeden z tych, którzy byli z nim wtedy na farmie) zerknął na Wellsa nerwowo. – Słyszeliśmy, że zabiłeś Grahama.

A więc to dlatego unikali jego wzroku. Nie byli pewni, czy mogą mu ufać.

– Nie zrobiłem tego – oznajmił Wells. – Graham zastrzelił się sam, by nas ocalić.

Wstrzymał oddech. Po zatłoczonym baraku przeleciał szmer stłumionych głosów.

Wells wyszedł na środek. – Graham chciał tylko wrócić do domu, do swoich, ale zamiast tego zginął jako bohater.

Napięty jak cięciwa łuku, patrzył na dwunastu rekrutów spoza ich obozu, oceniając oddźwięk swoich słów. Wymieniali nerwowe spojrzenia; pod tą odruchową reakcją dostrzegał niepewność.

Widział, jak w niektórych budzi się iskra nadziei.

Podszedł do młodego rekruta z farmy. – Jak masz na imię? – spytał.

– Cob – odparł chłopiec z oczami rozszerzonymi obawą.

– Cob – powtórzył Wells, uśmiechając się łagodnie. – Ja jestem Wells. Skąd pochodzisz, Cob?

Wszyscy wstrzymali oddech. Wells wiedział dobrze, że to pytanie było tabu; swoją indywidualną przeszłość mieli przecież zostawić w rzece.

– Jestem… stąd – wybąkał Cob. – Z Głazu.

Wells cierpliwie pokręcił głową.

– A przedtem?

Cob zbladł i zaczerpnął powietrza.

– Pochodzę… z gór.

– Opowiedz mi o tym.

– Jest taka mała… – Zwiesił głowę. – Była taka mała osada w dolinie, jakiś tydzień drogi stąd. Opiekunowie trafili na nią przypadkiem, idąc tutaj. Zabrali mnie ze sobą. Mieliśmy owce i kozy. Moja mama zajmowała się wełną, a mój tato… mój tato… – Głos mu się załamał, przygnieciony wspomnieniami wszystkiego, co utracił. Pokręcił głową; oczy miał pełne łez.

Wells położył mu dłoń na ramieniu i podszedł z kolei do krępego chłopaka, nieco starszego od reszty.

– A ty?

– Spłukaliśmy takie wspomnienia w rzece – odparł tamten z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Wells kiwnął głową i się zamyślił. Być może miał do czynienia z wiernym wyznawcą, a może po prostu z człowiekiem ostrożnym. Powietrze w baraku było gęste od strachu, wyczuwał to. Starszy rekrut patrzył na niego podejrzliwie.

– Mój dom – powiedział Wells podniesionym głosem – znajduje się o parę dni stąd na zachód. To obóz, który setki z nas budowały własnymi rękami, własnym potem i krwią po awaryjnym lądowaniu na tej planecie. Ciężko pracowaliśmy na to, by móc ją nazywać domem… i niech mnie diabli, jeśli pozwolę, by to wspomnienie spłynęło w rzece tylko dlatego, że banda morderców twierdzi, iż „taka Ziemi wola”. –

Zrobił palcami znak cudzysłowu; doczekał się kilku nerwowych śmieszków.

– Każdego ranka budzę się, myśląc, że jestem tam – ciągnął z łomoczącym sercem. – A kiedy przypominam sobie, co się stało z miejscem, które kocham, z ludźmi, których kocham, to jedyne, co daje mi siłę w ogóle stąd wyleźć – wskazał swoją pustą klatkę – jest myśl o zemście.

Kilku mężczyzn kiwało teraz głowami. Eric zerknął na Kita oczami lśniącymi nadzieją.

– Każdy z was na pewno ma na ten temat swoje zdanie – mówił coraz donośniej, spacerując tam i z powrotem wzdłuż szeregu chłopaków. – Ale powiem wam, co ja myślę. Myślę, że ta rzeka niczego z was nie spłukała. Że wciąż jesteście równie silni, równie pełni wściekłości jak zawsze. – Wskazał na zamknięte drzwi. – Nie mam pojęcia, czy oni w ogóle są jeszcze ludźmi. Ale my na pewno. Liczą się nasze wspomnienia. Nasze domy. Nasi bliscy.

Mężczyźni wstali jeden po drugim; twarze mieli jasne jak pochodnie, pełne gniewu.

– Nie chcę żyć ani sekundy dłużej jako jeden z nich! – zawołał Wells, a reszta odpowiedziała chóralnym okrzykiem. – Kiedy zawiodą nas do Serca Głazu, będziemy walczyć. To koniec naszego więzienia. Kto?…

Rozległ się ogłuszający, przenikliwy huk, który wstrząsnął murami, zakołysał posadzką, przeszył go aż do kości. Wells zatoczył się i upadł. Z sufitu spadły wielkie płaty tynku. Chłopcy, których eksplozja powaliła na ziemię, zaczęli wstawać, niepewnie łapiąc równowagę i gorączkowo rozglądając się dookoła.

– Co się dzieje? – krzyknął Eric.

„Ktoś właśnie wysadza te cholerne mury”, chciał odkrzyknąć Wells, ale nim ubrał to przypuszczenie w słowa, huknęło po raz drugi – tym razem gdzieś bliżej. Ściany wyglądały, jakby miały się na nich zawalić. Wells dźwignął się na nogi i chwiejnie podążył do drzwi. – Wynosimy się stąd! – krzyknął. Stanął przy drzwiach i pilnował, żeby wszyscy wysypali się na zewnątrz.

– Dokąd pójdziemy? – Cob chwycił go za rękę.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła podłogą; rozbrzmiały krzyki tak donośne, że Wells też musiał wrzeszczeć, by być słyszanym.

– A może do domu? – ryknął do chłopca.

Cob uśmiechnął się od ucha do ucha. – To brzmi super!

ROZDZIAŁ 28

GLASS

Na świecie trwała ta najciemniejsza ze wszystkich godzina nocy, ta tuż przed świtem.

O świcie wydarzy się ceremonia parowania.

Margot potrząsała Glass tak długo, aż ją zbudziła; wtedy też przykazała jej zebrać pozostałe rekrutki.

Dziewczyna wyszła więc z łóżka. Gdy naciągała białą sukienkę i splatała warkocz, kolana jej drżały.

To nie tak powinno być. Wells miał do tej pory ułożyć jakiś plan ucieczki. Czyżby Octavia nie zdołała go powiadomić? A może przyjaciele postanowili wyruszyć bez niej? Żołądek miała jak wypełniony ołowiem, ciężki od strachu.

Dreptała mrocznymi korytarzami Głazu na wpół przytomna, jakby pogrążona w transie. Margot kroczyła o krok za nią. Dotarły do jaskini kobiet. Opiekunka przekręciła klucz w zamku i Glass weszła do środka. Ręce jej się trzęsły.

Wszystkie dziewczęta siedziały czujnie na posłaniach, schludnie ubrane i uczesane, gotowe na ceremonię. Glass spojrzała w oczy Octavii, lecz ta utrzymała obojętny wyraz twarzy i nic nie zdradziła.

– Już czas – powiedziała Glass. Dziewczęta wstały i wybiegły na zewnątrz; Octavia w przelocie uścisnęła jej rękę.

Margot stanęła na czele pochodu, Glass go zamykała. Szła równym krokiem, lecz jej oczy obiegały otoczenie; odnotowała w pamięci niszczejącą alejkę po lewej, jak i pełną zakrętów ścieżynę za kupą gruzu po prawej; gorączkowo szukała drogi wyjścia, sposobu ocalenia.

Nie było jeszcze za późno. Zamiast kontynuować pochód w stronę Serca, mogłaby zgarnąć dziewczyny i pobiec w przeciwnym kierunku. Dopaść zewnętrznej bramy. Tylko co potem?

Czy miałyby jakiekolwiek szanse z opiekunami strzegącymi wszystkich wyjść? A nawet jeśli udałoby im się przebić – czy była dość silna, by zadbać o przetrwanie całej grupy w obliczu nadchodzącej zimy? Kto wie, jakie jeszcze niebezpieczeństwa czaiły się za rogiem.

Glass stanęła w miejscu i przymknęła oczy. Była zdecydowana przestrzec młode kobiety przed tym, co je czeka. Ale nim wypowiedziała słowo, pojawiła się Octavia i chwyciła Glass za ramię; oczy błyszczały jej ostrzegawczo. Idąca daleko na przedzie Margot nie dostrzegła nic.

– Nie teraz – syknęła jej do ucha. – Wells ma plan. Wkrótce zacznie się dziać;

musimy tylko być gotowe do ucieczki.

Młodsza z dziewcząt sprawnie wsunęła się na swoje miejsce w szeregu. Zdumiona Glass popatrzyła na ich twarze; dostrzegła zaciśnięte wargi, wystraszone, lecz twarde spojrzenia. Wszystkie wiedziały.

Puściła oko do Octavii. Tamta kiwnęła głową, a potem uniosła podbródek i wbiła puste oczy w przestrzeń.

A zatem naprzód.

Glass szła i szła w akompaniamencie własnego przerażonego serca; szła do Serca Głazu.

Zawahała się dopiero, gdy wreszcie tam dotarły. To nie mogło być to samo miejsce. Może skręciła nie tam, gdzie trzeba. Glass znała już rozkład twierdzy; wszystkie zawiłości terenu wyryte zostały na zawsze w jej pamięci. Ale nie… to nie było możliwe.

W samym środku sadu wznosiła się groteskowa konstrukcja. Rodzaj altany pracowicie wzniesionej z kości – ludzkich kości. Na jej szczycie stała najwyższa opiekunka. Wyglądała jak istota wyższego rzędu – kapłanka czekająca, aż będzie jej dane pobłogosławić wiernych.

Oczy Soren prześlizgnęły się po biało ubranych dziewczętach i padły na Glass; znów została obdarzona tym pełnym miłości uśmiechem, który jeszcze niedawno sprawił, że dziewczyna czuła się ważna, upragniona i kochana. Ale teraz widziała ukrytą za nim prawdę. Łagodny, matczyny sposób bycia Soren służył jako parawan dla faktu, że wszystkim podwładnym zafundowała pranie mózgu. Ten urok i ciepło były w stanie przekonać ludzi, że coś tak potwornego jak ceremonia parowania jest rzeczą dobrą i naturalną.

Glass rozpaczliwie wypatrywała Wellsa; tymczasem Soren zaczęła mówić. Jak dotąd do Serca Głazu sprowadzono same dziewczęta.

– Moje dzieci. Witajcie. Stoję dziś na kościach, które niegdyś spoczywały zagrzebane w Ziemi, kościach samolubnych biorców, których chciwość ściągnęła na Nią kataklizm. Naszym obowiązkiem jako opiekunów jest usuwanie takich szkodników z Jej oblicza. Ceremonia parowania stanowi zaś naszą obietnicę względem Ziemi; odprawiamy ją, depcząc po tych kościach, abyśmy pamiętali, że stworzyliśmy lepsze, mądrzejsze społeczeństwo. Ziemia nam was podarowała, a teraz wy musicie darować Jej, sadząc ziarna, które…

Glass ledwie słyszała tę przemowę – tak mocno waliło jej serce. Zerknęła na prawo; Octavia stała na palcach stóp, gotowa do biegu.

Glass przymknęła oczy i wyobraziła sobie najprostszą drogę wyjścia. Na zachód, potem na południe i prosto wąską, postrzępioną ścieżką, potem na pola… musiała tylko poczekać, aż…

Ziemią wstrząsnął donośny, ostry huk. Zagłuszył słowa Soren i myśli dziewczyny.

Gdy Glass ponownie otworzyła oczy, podłoże drżało pod jej stopami. Wiedziała aż za dobrze, co to oznacza. Eksplozja… taka, która niszczy wszystko na swej drodze. Zupełnie jak te, co zrujnowały jej obóz.

Ale twarze opiekunów zdradzały, że tym razem nie oni byli jej sprawcami.

Rozległ się drugi wybuch; oba dochodziły gdzieś od zewnętrznych murów twierdzy. Sądząc po tym, jak drżał grunt, spoistość całej tej budowli stała pod znakiem zapytania. I nie tylko ziemia się trzęsła – altana również; kilka luźnych kości oderwało się od kopuły i poleciało na bok.

– Cofnijcie się! – krzyknęła Glass do dziewcząt, popychając je w stronę wyjścia z dziedzińca.

Soren przez moment wyglądała na zaskoczoną. Potem głowa okręciła jej się na szyi jak na sprężynie i zawołała do swoich doradczyń:

– Znajdźcie mężczyzn i biegnijcie do zbrojowni!

Kobiety w szarości bez słowa rozbiegły się na wszystkie strony.

Soren zaczęła ostrożnie schodzić z konstrukcji, lecz nagle noga wpadła jej w szczelinę. Wydźwignęła się z niej z wysiłkiem i wyciągnęła dłoń do Glass.

– Pomóż mi… szybko!

Dziewczyna odwróciła się do swoich towarzyszek i zaczęła szybko, gorączkowo mówić:

– Biegnijcie na zachód, w stronę wody. Alejami, te mury są grubsze, tak łatwo się nie pozawalają.

– Glass! – przyzywała ją Soren.

– Idźcie już! – Glass zignorowała nieme pytanie w oczach Octavii i Anny: czemu ona tu zostaje?… A potem odwróciła się do Soren, błagającej o pomoc, podczas gdy kolejna eksplozja zdawała się spychać planetę z jej naturalnej osi.

Altana nie wytrzymała tylu wstrząsów. Cała olbrzymia konstrukcja zafalowała i rozpadła się, miażdżąc wszystko na swej drodze.

Soren także.

W powietrze wzbił się obłok kurzu. Glass zakaszlała, zakrywając oczy; słyszała tupot nóg odbiegających dziewcząt krzykiem przekazujących sobie jej instrukcje. Postąpiła kilka niepewnych kroków naprzód, mrużąc oczy w powietrzu gęstym od pyłu.

Gdy kurz opadł, dojrzała sylwetkę ludzką zagrzebaną pod czymś, co stanowiło już tylko luźną stertę kości. Dostrzegła otwarte, żywe oczy, wyciągniętą rękę.

Najwyższa opiekunka tkwiła pod resztkami altany.

– Wyciągnij mnie stąd! – Głos starszej kobiety utracił cały spokój. – Glass, musisz mi pomóc.

Wezwana podkradła się o krok bliżej, mierząc spojrzeniem najbliższy mur. Poprzedni wybuch wytrącił z niego solidną żeliwną podporę, która teraz chwiała się swobodnie i złowieszczo. Wystarczyłby mocniejszy powiew wiatru, by to żelastwo zwaliło się na nie obie.

– Nie patrz na to, na mnie patrz! – domagała się Soren, tak mocno próbując utrzymać swój dawny, słodki, kojący ton, że Glass stanęła jak wryta z obrzydzenia. Starsza kobieta błysnęła ku niej uśmiechem, lecz oczy miała jak sztylety.

Glass jeszcze raz zerknęła na metalową podporę, wahając się mocno. Przez moment wyobraziła sobie, jak rzuca się szczupakiem naprzód, wyciąga Soren spod sterty kości i odpycha ją na bok, ratując przed śmiercią pod spadającą z hukiem

żelazną podporą. A potem przypomniała sobie coś innego. Pamięć przywołała jej obraz matki zasłaniającej ją własnym ciałem, błagającej, by oszczędzono jej córkę. Zginęła za to.

– Błagam cię, dziecko moje – zaczęła Soren.

– Nie jestem twoim dzieckiem – odparowała Glass, z niesmakiem kręcąc głową. – Nikt z nas nim nie jest.

Soren zacisnęła wargi; całe ciepło wyparowało z niej w mgnieniu oka.

Glass cofnęła się o parę kroków.

– Nigdy nie miałaś matki, co? Takiej prawdziwej.

Soren zamknęła oczy i milczała.

Jeszcze jeden krok wstecz.

– Cóż, a ja miałam. Kiedyś. Czy wiesz, co matki robią tam na zewnątrz, w prawdziwym świecie? Chronią swoje potomstwo. – Glass poczuła, jak opuszczają ją wezbrane emocje. Wspomniała swoją osadę, swój obóz, wóz, którym ją wieźli, i tę stęchłą dziurę pełną cierpiących więźniów, a wszystko to powtarzane wciąż i wciąż, pokolenie za pokoleniem. – Ty robisz wręcz przeciwnie, Soren. Manipulujesz ludźmi, by uzyskać to, co chcesz. Zamiast chronić swoje dzieci, składasz je w ofierze podczas tej okropnej ceremonii. Nie jesteś żadną matką. – Wzruszyła ramionami. – Jesteś pasożytem.

Kolejny wybuch wstrząsnął wschodnią połacią murów. Ziemia pod stopami Glass zafalowała.

– Umrę, jeśli mnie tu zostawisz! – krzyknęła Soren zamierającym głosem.

Glass zagryzła wargi, stłumiła napierające łzy – oraz chęć, by mimo wszystko zawrócić.

– Tylko jeśli taka Ziemi wola – oznajmiła.

„Na zachód, alejami”, powiedziała sobie w myślach i zaczęła biec.

„Na zewnątrz, na pola, a potem biegnij, biegnij, biegnij”.

Za jej plecami rozległ się straszny, przenikliwy metaliczny dźwięk. Podpora wreszcie spadła.

Glass usłyszała wrzask Soren.

Serce jej pękło, mimo wszystko. Ale nie ustała w biegu.

ROZDZIAŁ 29

CLARKE

Wstrzymała oddech, patrząc, jak wzdłuż masywnego zewnętrznego muru eksploduje ostatni granat; ostre pomarańczowe światło zakłuło ją w oczy. Od huku cała się wzdrygała – jak przy poprzednich trzech wybuchach.

Stojący tuż obok Bellamy wydał z siebie podekscytowany okrzyk, a Luke kołysał się na piętach, uśmiechając się z ulgą. Cztery udane detonacje. Teraz pozostało tylko atakować.

Clarke wystawiła głowę zza sterty gruzu, patrząc, jak Felix, Jessa i Vale wbiegają w ziejące otwory wyrwane w murze. Paul został w obozie – okazał się podszyty tchórzem.

Luke zaczął już wstawać, lecz Bellamy powstrzymał go gestem. – Czekajmy, aż Felix da znać, że droga wolna.

Clarke przywarła do nadkruszonych pustaków, wpatrując się uparcie w otwory, w których zniknęli jej towarzysze. Nagle wzdrygnęła się, słysząc suchy klekot kanonady; przebijał się nawet przez łomot walącego się budynku oraz huk płomieni. „Proszę, niech to nasi strzelają!”, błagała w duchu, zaciskając palce na kolbie pistoletu. Na wszelki wypadek.

W oddali wyłonił się Felix machający zapaloną pochodnią. Zerknął za siebie i dał susa z powrotem.

Bellamy syknął: – To nasz znak. Wchodzimy.

Przebiegli po stercie gruzu, która dotąd ich osłaniała. Clarke pędziła, aż rozbolały ją płuca; gdy weszli w obszar dymu z eksplozji, osłoniła twarz ramieniem. Starała się nie patrzeć na budynek, w jakiś sposób jeszcze groźniejszy teraz, gdy całkiem dosłownie drżał w posadach. Muszą załatwić to w try miga albo te walące się mury ich pogrzebią.

Odwiodła kurek i weszła do środka; krew w niej buzowała, oczy nerwowo zerkały na wszystkie strony. Bellamy prowadził, a Luke osłaniał ich z boku. Wszyscy byli oszołomieni widokiem, który zastali. Przypominał on zbombardowane miasto. Clarke nie znała się na wybuchach i nie mogła wiedzieć, które ze szkód spowodowały granaty, a które nastąpiły dość dawno temu. Lecz wyglądało na to, że plan Luke’a powiódł się znakomicie. Aż za dobrze.

Mury się chwiały, odpadały od nich pomniejsze fragmenty, cała budowla wydawała z siebie głęboki, metaliczny jęk.

– Biegnijcie po naszych, zanim to wszystko spadnie nam na głowy! – powiedziała,

wskazując w przeciwnym kierunku. – Ja zgarnę Felixa, Jessę i Vale. Pójdziemy do tej zbrojowni.

Luke ruszył raźno, niewątpliwie myśląc o Glass uwięzionej gdzieś w tym budynku; Bellamy wahał się przez krótki, bolesny moment, ale potem pobiegł za nim.

Clarke wzięła się w garść i już miała iść po dziewczyny, gdy wtem zza rogu wypadła wataha biało ubranych mężczyzn. Uniosła broń, celując w najwyższego z biegnących w jej kierunku. Nagle jeden z nich się odwrócił… i Clarke omal nie upuściła pistoletu prosto w gruz.

To był Wells.

Również wyglądał na wstrząśniętego jej obecnością. Ale pozbierał się szybko, skoczył ku niej pięcioma długimi susami – i objął dziewczynę mocno.

– Nic ci nie jest! – powiedziała, taksując go pełnym ulgi spojrzeniem.

– Nic – potwierdził, ocierając pot z czoła.

– Jak tam Eric?

Wskazał na wysoką postać, której omal nie postrzeliła. – Ma się dobrze.

– Graham?

Wells pokręcił głową; w oczach zabłysł mu ból.

Clarke zerknęła w kierunku pozostałych.

– A oni to…?

– To nasi – powiedział. – Albo chcą nimi zostać. Wszystko ci wyjaśnię.

Z góry doszedł ich głuchy pomruk. W murze, pod którym stali, pojawiła się głęboka rysa. Clarke odciągnęła Wellsa za łokieć.

– Wyjaśniaj na zewnątrz! – krzyknęła, starając się przebić przez ogólny zgiełk. – Musimy stąd wyjść, nim wszystko się zawali.

Wybiegli przez dziury wybite granatami. Podczas gdy oddalali się od groźnej budowli, Wells opowiedział Clarke, jak zjednał sobie pozostałych rekrutów. Mieli podnieść bunt podczas porannego zgromadzenia, ale wybuchł pierwszy granat i plan stracił znaczenie.

– A jaki był wasz plan? – spytał, patrząc, jak wali się główne wejście do fortecy. – Zamierzaliście wysadzić całą tę budowlę wraz z nami?

– Nie, mieliśmy zniszczyć tylko zewnętrzne mury. – Clarke się wzdrygnęła. – Żebyśmy mogli wejść i was uratować. Nikt nie przewidział, że fundamenty okażą się aż tak uszkodzone.

Wells zapatrzył się na zrujnowaną twierdzę z ponurym wyrazem twarzy. – Daliśmy po głowie tym, co nas pilnowali, i uciekliśmy, ale dziewczyny wciąż są w środku. Myślę, że reszta opiekunów pobiegła do zbrojowni. Nie oddadzą tego miejsca łatwo, Clarke. Musimy się szykować na bitwę.

– Och, szykujemy się na nią. – Uśmiechnęła się do niego. – A w zbrojowni spotka ich tylko przykra niespodzianka.

Pobiegła na skraj lasu, a Wells za nią. Leżała tu, ukryta pod liśćmi, skradziona broń.

Oczy Wellsa zrobiły się wielkie i okrągłe; zawołał swoich chłopaków. Każdy złapał po strzelbie. Jeśli opiekunowie chcą bitwy, będą ją mieli.

Wells wbił w fortecę zdeterminowane spojrzenie.

– Musimy pomóc dziewczętom się stamtąd wydostać. Chodźmy naokoło, do zachodniego muru; w nim jest drugie wejście. Możemy się przebić siłą, jeśli nadal go strzegą.

Clarke uśmiechnęła się pod nosem. Wells, którego znała – pewny siebie przywódca – powrócił.

– Prowadź.

Po zachodniej stronie panowała osobliwa cisza. Wartownicy opuścili swoje posterunki. Wells rzucił Clarke ostrzegawcze spojrzenie i pobiegł przodem, by się upewnić, że nikt na nich nie czyha – istotnie, nikt nie czyhał, zatem pomachał ręką, sygnalizując i jej, i reszcie, że mogą śmiało wkraczać.

– Którędy teraz? – spytała go, rozglądając się po mrocznych korytarzach. Ta część budowli nie wyglądała na zniszczoną, lecz w oddali słychać było głuche tąpnięcia. Zapadały się kolejne części muru. Nie mieli wiele czasu.

– Dziewczęta były pewnie w Sercu Głazu, więc… – Wells rozejrzał się dookoła, skinął głową na lewo. – Tędy.

Ale nim zdążyli posunąć się choć o krok dalej, usłyszeli harmider; gnał ku nim tłum ludzi. Clarke i reszta mocniej chwycili kolby broni, gotowi odpowiednio ich powitać.

Ku ich zaskoczeniu tłum okazał się złożony wyłącznie z dziewcząt. Wszystkie były ubrane na biało.

– Clarke! – wrzasnęła jedna z nich.

– Octavia?

Tak, to była właśnie ona – równie pełna życia i energii co zawsze. W gardle Clarke wezbrał szloch wdzięczności. Rozłożyła szeroko ramiona; tamta skoczyła w nie jednym susem i objęła ją mocno. Te dziewczęta nie potrzebowały ratowania; one uratowały się same.

– Wyście to zrobili? – spytała Octavia, przechylając znacząco głowę w kierunku wschodniej, zrujnowanej części twierdzy. Podeszła zaraz do Wellsa i uścisnęła go krótko.

Clarke potaknęła.

Stojąca obok dziewczyna o kręconych włosach spojrzała na nią z zachwytem i oznajmiła: – Twardziele.

– Clarke, to Anna, Anno, to jest Clarke… – Octavia machnęła ręką. – Może resztę prezentacji przełożymy na później, co? Jak już uciekniemy?

– Dobry pomysł – odparła Clarke, podbiegając, by dorównać im kroku. – Gdzie jest Glass?

– Nie wiem – wydyszała Octavia. – Ale zna plan. Znajdziemy ją jakoś.

Wells podprowadził je wszystkie z powrotem do wyjścia, lecz nagle ktoś znienacka chwycił Clarke i brutalnie szarpnął ją w tył. Tętno jej skoczyło z przerażenia.

Została ciśnięta na posadzkę. Stała nad nią jasnowłosa kobieta w szarej sukni;

w oczach miała nieludzki szał. Unosiła nad głową sztylet… i mierzyła prosto w szyję swojej ofiary.

Znienacka w twarz agresorki wbiła się czyjaś pięść. Blondwłosa zachłysnęła się, zwolniła uchwyt, huknęła głową w kamienną ścianę i osunęła się bezwładnie. Clarke spojrzała w górę; to była Octavia. Stała i krzywiła usta, obejmując krwawiącą pięść zdrową dłonią.

Anna wyszczerzyła się od ucha do ucha. – Nie macie pojęcia, jak długo się na to szykowała.

– Czy to jedna z przywódczyń? – spytała Clarke, dźwigając się na nogi. – Może powinniśmy ją zabrać… użyć w negocjacjach…

– Rozejmu? – podrzucił Wells mrocznym tonem.

– Czemu nie? – Zgarnęła brud z twarzy. – Nie mają żadnej broni. Mamy pełną przewagę – powiedziała, wpatrując się w oczy Wellsa.

– Dobra – odparł. – Bierzmy ją.

Przeszli może z dziesięć kroków w kierunku wyjścia, gdy rozległo się dzikie, gardłowe wycie dochodzące ze stanowczo zbyt wielu gardeł naraz.

Dwie sekundy później zza rogu wybiegły znajome sylwetki: Bellamy, Luke, Felix, Vale i Jessa. Oczy chłopaka rozszerzyły się na widok Clarke i błysnęły ulgą, gdy dojrzał Octavię, ale miał im do powiedzenia tylko jedno:

– Biegiem!

Clarke odwróciła się więc i pobiegła wraz z innymi. Właśnie wschodziło słońce, zalewając okolicę ognistą poświatą. Budowla za ich plecami również błyskała czerwienią i oranżem pożarów. Tłum uciekinierów nie zwolnił kroku, aż dojrzeli w bliskiej odległości błysk i ruch. Woda. Dopadli brzegu rzeki.

Clarke cofnęła się kilka kroków, aż stanęła ramię w ramię z Bellamym, i odwiodła kurek pistoletu, szykując się na ostatnie starcie. Z twierdzy, rycząc dziko, wypadł tłum ludzi w bieli. Nie było już ucieczki.

Nie było też mowy o kolejnej pomyłce – tym razem to byli wrogowie. Clarke stała w pierwszym szeregu, patrząc na nacierających – niektórzy mieli strzelby, inni tylko kije i kamienie. Prowadziły ich trzy kobiety w szarych strojach. Co przypomniało Clarke…

Chwyciła tę jasnowłosą za fraki i zrobiła krok do przodu, przyciskając lufę do jej czoła.

– Stójcie! – krzyknęła. – Albo ona zginie.

Tamci zatrzymali się gwałtownie; trzy kobiety w szarym wyglądały jak oszalałe.

– Mamy całą waszą broń – ciągnęła Clarke. – Odbiliśmy waszych więźniów – a naszych bliskich. Wasza forteca się rozpada. Jesteście w mniejszości i nie macie szans na wygraną. Ale to nie musi skończyć się przemocą. Odejdźcie stąd. Odejdźcie gdzieś daleko i nigdy, przenigdy tu nie wracajcie.

Wszyscy, których miała za plecami, patrzyli w milczeniu, jak opiekunowie opuszczają lufy, odrzucają kamienie… Twarze im się zapadły. Wyglądali na… pokonanych.

Jedna z kobiet w szarej sukni zrobiła krok naprzód; oczy jej płonęły.

– Nie. Soren przyobiecała nam, że tu będzie nasz dom. Powiedziała, że taka jest wola Ziemi. Nie odejdziemy, dopóki Soren nam tego nie rozkaże.

Nim Clarke mogła odpowiedzieć, Anna szepnęła: – O, jak rany – wskazując na coś za jej ramieniem.

Z pozbawionego szyby okna wyczołgiwała się samotna postać w bieli; płomienie lizały jej plecy.

– Czy to Glass? – spytała Clarke, mrużąc oczy.

Wszyscy – ekspedycja ratunkowa, opiekuni i dawni więźniowie – obrócili się, patrząc, jak podchodzi chwiejnym krokiem – brudna i nieugięta.

– Soren… nie żyje! – krzyknęła.

ROZDZIAŁ 30

GLASS

Opiekunowie zebrali się pod zrujnowanym murem. Odłożyli na bok kamienie, ostre gałęzie, nawet strzelby. Oczy mieli zamglone i błędne. Wytrenowani wojownicy nagle stali się zagubieni i bezradni.

Bez Soren byli niczym.

A Glass i jej przyjaciele cieszyli się bezpieczeństwem. I wolnością.

Od strony fortecy zaleciał do nich ognisty podmuch. Glass wyobraziła sobie, jak ogień pożera wszystko na swej drodze, poczynając od przestrzeni, która kiedyś była sadem… Wciągnęła ze świstem powietrze i odwróciła się, kierując wzrok na wschodni brzeg rzeki.

Wschodziło słońce, dość jasne i promienne, by wyrugować z jej pamięci obraz płomieni.

Zamrugała kilka razy, aż wzrok jej się przyzwyczaił, zmieniając nadchodzącą z naprzeciwka mglistą sylwetkę w wysokiego młodzieńca… kogoś niezwykle, aż do bólu jej znajomego.

Otworzyła usta.

Uśmiechnął się; w gardle dziewczyny uwiązł szloch.

Dotknęła swojej twarzy, upewniając się najpierw, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że oto stoi tu żywa, przytomna i naprawdę widzi go przed sobą… Potem dotknęła jego policzka, ostrożnie, samymi koniuszkami palców, jakby się bała, że go stłucze.

Nie był halucynacją. Był namacalny, miał puls i nieco drżący oddech. Przebiegła palcami po jego ustach, szyi, klatce piersiowej.

Dopiero wtedy odważyła się powiedzieć:

– Luke.

Oczy wypełniły jej się łzami. Chłopak się uśmiechnął. Objęła go za szyję i pocałowała; strach roztopił się jak lód wiosną, zastąpiony przez zachwyt i wszechogarniającą wdzięczność.

– Jesteś zziębnięta – odezwał się akurat w chwili, gdy ona myślała, jak rozkosznie jest ciepły. – Odsunął się nieco, marszcząc brwi. – Wyjdziesz z tego?

Glass zaśmiała się, lekko oszołomiona. – Uwierz mi, ze mną wszystko jest w absolutnym porządku.

– No dobra, ludzie – rozległ się pewny siebie, męski głos. To był Paul, jeden ze strażników z obozu. – Wygląda na to, że ten ogień będzie się rozprzestrzeniać, tak że

lepiej zrobimy, jeśli pójdziemy wzdłuż rzeki.

Luke parsknął wesoło i wymienił z Bellamym kpiące spojrzenia. – Ten facet jest niereformowalny.

Clarke też się zaśmiała. – Niestety, tym razem ma rację. To co, ruszamy?

Pochód był zaskakująco cichy jak na jego liczebność; unosiła się nad nim atmosfera ulgi i nadziei.

Luke rozglądał się dookoła okrągłymi oczami.

– Skąd się wzięli ci wszyscy ludzie?

– Zewsząd – odparła Glass. Patrzyła na Annę i Octavię idące w towarzystwie kilku innych dziewcząt w bieli. – Niektórych porwano z ich własnych domów, jak nas, i przywleczono tutaj. Inni to koloniści z lądownika, który zboczył z kursu i rozbił się gdzieś w głuszy.

– Co? – Głowa Luke'a okręciła się jak na sprężynie. – Ktoś znajomy może? – Widziała, że myśli o przyjaciołach, których pozostawił na „Waldenie", by towarzyszyć Glass w wyprawie na planetę.

– Jak dotąd nie, ale wszystkich jeszcze nie poznałam.

Rozglądał się dookoła, wzdychając cicho, nikogo niestety nie rozpoznając.

Gdy wędrowali w ciszy wzdłuż zakrętu rzeki, natknęli się na jeszcze jednego, ostatniego opiekuna, wpatrującego się w nich pustymi oczami.

Wells zadrżał i zmylił krok.

– Znasz go? – spytała Glass.

Skinął głową. – Owszem. To Dąb, był moim instruktorem.

Po długiej chwili Dąb odwrócił się i pokuśtykał w stronę Głazu.

– Oni się przegrupują – zaczął Luke nerwowym tonem. – Powinniśmy się spodziewać kłopotów, jak tylko zaczniemy podróż na zachód…

– Wątpię – przerwała mu Glass. – Nikt już nimi nie dowodzi. Nauczenie się, jak myśleć samodzielnie, zajmie im więcej niż parę godzin. Będą musieli jakoś przedostać się do innych opiekunów, a tu w okolicy żadnych innych nie ma, o ile wiem. Nie sądzę, żebyśmy jeszcze kiedykolwiek musieli się nimi martwić. – Urwała, porządkując doświadczenia. – Te eksplozje. To byliście wy?

Luke rozpromienił się w uśmiechu, a zaraz potem zmarszczył brew. – Nie była to moja najlepsza robota. Mieliśmy tylko godzinę na rozmieszczenie materiałów wybuchowych i wcale się porządnie nie przyjrzałem fundamentom…

– Ocaliłeś całe mnóstwo ludzi, Luke – powiedziała cicho, ściskając jego ramię.

– Cieszę się. Ale, szczerze mówiąc… – przygarnął ją do siebie. – Myślałem o uratowaniu tylko jednej jedynej osoby. Nie spodziewałem się, że zniszczenia będą tak rozległe, Glass. Gdybyś nie wyszła z tego żywa… Nie wiem, co bym zrobił.

– Nie myśl o tym – odparła szybko, odsuwając mu niesforny lok z czoła. – Zrobiłeś to, co należało zrobić. A teraz… patrz w przyszłość.

Spojrzenie Luke'a stało się nieobecne, gdy wybiegł wyobraźnią w przyszłość. Serce w Glass zabiło na ten znajomy, kochany widok. Tak dobrze było znowu być przy jego boku.

– Za następnym zakrętem rzeki skręćmy w las i rozłóżmy obóz. Taki dobrze

strzeżony. Rozpalimy ogień, ogrzejemy tych ludzi.

Glass uśmiechnęła się aprobująco, lecz Luke nie przestawał analizować.

– A potem, jutro – możemy wyruszyć na zachód, w stronę domu. – Pokręcił głową i spojrzał jej prosto w oczy. – Ale co zrobi cała reszta?

– Wrócą każdy do siebie. Tak myślę. Albo zbudują sobie nowy dom. – Uniosła jego dłoń do ust. – Ty dałeś im na to szansę.

Luke skinął głową Wellsowi idącemu daleko na przedzie; tamten odpowiedział kiwnięciem i wskazał na zachód.

Gdy dotarli do kolejnego zakrętu rzeki, Glass uświadomiła sobie, że nie jest pewna, co zastanie po powrocie. Czy obóz został wypalony do gołej ziemi? A może koloniści go obronili? Tak czy owak, czekało ich wszystkich sporo pracy przy odbudowie. A ona zrobi, co w jej mocy, żeby się przyłożyć do wspólnego dzieła. Uczyni Ziemię swoim domem.

Glass stała nad brzegiem wartkiego nurtu i patrzyła w poranne niebo, szukając na nim maleńkiego światełka – miejsca, w którym kiedyś żyli.

„Dziękuję”, zawołała bezgłośnie; z oczu popłynęły jej łzy. „Udało mi się, mamo. Wciąż tu jestem. Żyję. I nigdy nie przestanę ci za to dziękować”.

ROZDZIAŁ 31

BELLAMY

Trzeba było porąbać drwa na ognisko i upolować coś na obiad dla przyjaciół oraz nowych sprzymierzeńców; ale jeśli o Bellamy'ego chodziło, jedno i drugie mogło zaczekać. Jego mała siostrzyczka właśnie opowiadała mu o swojej dziewczynie.

– Jest z „Waldena", może ją kiedyś spotkałeś, ja nie, ale jest tak, jakbyśmy się znały od zawsze… – Octavia zarumieniła się pod kolor swojej wstążki. – Jest po prostu niesamowicie zabawna. Nawet przy tym wszystkim, co się tam działo, ona zawsze potrafiła znaleźć jakiś powód do śmiechu…

Bellamy też się uśmiechał, nie tylko z powodu entuzjazmu Octavii. Sam prosty fakt, że tu była, stała tuż przed nim, bezpieczna – i bardziej przejęta poznaniem Anny niż czymkolwiek innym, co się jej przytrafiło w tym tygodniu.

Octavia doświadczyła w życiu rzeczy, które złamałyby kogoś słabszego. Lecz ona była giętka, a zarazem odporna niczym stal. Jak zwykle podziwiał ją do granic bałwochwalstwa. Pochylił głowę, zachęcając ją, by kontynuowała.

– A do tego jest niezła w wynalazkach! Ma niesamowity mózg, mówię ci. Na statku przyuczała się do pracy przy systemach kanalizacji, a teraz robi z Lukiem pochodnie i tak sobie myślę, że jeśli tych dwoje zacznie rozmawiać, wymieniać pomysły, to ona naprawdę będzie miała duży wkład… Co?

Oparła ręce na biodrach. Wreszcie dostrzegła rozbawienie brata – i odczytała to błędnie.

Bellamy zaśmiał się serdecznie, rozkładając ręce.

– Przekonałaś mnie! Twoja dziewczyna niewątpliwie jest niezwykła i najwspanialsza, a ty masz na jej punkcie kompletnego bzika.

Octavia przygryzła wargę i zapatrzyła się w czubki butów.

– Wcale nie wiem, czy jest moją dziewczyną.

Bellamy uniósł kpiąco brew. – Chcesz wciąż zgłębiać uroki singielstwa?

Uśmiechnęła się lekko. – Nie, po prostu jeszcze jej o to nie spytałam.

– No to na co czekasz – powiedział, trącając Octavię w ramię. – Poważnie, pędź i zrób to. Zaraz. Nic tu na dole nie jest gwarantowane. Trzeba chwytać szanse, póki się je ma.

Zaczerpnęła powietrza, nagle zdenerwowana. – Naprawdę myślę, że ją polubisz.

Bellamy nigdy nie widział swej małej siostry tak zestresowanej. Przytulił ją i powiedział: – No pewnie, że ją polubię.

Octavia obdarzyła go lśniącym spojrzeniem, a potem pobiegła po piasku szukać

Anny. Bellamy patrzył, jak pędzi w podskokach; jego wzrok padł na prowizoryczny biwak, a potem na Clarke.

Kucała przy ognisku, opatrując uciekiniera, który ucierpiał od spadającej belki. Wyglądała przy tym na tak zdeterminowaną, a jednocześnie odpowiedzialną i godną zaufania, że aż zabrakło mu tchu w piersi.

W tamtej chwili pojął, że jedyna przyszłość, która jest coś warta – to przyszłość u jej boku.

Z lasu wyszedł Wells. Niósł naręcze suchych gałęzi. Bellamy wrócił do rzeczywistości i wybiegł mu naprzeciw.

– Potrzebujesz pomocy?

Wells otarł czoło i odetchnął.

– Drewna mamy, ile trzeba, ale należy jeszcze przygotować posiłek z któregoś z tych zwierząt, które upolowałeś… Albo… ze wszystkich, które upolowałeś – dodał, patrząc na dość liczny tłum.

Bellamy wzruszył ramionami i uniósł kąciki ust w uśmiechu.

– Nie martw się. Jakoś sobie poradzimy.

– Dotąd sobie radziliśmy, co nie? – Wells pozwolił sobie na zmęczony uśmiech.

– I to jak – odparł Bellamy, klepiąc brata po łopatce. – Udało ci się przekonać tych wszystkich rekrutów i ocalić… ilu ludzi? Czterdziestu?

– Pięćdziesięciu czterech – odparł Wells cichym głosem. Podrapał się w policzek. – Policzyłem ich tak na szybko.

Bellamy pokiwał głową. – To całe mnóstwo ludzi. A wydostali się stamtąd dzięki tobie.

– Dzięki nam – odparł Wells, kładąc mu dłoń na ramieniu. Nagle twarz mu spoważniała, w oczach zalśnił ból.

– Co się dzieje? – zdziwił się Bellamy. – Coś nie tak?

– Grahama nie udało mi się uratować.

– Oni… go zabili? – spytał Bellamy chrapliwym głosem.

Był taki czas, że Wells miał wobec Grahama mordercze myśli; ale to było epokę temu. Graham ciężko pracował na to, by stać się pomocnym członkiem nowej społeczności; myśl o jego ciele, pozostawionym gdzieś w tej przeklętej fortecy, sprawiała Wellsowi zaskakująco dotkliwy ból.

Odetchnął. – On… poświęcił się, żeby nas uratować. Nigdy nie zrobiłem nic równie heroicznego.

Zamilkli obaj, a potem zaczęli patrzeć na rozproszonych w zieleni ludzi. Niektórzy grzali się przy ogniu, inni biedzili się nad przygotowaniami do dalszej podróży. Jeszcze inni spacerowali po lesie, widocznie wstrząśnięci świeżo zdobytą swobodą.

– Zastanawiam się, dokąd teraz pójdą – powiedział Wells.

Bellamy wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem… tam, gdzie pójdziesz ty.

Wells wyglądał bardziej na zamyślonego niż na zmartwionego.

– To będzie w porządku, prawda? Jeśli wrócą z nami?

– Jeśli o mnie chodzi, to im liczniej, tym weselej. Ale sam musisz zdecydować.

Wells pokręcił głową. – Jesteś przecież doradcą. Powiedz mi, co mam robić.

Więcej osób, które muszą jeść i gdzieś mieszkać. Ale co z tego, do diabła? Ta planeta była dość duża dla nich wszystkich. Po prostu będzie musiał na poważnie zacząć uczyć ludzi polowania.

Clarke stała teraz przy ognisku, otrzepując dłonie. Podszedł do niej. – Jak się mają? – spytał, wskazując pacjentów.

– Raczej w porządku. Niecierpliwią się, chcieliby już ruszać w drogę. Myślę, że im dalej się znajdziemy od tego… – wskazała nerwowo na południowy wschód – tym łatwiej będzie im wrócić do normy.

Bellamy napiął ramiona. Idąc wzdłuż brzegu rzeki, oddalili się od fortecy na dobrych kilka mil, ale wiedział, że dziewczyna ma słuszność. Im szybciej znajdą się w swoim własnym obozie, tym lepiej.

– Mamy pochodnie! – zawołała Octavia, nadbiegając z lasu wraz ze słynną Anną. Obie uśmiechały się od ucha do ucha, obie ramiona miały wyładowane omszałymi gałęziami okręconymi wilgotnymi szmatami.

– No więc tak, zdaję sobie sprawę, że teraz jest jasno – rzekła Anna zgryźliwym tonem, wpatrując się w zachmurzone poranne niebo. – Ale pomyślałam, że mogłyby nam się przydać, kiedy będziemy rozstawiać obóz na noc, bo nie wszyscy zmieszczą się wokół ogniska. – Wskazała na nie zamaszystym gestem, upuszczając wszystkie pochodnie. – Bellamy schylił się i pomógł jej je podnieść. – Ech, koordynacja! To nie jest coś, co należy do moich talentów.

Zaśmiał się. Już ją lubił.

Octavia zrobiła się buraczkowa i wybąkała pod nosem: – Więc, Bellamy, chciałabym ci przedstawić moją dziewczynę, Annę.

Uśmiechnął się do niej i podał jej rękę.

– Miło mi cię poznać, Anno. Cieszę się, że pójdziesz z nami.

Octavia chwyciła dłoń Anny w swoją, splotła jej palce ze swoimi. – Nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę cię do domu.

Słowo „dom” odbiło się echem w duszy chłopaka. Czekała ich dalsza podróż, ale on czuł się, jakby już był u celu. Dom jest tam, gdzie są bliscy. Po raz pierwszy od tygodnia byli tu wszyscy razem. Jego siostra, bezpieczna i szczęśliwa. Jego brat, który wreszcie był znowu sobą. I Clarke…

Bellamy uśmiechał się wolno, patrząc na nią. Zdał sobie sprawę, że właśnie zaliczył ją do rodziny.

Serce zaczęło mu bić mocniej. Podjął decyzję.

„Tym właśnie jest rodzina. To ludzie, o których się walczy. Ludzie, bez których nie potrafiłbyś żyć”.

Spojrzał na czekającą ich drogę. Wypełniała go świeża radość, nowy zachwyt.

„Mam coś do załatwienia”.

ROZDZIAŁ 32

WELLS

Niektórzy z nich mieli gorączkę, a wszyscy równo byli umazani błotem. I wycieńczeni… Lecz otóż i ono: rozdarte drzewo znaczące początek ścieżki do obozu.

Podróż z Głazu zajęła im dwa ciężkie dni, ale wrócili do domu.

Przede wszystkim zależało mu, by załatwić to szybko. Każdy członek wyprawy potrzebował ognia, posiłku i porządnego odpoczynku. Wells miał nadzieję, że znajdą te rzeczy właśnie tutaj, że nie okaże się, iż powrócili w sam środek chaosu i zniszczenia.

Za jego plecami rozległ się radosny okrzyk – to zakrzyknęli z radości Kit, Jessa i jeszcze paru Ziemian, widząc, że są już blisko. Wells sam się rozpromienił, ale spoważniał szybko i uniósł rękę.

– Powinniśmy zaczekać tutaj, a do obozu posłać zwiad – powiedział. – W obozie mają na pewno napięte nerwy po tym, co się tak niedawno wydarzyło, a nie każdego z naszej grupy znają.

Przyjrzał się grupie, którą prowadził. Więcej niż połowa była kompletnie obca. Kilku uciekinierów odłączyło się już wcześniej w poszukiwaniu własnych domów; pragnęli odzyskać to, co im zabrano. Inni woleli nowy start; ci przywędrowali z nim aż tu.

Wszystkich napędzała jednak ta sama nadzieja i nowo odnaleziona energia. Z popiołów Głazu powstała nowa, silna społeczność, jakiej opiekunowie nie byliby nigdy w stanie sobie wyobrazić.

Wells chwilę zastanawiał się w milczeniu. Wreszcie wskazał trójkę: Ziemianina, członkinię ekspedycji ratunkowej – i nowego.

– Kit, Clarke… i Cob. Chodźcie ze mną.

Kit i Clarke ruszyli bez wahania, lecz młodszy chłopiec rozejrzał się z niepewną miną.

Wells posłał mu zachęcający uśmiech.

– Kiedy już cię poznają, przestaną obawiać się nieznajomych.

Cob wyszczerzył się od ucha do ucha i podszedł do niego.

Równym krokiem podążyli do obozu.

Nagle rozległ się metaliczny trzask i Cob jęknął głośno. Wells spojrzał na niego; noga chłopca zaplątała się w drut rozciągnięty nad ziemią. Hałas, którego narobili, musiał zaalarmować obóz.

– Nie bój się. Będzie dobrze – pocieszył go Wells, podczas gdy z krzaków wysypywał się oddział kolonistów wrzeszczących: „Na kolana!”.

Posłusznie unieśli ręce nad głowę i klapnęli na wilgotną ziemię. Ale już rozległo się pełne niedowierzania wołanie:

– Clarke! Wells! Nie wierzę… udało wam się! Do diabła, naprawdę wam się udało!

Clarke zerknęła w górę, oddychając przy tym powoli i spokojnie. – Willa. Jak miło cię znów widzieć!

Willa pomogła jej wstać, a pozostała szóstka skierowała lufy w ziemię, wymieniając się błyszczącymi spojrzeniami.

– Tylko was czworo uciekło? – zapytał ktoś.

– Zostawiliśmy nieco liczniejszą grupę jakieś pół mili stąd – oznajmił Wells. – Wszyscy porwani z naszego obozu, komplet ratowników… i jeszcze trochę osób.

Wartownicy spojrzeli po sobie z obawą.

– Zabierzcie nas do rady – zarządził. – Oni zdecydują, co robimy dalej… czy przyjmiemy naszych nowych kolegów.

Willa spojrzała nań z aprobatą i wzruszyła ramionami, mówiąc:

– Ja jestem za.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku obozu. Pozostali popatrzyli po sobie, a potem poszli w jej ślady.

– Dobrze ci idzie – szepnął Kit. Wells spojrzał na niego, zaskoczony. – Skoro potrafiłeś namówić przerażone ofiary sekty, żeby wznieciły w jej łonie rebelię, to bez trudu przekonasz nasze władze do ugoszczenia kilku uchodźców.

– Obyś miał rację – westchnął Wells. Obóz był już w zasięgu wzroku.

Nie wyglądało to zbyt pięknie, ale tu i ówdzie widać było oznaki, że ludzie nie stracili nadziei.

Nad czyimś ogniskiem piekł się jeleń; w innym miejscu mężczyźni i kobiety wspólnie stawiali nową chałupę. Infirmeria nie odniosła szwanku; z jej komina leciał w niebo uspokajający obłok dymu.

Clarke nabrała nagle energii. Nie mogła się doczekać powrotu do pacjentów.

– Idź – powiedział jej. Uśmiechnęła się i pobiegła, powiewając włosami na wietrze.

Kit też się gdzieś zapodział, zajęty powitaniem z ziemskimi kolegami uczącymi właśnie grupę kolonistów, jak mleć ziarno.

Do największego ogniska w obozie dotarli więc już tylko Wells z Cobem oraz ich eskorta. Przy ogniu stali dwaj mężczyźni pogrążeni w cichej rozmowie.

Rhodes odwrócił się pierwszy, Max po nim. Twarz wodza Ziemian przybrała zdumiony, a zaraz potem radosny wyraz. Wells nie zdążył nawet chrząknąć, a już Max podszedł i objął go mocno. W gardle starszego mężczyzny wezbrał dziwny dźwięk, jakby stłumiony szloch.

– Mój chłopcze – powiedział, a Wellsowi zwilgotniały oczy. – Udało ci się. Miałem nadzieję, ale nie wiedziałem… – Odsunął się, promieniejąc, i dumnie skinął głową. – Wróciłeś do domu.

– Nie wszystkim nam się to udało – westchnął Wells, przełykając gulę w gardle. – Straciliśmy Grahama. – Wzdrygnął się na wyobrażenie twarzy Lili, gdy będzie musiał jej powiedzieć, co się stało. Dziewczyna udawała obojętność, ale naprawdę zdążyła się przywiązać do zmarłego przez te ostatnie parę tygodni.

– Za to są ze mną inni. Niektórzy pochodzą z Kolonii, wierzcie mi lub nie, ale spadli na Ziemię w niewłaściwym miejscu, na południe stąd. A niektórzy… – wskazał Coba – to całkiem nowi znajomi.

Stojący za plecami Maxa Rhodes uniósł brwi. Nie dowierzał.

– Nowi? Ilu?

– Pięćdziesięciu czterech, kiedy liczyłem ostatnio. Choć kilku wróciło odbudować swoje domy tam, gdzie poprzednio. Ale za wszystkich nowych przyjaciół chętnie poręczę… to porządni ludzie.

Max i Rhodes wymienili szybkie spojrzenie. Rhodes skinął głową.

– Skoro ty im ufasz, zaufamy im i my – powiedział. – Nie pogardzimy żadną parą rąk do pomocy; trzeba nam się odbudować, a zbliża się zima. Przyprowadź ich tu. Czy ktoś was śledził? – spytał strażników. – Czy trzeba ustanowić warty?

– Nic poza tym, co już praktykujecie, nie będzie konieczne – rzekł Wells. – Nie sądzę, byśmy musieli jeszcze kiedyś martwić się opiekunami po tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Nazwali się opiekunami… – Max potrząsnął głową.

– Złoczyńcy zawsze mają się za bohaterów – rzucił Rhodes z napiętym, smutnym uśmiechem. Odwrócił się do Wellsa i wyraźnie się rozpogodził. – Czego od nas potrzebujesz?

– Podstaw – odparł chłopak krótko. – Pożywienia, wody, wypoczynku, pomocy medycznej.

Rhodes kiwnął głową i wyciągnął do Wellsa rękę.

– Witamy z powrotem… doradco Jaha.

ROZDZIAŁ 33

CLARKE

– *Spiraea tomentosa* – rzekła miękko matka Clarke, przyciskając niczym się niewyróżniający zielony liść do wnętrza swojej dłoni. – Choć raczej zgaduję. Herbata z tej rośliny pomaga uspokoić podrażniony żołądek. Przynajmniej tak twierdzi książka.

Mary znów pochyliła się nad zakurzonym tomem, który w czasie rekonwalescencji podarował jej Max. Książka pochodziła sprzed kataklizmu i traktowała o miejscowych ziołach. W czasie, gdy Clarke i innych nie było w obozie, jej rodzice podjęli nową inicjatywę: postanowili wzbogacić kurczące się zasoby obozowych leków, odtwarzając substancje używane w Kolonii oraz eksperymentując z roślinami.

Clarke wpatrzyła się w liść, notując jego wygląd w pamięci. Ale to dłoń matki przyciągała całą jej uwagę; była ciepła, miękka i żywa. Doktor Lahiri powiedział, że pani Griffin wyzdrowiała w rekordowym tempie.

– A ta nazywa się żywokost – ciągnęła matka Clarke, kładąc na stole kwiat o delikatnych białych płatkach. – Dawniej wierzono, że pomaga zrastać się złamaniom, stad nazwa. Niestety, to tylko ludowy przesąd. Za to nieźle się sprawdza jako środek na spędzenie gorączki. Zobaczymy, co uda mi się z niego uzyskać…

– Jesteś wspaniała – powiedziała dziewczyna, tuląc matkę bardzo ostrożnie, tak, by nie uszkodzić świeżej blizny.

– Wspaniała… – odezwał się pan Griffin, wchodząc do chaty. Pomagał dziś kopać fundamenty pod nowe budynki. Teraz z uśmiechem wytarł ręce w spodnie. – To słowo wiele znaczy z ust dziewczyny, która niedawno szturmowała fortecę.

– Czy ja wiem – odparła jego córka, rumieniąc się nieco. – Nie zrobiłam tego sama jedna.

– Ale zrobiłaś – potwierdziła jej matka. Oczy jej błyszczały. – Jesteśmy z ciebie dumni.

Clarke też czuła dumę, patrząc, jak szybko postępuje odbudowa.

Ona sama zaczęła regularne dyżury w chacie szpitalnej. Kilka osób przyprowadzonych z fortecy miało problemy wymagające szczególnej opieki.

Glass zgłosiła się na ochotnika do odchwaszczenia i obsiania pierwszego w całym obozie pola uprawnego. Wells spełniał się, działając w radzie, a niespokojny inżynierski umysł Luke’a wpadał wciąż na nowe pomysły.

Nie zamierzali po prostu odtworzyć tego, co stracili… mieli odwagę sięgać dalej,

patrzeć wyżej. Plany obejmowały rzeczy tak różne, jak koło wodne na pobliskim strumyku, mające zasilać rozmaite urządzenia, oraz budynek szkolny wraz z placem zabaw. To miejsce nie tylko wracało do życia po zniszczeniach, ale odradzało się na nowo w radosnej formie; przybierało kształt prawdziwej osady. Clarke nie mogła się doczekać, aż zostanie jej mieszkanką.

– Clarke!

Bellamy zawołał ją od progu. Odwróciła się, by go przywitać – i jej uśmiech zbladł. Brew miał zmarszczoną, ramiona napięte. Coś się stało.

– Możemy porozmawiać? – spytał nerwowo, zerkając przez ramię i grzebiąc stopą w pyle drogi.

– Jasne – odparła, ostrożnie mijając łóżka ostatnich pozostałych pacjentów. – Oczywiście.

Dłoń, którą zacisnął wokół jej nadgarstka, była lodowata. Powiódł ją na wskroś tętniącego życiem obozu. Octavia z Anną urządziły dzieciakom hałaśliwą zabawę w berka. Luke z Glass oglądali szkic rozmieszczenia wież strażniczych. Bellamy pociągnął ją jeszcze dalej, obok pieców, w których piekł się świeży chleb, obok Wellsa wycinającego imię Grahama na drewnianym nagrobku; zaprowadził ją na sam skraj, tam, gdzie dopiero kopano doły pod fundamenty nowych chałup.

Żołądek Clarke zaciskał się silniej z każdym krokiem. Co takiego zobaczył? Czyżby znowu coś im groziło? A może wszystko sobie przemyślał i uznał, że jednak nie będzie w stanie jej przebaczyć?

Wreszcie stanęli w małym kręgu wypalonej trawy. Bellamy spojrzał jej w twarz, jakby oczekiwał jakiejś reakcji. Rozejrzała się dookoła i pokręciła głową. Nie było w tym miejscu nic szczególnie niepokojącego.

– Co o tym myślisz? – spytał, wskazując dookoła.

– Ale o czym?

– O widoku. Z tego miejsca. Czy jest ładny?

– Hm… owszem?

– Dobrze… dobrze… – Wziął głęboki oddech i powiedział: – Myślisz, że to dobre miejsce na chatę? Taką dla nas dwojga?

Clarke próbowała doszukać się sensu w tym, co właśnie powiedział.

– Chatę dla…

Nerwowość Bellamy’ego nagle gdzieś znikła.

– Dla nas, Clarke. – Ujął jej rękę, ścisnął ją lekko… i przykląkł na jedno kolano.

– Och – wyszeptała niemal bezgłośnie.

Wyciągnął z kieszeni srebrny pierścionek.

– Bellamy – szepnęła ochryple – skąd ty to masz?

– Wszedłem w jego posiadanie drogą wymiany – odparł niemal tak śmiało jak zwykle… tylko że drżały mu ręce.

Wtedy rozpoznała ten bladoniebieski kamień – i musiała docisnąć dłonie do łopoczącego serca. Bo bała się, że odfrunie.

– Bel… to jest… to…

– Rodzinny klejnot Griffinów – odparł, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

– Ale jak ty… skąd ty…? – Potrząsnęła głową osłupiała. To był kamień, który jej przodkowie zabrali ze sobą z Ziemi do Kolonii; przekazywano go sobie z pokolenia na pokolenie.

– Mówię przecież. Dostałem w drodze wymiany… od twojej mamy. – Podał jej klejnot gestem tak niepewnym, jakby jakaś jego część nie wierzyła, że Clarke przyjmie propozycję.

Ale przyjęła. Ułożyła bladoniebieską iskrę na dłoni. – Co jej dałeś w zamian?

– Obietnicę – Bellamy ujął jej dłoń w obie swoje. – Przyrzekłem cię kochać, szanować, być ci wiernym, opiekować się tobą, bronić cię, złościć cię, kłócić się z tobą o głupstwa… – Zaśmiał się. – I tak dalej, i tak dalej… – Spoważniał. – Przez resztę mojego i twojego życia. Clarke, czy wyjdziesz za mnie?

Kolana się pod nią ugięły. Położyła mu dłonie na ramionach i osunęła się na ziemię; jej pocałunek był jedynym potwierdzeniem, jakiego mógłby kiedykolwiek potrzebować.

Ale na wszelki wypadek przerwała na chwilę i wymruczała w jego usta: – Tak.

Całowali się znów, siedząc na brudnej ziemi; to było tak, jakby brali w posiadanie nie tylko ten skrawek przestrzeni, ale też i cały obóz, góry i pagórki, rzeki i jeziora i wszystko, co ich otaczało.

Tak wiele przeszli na Ziemi. A jednak teraz cała planeta zdawała się nareszcie mówić to, co Bellamy właśnie szepnął jej do ucha:

– Witaj w domu.

PODZIĘKOWANIA

Praca nad tą serią to przywilej, jaki trafia się w życiu raz; jestem tak bardzo wdzięczna wszystkim, którzy pomogli przeistoczyć marzenie w rzeczywistość.

Dziękuję wszystkim z Alloy za wsparcie, otuchę i kreatywne pomysły na każdym etapie tej przygody. Specjalne dzięki kieruję do Sary Shandler, Josha Banka, Lesa Morgensteina, Lanie Davis, Theo Guliadisa, Annie Stone, Liz Dresner i Heather David.

Wyjątkowe podziękowania składam na ręce niesamowitej Joelle Hobeika, której niezrównana wyobraźnia stała się zaczynem dla serii *Misja 100*; wspaniałej Romy Golan, która zmienia ciągi słów w wyjątkowe książki i nie pozwala, byśmy osunęli się w chaos; wyjątkowo utalentowanej Elizy Swift, fontanny mądrości redaktorskiej, z którą współpraca jest absolutną rozkoszą.

Dziękuję bardzo wszystkim w Little, Brown and Hodder & Stoughton, a w tym Pam Gruber, Leslie Shumate, Saraciei Fennell, Emily Kitchin i Becce Mundy.

Dziękuję również – i posyłam kosmiczne przytulaki – wspaniałej drużynie z Rights People, która wprowadziła tę serię na rynek międzynarodowy.

Chciałabym też podziękować wszystkim znakomitym redaktorom, wydawcom, tłumaczom i projektantom za ich pracę nad zagranicznymi wydaniami serii *Misja 100*. Kontakt z waszymi czytelnikami to największy przywilej. Dzięki, że pomagacie mi rozpowszechniać moje opowieści.

Dziękuję wielce utalentowanej Jenn Marie Thorne, która jest na tysiąc sposobów współodpowiedzialna za to, że ta książka w ogóle powstała. Jesteś gwiazdą rocka, a ja pozostaję na zawsze pod wrażeniem twego niesamowitego umysłu.

A nade wszystko dzięki wam, moi czytelnicy. Sprawiliście, że czuję się najszczęśliwszą autorką pod słońcem.

fot. Michael Bisberg

KASS MORGAN

studiowała na Brown University, a następnie zdobyła tytuł magistra na Oksfordzie. Mieszka obecnie w Nowym Jorku, gdzie pisze książki i pracuje jako redaktor.

Krytycy o *Misji 100*

„Mroczna i intrygująca mieszanka *Władcy much*, *W otchłani* i *Igrzysk śmierci*". **Booklist**

„Morgan połączyła elementy popkultury i polityki tak, by powstała trzymająca w napięciu całość". **School Library Journal**

„Fani *Igrzysk śmierci* pokochają fabułę tego cyklu, osadzoną w świecie po wojnie jądrowej". **The Sun**

„Jest to powieść naprawdę dobra. Z serialową adaptacją łączą ją wzbudzający sympatię bohaterowie oraz intrygujący klimat, który sprawia, że nie można się od niej oderwać". **Adam Siennica, naEKRANIE.pl**

CZY OCALĄ SIEBIE I ŚWIAT?

Ludzkość walczy o odbudowę planety po wojnie nuklearnej. Do setki nastolatków, wysłanych w pierwszej misji na Ziemię, dołączyła reszta kolonistów. Ci, których nazywano młodocianymi przestępcami, są teraz liderami wśród osadników. Niestety pojawia się nowe zagrożenie.

Niespodziewanie atakują obcy, którzy porywają i zabijają ludzi. Kiedy Bellamy i jego dziewczyna Clarke odkrywają, że Wells, Octavia i Glass zostali pojmani, za wszelką cenę chcą ich odnaleźć. Jednak w drodze na ratunek przyjaciołom coraz częściej się sprzeczają.

Tymczasem jeńcy walczą o życie i jeśli grupa ratunkowa szybko nie nadejdzie, spotka ich los bardziej przerażający, niż mogliby sobie wyobrazić. Wyznawcy fanatycznego kultu postanowili bowiem powiększyć swoje szeregi i „uzdrowić" zniszczoną wojną planetę, eliminując wszystkich jej mieszkańców.

NA PODSTAWIE KSIĄŻEK
POWSTAŁ SERIAL

THE 100

www.bukowylas.pl

Wyłączny dystrybutor

firma księgarska
J&K Olesiejuk